

W BRAZYLII.

Ks. ZYGMUNT CHEŁMICKI.

W BRAZYLII.

NOTATKI Z PODRÓŻY.

(Z licznemi ilustracyami w tekście).



WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W ADMINISTRACYI »SŁOWA«
Mazowiecka Nr. 11.

1892.



302057

Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarządem J. Gałowskiego.

I.

San-Paulo, 8-go maja.

Wyjazd z Rio. — Wspomnienia. — Droga. — Refleksye. — San-Paulo. — Pierwsze spotkanie. — Polacy dawniej osiedli. — Nowi emigranci. — Warunki pracy. — Zarobki. — Ceny. — Dorywcze rzemiosła. — Ideal powrotu. — Tęsknota. — W kościele.

Kto zechciał odczytać moje notatki z Rio, ten odgadnie zapewne, z jakim uczuciem zadowolenia znalazłem się po 12-tu dniach w pociągu, który miał mnie zawieść do San-Paulo. Uciekałem od tego nieznośnego upału i klimatu, który, jak ołów, ciężył nademną; uciekałem od tych rozdzierających serce wspomnień widzianej niedoli, wobec której czułem się bezradnym; uciekałem wreszcie od widma żółtej febry, które w tym roku tak uporczywie szerzyło swoje śmiertelne dzieło. Jedna tylko myśl przygniatała mnie boleśnie, oto, że musiałem się rozstać z moim drogim i zacnym towarzyszem, któremu, po spełnieniu głównego zadania, zdrowie nie pozwalało na dalszą po

Brazylii włóczęgę. Czułem, jak na każdym kroku brakować mi będzie tego niezrównanego serca, tej szlachetnej i pogodnej duszy, z którą dotąd dzieliłem wszystkie ciężkie i bolesne chwile.

Trudno! Pozostałem sam!

Im dalej unosił mnie lecący z niesłychaną szybkością pociąg, tem więcej czułem orzeźwiające powietrze, które pozwalało mi oddychać pełną piersią.

Droga wykuta wśród skał, istne arcydzieło pracy i geniuszu człowieka, snuła się jak wąż, otwierając coraz to nową panoramę z niezrównanych widoków. Widzieć było można ten dziwny kontrast między dziką, nieujarzmioną jeszcze przez człowieka naturą, a kwitnącą kulturą; rozległe przestrzenie lasów dziewiczych, przedstawiających jedną, związaną lianami, ciemno-zieloną masę, obok plantacyj kawy, kukurydzy i trzciny cukrowej. Tamałem sobie głowę nad tym ogromem pracy i wytrwałości, której potrzeba, aby uzbrojona siekierą i motyką ręka kolonisty wydarła tym nieprzejrzanym przestrzeniom kawałek ziemi i uczyniła ją zdolną do plonu. Iluż ledz musiało, zanim przyszła kolej na tego, który obecnie zbiera owoce krwawej pracy drugich!

O godzinie 7-ej wieczorem znalazłem się w San-Paulo. Po kilkogodzinnej wędrówce udało mi się narreszcie znaleźć hotel i w nim, do wspólki z jakimś brazylijczykiem, nająć coś nazywanego się pokojem.

Jeżeli kogoś, równie jak mnie, zapędzą losy do Brazylii, to radzę mu na długi czas przed wyjazdem spać na podłodze, łatwiej mu wtedy przyjdzie oswoić

się z brazylijskiem łóżkiem, które jest istotnem łóżem madejowem. Niech również, na Boga, zostawi w Europie wszelkie pojęcie o wygodzie, a żołądka zapożyczy od strusia. Inaczej — ileż go czeka drobnych, a nieznośnych dolegliwości, które często srodze dają się we znaki.

San-Paulo jest stolicą niegdyś prowincyi, a obecnie stanu tegoż nazwiska. Nie ulega wątpliwości, że jest to najbogatsza prowincya całej Brazylii, dzięki fenomenalnej ziemi i plantacyom kawy, która obecnie doszła do cen bajecznych. O tem jednak pomówię obszerniej później.

Jeszcze przed 10-ciu laty San-Paulo liczyło niespełna 40.000 mieszkańców, dziś zaś posiada ich przeszło 130.000. Osiadła tu ogromna ilość Niemców, tak, że można słusznie nazwać to miasto nawpół niemieckiem. Zdołali oni w tym roku przeprowadzić deputowanego do tutejszej izby stanu.

Bogactwo całego stanu i olbrzymi wzrost miasta sprawia, że w San-Paulo jest siedlisko separatyzmu, który, prędzej czy później, rozczłonkuje obecną republikę brazylijską na liczne mniejsze samoistne republiki. Jestto, jak poprzednio wykazałem, konieczne następstwo warunków, w jakich wegetują dzisiejsze „Stany Zjednoczone Brazylii“.

Oprócz Niemców, zamieszkują w San-Paulo włosi, portugalczycy, a od dwóch lat w pokażnej liczbie i nasi emigranci.

Zaledwie rano zdołałem kilka kroków ująć na

ulicy, gdy ujrzałem twarz, co do której mylić się nie mogłem.

Był to obdarty, wynędzniały chłop polski.

— Niech będzie pochwalony — rzekłem — a zkażcieście ojczyznę?

— O la Boga! — usłyszałem nawzajem — na wieki wieków! — i w jednej chwili człowiek ten leżał u moich nóg, łkając i śmiejąc się naprzemian, tym śmiechem, w którym większy ból, niż w łzach.

Był to mój pierwszy przewodnik. Od dwóch dni uciekł z kolonii, gdzie pochował żonę i dwoje dzieci, do St. Paulo, z dwojgiem pozostałych, zbiedzony, wychudzony, z ranami na nogach, w podartem ubraniu, z którego dziur gołe przeświecało ciało. Doprowadził on mnie do rodziny polskiej, która go przytuliła. Ztamtąd wszedłem już z łatwością między resztę.

W tej chwili znajduje się w San-Paulo przeszło 1.000 polaków. Znalazłem między nimi niektórych dawniej już zamieszkałych, jak szewców: Gawrońskiego i Furmankiewicza, z okolic Tarnowa, ludzi bardzo pracowitych i uczynnych. Również osiadł tutaj przybyły niedawno z Argentyny inżynier elektrotechnik p. Bloch, oraz p. Szeledzowski, obaj szczerze o losy swoich rodaków dbali. Ich to uprzejmości i usługowości zawdzięczam rychłe i dokładne zapoznanie się z dolą tutejszych emigrantów naszych.

Istotnie, robią oni zupełnie inne wrażenie, niż owi biedacy z Rio.

Najpierw dobry klimat sprawia, że nie widzi się tych twarzy i postaci wyczerpanych i strawionych,

których sam widok świadczy o ogromie ich niedoli. Nadto, skutkiem tak niezwykłego wzrostu miasta, łatwiej tu o pracę, szczególnież też dla rzemieślników.

Lecz nie należy się łądzić powierzchownością, ani obecnem pomyślniejszem położeniem, ale wystarczy wejść tylko w rozmowę, aby przekonać się, że to jednostki, które zbiegiem wypadku lub szczęśliwych okoliczności ocalały, że to niewielki zaledwie odsetek z tych, co legli pod ciosem niedoli brazylijskiej.

Historia każdego z nich, to cały zamknięty dramat, przypominający onego rozbitka, który uratował się, gdy dziesiątki innych utonęły.

Wszyscy szukali szczęścia na owych „rajskich polach Brazylii“, na których agenci obiecywali im złoto i dostatki. Nędza, choroby i widmo głodowej śmierci wypędziły ich ztamtąd. Po długich walkach zdołali tutaj przynajmniej znaleźć kawałek chleba.

— Bóg się ulitował nad nami — powiadają wśród gorzkich łez — i oto żyjemy i może kiedyś, jak wyrodne dzieci, wrócimy do swoich.

Już to trzeba przyznać, że powrót do kraju jest jedynem marzeniem każdego emigranta. Pierwsze pytanie, które robi: ile kosztuje bilet „choćby do Italii, boć ztamtąd to i piechotą o proszonym chlebie pójdziema“. Każdy od ust sobie odejmuje, aby zebrać cokolwiek grosza na wymarzone „koszta przejazdu.“

— Będę jeszcze tutaj miesięcy — mówi ka-

żdy, bo mam już tyle milów, a jeżeli Bóg da zdrowie, to wówczas będę już miał na „Szyf”.

Należy przyznać, że warunki egzystencji są w San-Paulo o wiele lepsze, niż w Rio. Zwykły robotnik zarabia przecięciowo 2 milrejsy dziennie. Rzemieślnicy, a szczególnie szewcy, ślusarze, murarze, kowale, otrzymują 3, 4, a nawet 5 milrejsów.

Koszta utrzymania są niemal te same, jak w Rio: 1 kilo np. mięsa kosztuje 400—500 rejsów, bułka chleba pszennego 320 rejsów, z kukurydzy 280, litr szablaku 400, *alkwira* (50 litrów) kartofli od 8 do 12 milrejsów. Za mieszkanie, małą izdebkę, płaci się około 30 milrejsów miesięcznie.

Ubranie natomiast jest bardzo drogie. Najskromniejszy, zwyczajny garnitur, kosztuje od 40 do 50 milrejsów. Para butów od 9 do 12. Jednym słowem, ci, którzy pozostawili rodziny w Europie, mogą istnieć, a nawet czasem coś odłożyć na powrót; obarczeni rodziną zaś, prócz wyjątkowo szczęśliwych jednostek, zarabiają zaledwie na utrzymanie.

Wielu wytworzyło sobie, że tak nazwę, rzemiosło dorywcze. Jak wiadomo, robotnicy naszych fabryk: Łodzi, Tomaszowa, Żyrardowa, stanowią poważny kontyngens emigrantów. Ci nie mają tu żadnego zajęcia, chyba jako prości robotnicy. Oto więc kilka przykładów, jak sobie niektórzy poradzili.

B., z Łodzi, pracował u murarzy. Siły go opuszczały; czuł, że dalej nie podola. Kiedyś nauczył się robić kit do szyb, więc za resztę pieniędzy kupił dyament, kilka szyb, zrobił skrzynkę z desek, nauczył się

wołać po portugalsku „szklarz idzie!” — i w ten sposób przebiega ulice miasta, zarabiając dziennie od 4 do 5 milów.

Inny, również z Łodzi, ma syna kalekę, który po ulicach grywa na skrzypcach i zarabia na utrzymanie całej rodziny. Że to utrzymanie opłakane, chyba się domyślicie.

N., z pod Kalisza, był kuśnierzem, tutaj przedzierzgnął się w krawca damskiego.

Spotkałem też sukiennika, który stał się zegarmistrzem. Mówią wprawdzie, że zazwyczaj zegarki po nim nie chodzą, ale zawsze na marne życie zarabia. Niewiele mu się zresztą należy, bo biedactwo ma suchoty.

Takich przykładów mógłbym przytoczyć wiele, ale i te wystarczą do zrozumienia warunków tutejszego zarobku. Wszystko też nietylko pracuje, ale i żyje dorywczo, bez jutra, z jedyną myślą jak najszybszego powrotu. Nie spotkałem ani jednego, nawet z tych, którym się dobrze powodzi, żeby nie liczył dni swego pobytu w Brazylii. Każdego, jeżeli nie nędza i niedola, to trapi okrutnie przynajmniej tęsknota, brak wszelkiej moralnej i religijnej pomocy.

Można sobie wyobrazić, jaka radość zapanowała wśród tych biedaków, gdy się zgromadzili w kościółku Salezjanów dla wysłuchania Mszy św., kazania i przystąpienia do Spowiedzi. Nie będę wam opisywał tej wzruszającej chwili, bo mnie ona sama jeszcze wiele kosztuje. Niestety, wszystkie moje zasoby upominków

religijnych już się wyczerpały. Każdy chciał coś posiadać z kraju, a jak tu odmawiać!

Nie wiem, czy widok niedoli w Rio tak mnie zahartował, ale tutaj, czułem się trochę spokojniejszym.

Przynajmniej nie widziałem owego piętna śmierci.

II.

Dom emigrancki. — Pierwsze wrażenie. — Jednobrzmiące opowiadanie. — Oplakane wpływy. — Krytyczna chwila. — Rozmowa z p. dyrektorem. — Szpital. — Prawdziwa rozpacz. — Na właściwym gruncie. — Pożegnanie.

Widocznie przeznaczone mi zostało, abym nie zażył dłuższego spokoju w Brazylii. Poprzednie notatki pisałem pod wrażeniem względnego uspokojenia. Przynajmniej to, co widziałem tutaj, nie wydało mi się tak przygnębiającem, jak w Rio. Bytność jednak moja w domu emigranckim, pomimo, że mnie uprzedzono, przeszła, co do rozmiaru nędzy, szczególnie moralnej, wszystko, co mogłem sobie wyobrazić. Nie wiem, czy zdołam wiernie opisać moje wrażenia, ale to pewna, że wyszedłem formalnie pijany z bólu i żalu.

O godz. 2-ej po obiedzie, w towarzystwie pp. Bl. Gawr. i Szel., wyruszyliśmy do domu emigranckiego, który zwykle krótko „emigracyą“ nazywają.

Jest to budynek olbrzymich rozmiarów, przedstawiający się z zewnątrz wspaniale. Wzniesiono go w r. 1888, na przedmieściu „Mooca“. Paulistanie są dumni z niego i w każdej książce o Brazylii znaleźć można uniesień pełne zachwyty o tym „przedsiębiorstwie emigranckiego“. Dostatecznie jednak przekroczyć bramę otaczającego naokół budynek muru, aby się przekonać, ile po za temi imponującemi ścianami kryje się niedoli. Nie wiem, jak tam innym emigrantom, ani też jakich oni doznają w tym przybytku ucieczki, ale widziałem swoich i o ich tylko doli pisać pragnę.

Już po korytarzach spotkałem gromadki tych biedaków, którzy wnet otoczyli mnie kołem, tak, że kiedym wchodził po schodach na piętro, towarzyszył mi cały tłum. Wiedzieli o mojem przybyciu i tuszyli sobie, że im wszystkim przynoszę wybawienie. Niestety, musiałem ich wnet wyprowadzić z błędu.

Weszliśmy wreszcie do olbrzymiej izby, w której, na podłodze, jedni na rogożach, inni na gołych deskach, spoczywało 500 rodzin. Powietrze nie do opisania. Kto mógł, przytulił się do ściany, ażeby znaleźć przynajmniej dla głowy oparcie. Inni leżeli na środku. Resztki ubrań podarte wisiały jeszcze na ciele zbiedzonego, chudego. Oto, mniej więcej, wygląd każdego. Do matek poprzytulały się dzieci, starsze grzebały się po różnych kątach. Smutek, boleść, zawód, wyryte na wszystkich twarzach.

Trudno mi zebrać pojedyncze opowiadania; wszystkie zresztą są podobne do siebie. Przywieziono ich tutaj. Każdy żądał przyrzeczonego gruntu, więc



Emigranci w San-Paulo.

poszli na grunt. Tu dopiero rozpoczyna się niedola i rozczarowanie!

— Jaki to grunt — opowiadają. — Las ino i las. Siekierą nie urąbiesz, jak za parę dni jedno drzewo, a gdyś już ściał, to ci się nie obali. Zetniesz drugie, trzecie, wszystkie stoją, bo je, niby powrosła, trzymają, jak ręka grube, trawiska. Zrosło to wszystko i trzyma się za gałęzie, jak chłop z chłopem, za bary.

— Mówią, palić.

— Jak tu palić, kiedy mokre, ogień się nie imie, a pod spodem bagno. A choćbyś znowu obalił i spalił je, toć chyba z pół roku trzeba na wydobyć jednego korzenia.

— Marliśmy głodem.

— Dowozili co tydzień jedzenie. Ale jakie? Toć gęba się wykrzywia. U nas by ci tego i prosię w pysk nie wzięło. Tymczasem robaki jeść poczynają. Na nogach ustać nie można od ran. W ciele załęgły się niby liszki.

— Jedno dziecko zmarło. Ni księdza, ni cmentarza, więc człek, jak dla zwierzęcia, sam wykopał dół i przysypał ziemią. Wnet zmarło drugie nieboże! Kobieta słabuje. Mnie samego poczyną z nóg zwalać. Więcem zebrał, co jeszcze żyło, i wlekliśmy się siła dni, aż śmy przyszli tutaj. Zacząłem krzyczeć i wymyślać.

— Dawajta gałgany grunt, coście obiecali, nie tę dzieczynę, co tam chyba zły duch w niej usiedzi. A gdzie krowa, a dobytek, a narzędzia! Wszystkom to za nic zmarnował, boć tu lepsze dać obiecowali.

— Oni słuchają, nic nie gadają i coś między sobą

szwargocą. Kazali nam tu iść i leżeć. To i leżewa trzy miesiące, a może i więcej. Dwa razy dają ci tę strawę, co się gęba od niej odwraca, ale człek je, aby ino z głodu nie umarł. Musi to być jednak mocno złe, bo ludziska chorują, a dzieci mrą, jak komary. Nas, co jeszcze łazimy, to i przez połowę już niema.

— Nie ruszymy się ztąd jednak na te bory i moczadła. Albo dadzą grunt, jak obiecowali, albo odeszlą do kraju, albo pomrzewa.

Oto, z małemi zmianami, opowiadanie każdego. Gdy jeden mówi, przerywają mu inni. Każdy dorzuca nowy szczegół niedoli.

Przy mężach stają kobiety i płaczą na samo wspomnienie przeżytych nieszczęść i nędzy. Dzieci bezwiednie wtórują matkom i wytwarza się jeden jęk powszechny, jeden płacz rozdzierający!

Chyba tak wyglądać musiał czyściec Dantego.

Daremne słowa ukojenia; nie utulisz, jeszcze bardziej rozniecisz tylko.

To jednak tylko ofiary niedoli, złamane, znędzone. Wśród nich jednak, od czasu do czasu, usłyszysz głos groźny. Nie chłop to, ale mieszkaniec małego miasteczka, który tutaj wśród tych znękanych biedaków przywłaszczył sobie rolę prowodyra. On nie zawodzi, nie płacze, ale grozi!

— Nie pociechy nam trzeba — woła, z piekielną butą — ani rady, ale pieniędzy. Jeżeli ksiądz tu przyjechał i pono jakiś pan, toście przywieźli po 100 rs. na każdego. A tak, to tylko próżne gadanie.

— A może to nie ksiądz — woła inny, podobny pierwszemu — ino szpieg przebrany.

— Bój się Boga — przerywa mu trzeci — toć znam ojca z Warszawy: ilem go razy woził doróżką, godny kapłan.

— Cicho bądź — przerywa mu pierwszy — tyś taki sam, jak on!

Wszczął się krzyk; pogrożki dolatywały mnie z kilku stron. Towarzysze moi struchleli.

— Ludzie — zawolałem przez lzy — więc do tegoście doszli, że w ten sposób przyjmujecie waszego kapłana, który przybył zobaczyć waszą niedolę i ponieść innym wieść o tem, coście wycierpieli?

Słów tych sam nie pamiętam, ale mi je potem przypominano. Nie szło mi o siebie, ani o wyrządzoną zniewagę, ale, doprawdy, skamieniałem na widok wpływów, jakim ci biedacy ulegają. Musiałem przemówić strasznie, bo w jednej chwili zapanowała cisza, a po niej coś nakształt nie płaczu, ale ryku.

Kobiety i mężczyźni otoczyli owych przewodników i już ich nie widziałem więcej. Czułem, że tak być nie może, że tu coś zrobić trzeba, aby złamać te straszne wpływy, które, prędzej czy później, spowodują zgubę na resztę.

W tej chwili przybiegł urzędnik, prosząc mię do pana dyrektora emigracyi, p. Antonio Alves, który pragnie ze mną pomówić.

— Cóż robić z tymi ludźmi — pyta mnie ów pan na wstępie — wszystkie środki zniewolenia ich do pracy są bezskuteczne.

— Zbieracie panowie — odparłem — plon waszego posiewu. Agenci wasi przyrzekali tym łatwowiernym ludziom niestworzone rzeczy. Przyszli tu uwiedzeni. Widzą się okłamanymi, zwiedzionymi, oszukanymi w swoich nadziejach. Rozpacz działa przez nich. Na to niema już rady, ani perswazyi. Lecz co panowie z nimi zamierzacie zrobić?

— Jeszcze raz spróbujemy ich skłonić do roboty. Jeżeli to nie pomoże, siłą zapędzimy na okręt i zawieziemy na wyspę. Tam robić muszą.

A więc taka czeka ich przyszłość!

Pan dyrektor przyrzekł następnego dnia z samego rana (t. j. w niedzielę) wypuścić wszystkich do kościoła. Tam, czułem, jest jedyne miejsce, gdzie zdolam opamiętać, uspokoić, a może i od niechybnego niebezpieczeństwa uchronić tych biedaków.

Kiedy wyszedłem od p. dyrektora, zastąpiono mi drogę, prosząc o wydysponowanie na śmierć kilku chorych. Poszedłem do szpitala. Chorych było stosunkowo niewiele, około 12-tu dorosłych i 15-ro dzieci. Nadmieniam, że przedtem na sali widziałem wielu takich, którzy powinni być w szpitalu, albo zawczasie zostali zeń wypuszczeni.

Kto nie widział w życiu prawdziwej rozpączy, byłbym mu ją tutaj pokazał.

Na łóżku, przy ścianie, konało 16-letnie dziewczę. Przy nogach jej, z błędnem okiem, siedziała jej matka. Nie płakała, ale boleść wykrzywiła całą postać.

— Patrz, ojcie — rzekła głuchym głosem — po-

chowałam pięcioro, w zeszłym tygodniu mąż mi umarł, a oto i tę ostatnią Bóg mi zabiera!

Opuszczając po jakiejś godzinie szpital, wstąpiłam jeszcze do kuchni. Zostałam w kotłach gotujący się ryż, a na stołach porąbane kawały mięsa. Mówiono mi, że to dla emigrantów. Nie miałem sposobności sprawdzić.

Na drugi dzień od samego rana kościółek Salezjanów zapełnił się po brzegi. Nie będę opisywał chwil tam przebytych. Żałowałam, że w dziesięciu przemienić się nie mogę. Znaleźliśmy się na właściwym gruncie, i poznali się, zrozumieli, a mam w Bogu nadzieję, że On wątplym moim staraniom dodał siły i skuteczności.

Okolo południa rozstaliśmy się, odśpiewawszy na pożegnanie „Pod Twoją obronę.“

III.

Plantacye kawy. — Gorączka kawowa. — Ceny. — Spekulacya. — Zkład czerpalem wiadomości. — Charakterystyka trzech wzorowych fazenderów. — Praca niewolników. — Praca białych. — Pierwotne układy. — Zmiana systemu. — Obecne zarobki. — Ich wysokość, i rodzaj pracy. — Ogólny rachunek. — Emigrant polski na fazendzie. — Pierwsze kroki. — Krwawe doświadczenia. — Ogrom ogólny niedoli i jej powody. — Przykład u p. Paulino. — Bez przesady. — Ogólne wrażenia.

Nie ulega wątpliwości, że życie na fazendzie, praca, warunki i zarobki tamże, stanowią najciekawszą stronę stosunków brazylijskich, zarówno pod względem ekonomicznym, jak społecznym, a nawet etycznym. Kawa jest, jak wiadomo, najpoważniejszym źródłem bogactwa Brazylii i dlatego też produkcyja jej oddawna otaczana była szczególną troskliwością. Wprawdzie trzy tylko prowincye, a mianowicie Rio Janeiro. Minas Geraes i San-Paulo posiadają ziemię i klimat, nadające się do hodowli kawy, ale wystarcza to, aby produkt ów stanowił $\frac{9}{10}$ całej wartości wywozu bra-

zylijskiego; na resztę składa się kauczuk, hodowany w Para i tytoń w Bahii.

Pierwiastkowo rozpoczęto plantację kawy w Rio Janeiro, gdzie też znajdują się najstarsze fazendy. Ziemia jednak nie jest tam dosyć żyzna, aby po tylu latach, bez wielkich nakładów i pracy, rodzić mogła z równą co niegdyś obfitością. W Minas Geraes tylko strona wschodnio-południowa nadaje się do hodowli kawy.

Właściwą więc ojczyzną kawy jest obecnie prowincya San-Paulo, posiadająca ową bajecznie urodzajną *terra roxa* (rosza), ziemię różową, której płodność przechodzi istotnie wszelkie znane dotąd gatunki roli. Jestto glina koloru ciemno-czerwonego, jak mnie zapewniało, z wielką zawartością solanu. Dotąd, po latach przeszło 50-ciu, nie zna ona jeszcze nawozu, pomimo, że drzewo kawowe należy do rzędu roślin, niezmiernie wyczerpujących płodność ziemi.

Jeszcze przed 20-tu laty hodowla kawy, jakkolwiek bardzo już rozwinięta, nie stanowiła przedmiotu tak gorączkowych i powszechnych zabiegów. Dość powiedzieć, że do tego czasu jeszcze wartość wywozu cukru, okowity (kaszas), wytwarzanych z trzciny cukrowej, oraz tytoniu, przewyższała wartość wywozu kawy. Od tej pory jednak, w miarę, jak cena kawy poczęła się podnosić, rosła jej produkcya. W ciągu ostatnich lat czterech działo się to z szybkością bajeczną.

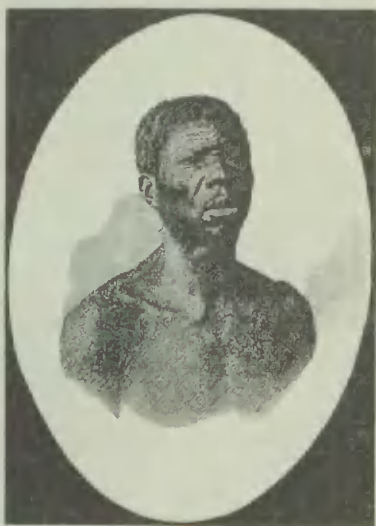
Wystarczy na dowód tego przytoczyć kilka cyfr.

W r. 1887-ym płacono za *arobę* (15 kilo) kawy



Fazenda kawy.

od 6 do 7 milrejsów. W ciągu roku 1888-go cena doszła już do 8 milrejsów. Rok 1889-ty, skutkiem zniesienia niewolnictwa i przewidywanych skutkiem tego przewrotów w dotychczasowych warunkach pracy, spowodował chwilowo stagnację. Starzy, rutynowani fazenderzy, obawiając się braku rąk do pracy, sprzedawali za bezcen swoje fazendy. Na rynkach zbytu



Typ murzyna na fazendzie.

kawy zapanowała formalna panika; ceny poczęły się chwiać. Nikt nie wiedział, co przyszłość przyniesie.

Obawy jednak nie ziściły się.

Usamowolnieni murzyni w znacznej części pozostali na fazendach, jako wolni robotnicy, a nadto rozpoczęła się olbrzymia imigracja sił roboczych z Europy. To niespodziewane następstwo zniesienia

niewolnictwa pchnęło znowu wszystkich do kawy. Ceny zaczęły się podnosić. W r. 1890 płacono już po 9 i 10 milrejsów za arobę. Szczęśliwi nabywcy fazend zdwajali swoje fortuny w ciągu miesięcy, niekiedy nawet tygodni. Wymieniano mi fazenderów, którym ofiarowywano trzy i cztery razy większe ceny za nabyte przed kilkoma miesiącami fazendy.

Wszystko to jednak było niczem w porównaniu z rokiem bieżącym.

Wszystkich ogarnęła istna gorączka kawowa. Skutkiem zniszczenia, jakie w plantacyach na Cejlonie i Jawie sprawił grzybek zjadliwy (*hemilea vastatrix*), kawa brazylijska straciła konkurenta. Nadto jednocześnie rozpoczął się upadek waluty brazylijskiej. Ceny kawy rosły tedy bajecznie. Kiedy w początkach zbioru roku zeszłego płacono za arobę 10 milrejsów, w końcu cena wynosiła już 11 i 12. W styczniu otrzymywano 13 milrejsów, w lutym i marcu 14, a nawet 15. W tej chwili wszystkie zasoby są już wyczerpane. Szczęśliwi posiadacze resztek stawiają ceny zupełnie fantastyczne. Rzeczy doszły do tego, że dziś w sklepach, przy sprzedaży detalicznej, płaci się od 1 mila 500 do 1 mila 800 rejsów za kilo, czyli 22½ do 27 milów za arobę. Pojawili się kupcy, którzy ofiarują fazenderom za tegoroczną, będącą jeszcze na drzewie kawę, po 15 i 16 milrejsów za arobę.

Podaję te szczegóły, aby dać wyobrażenie, w jakich warunkach znajduje się obecnie produkcya kawy. Wszyscy są pod wpływem istotnego szalu kawowego. Każdy kawałek ziemi, do niedawna jeszcze leżący

odłogiem, kto tylko posiada siły robocze, zamienia wnet na fazendę. Ceny tych ostatnich przeszły wszelkie granice. Na dowód tego, powołam się na świadectwo fazenderów, których plantacye zwiedzałem.

Baron *Geraldo de Rezende*, w okolicy Campinas, pokazywał mi fazendę, nabytą przez siebie w roku zeszłym za 110 kontów (około 230,000 fr.), za którą mu niedawno ofiarowano 550 kontów, a jak powiedział, nie wziąłby i 700, t. j. około 1,300,000 fr.

Dr. *José Negreiros*, który mnie obwoził po swoich fazendach, kupił przed 14 miesiącami plantacyę, wartości obecnie 1,500,000 fr., za 200 kontów (350,000 fr.).

P. *Paulino*, z okolicy San-Paulo, u którego bawilem przez 2 dni, posiada wraz z synami fazendę, złożoną z 600,000 drzew rodzących i przeszło 400,000 mniej niż trzyletnich. Wartość całej jego fazendy obliczają na 4,000 kontów (7 milionów fr.)

Naturalnie, łatwo się domyślić, jak obszerne i różnorodne pole otworzyło się w tych warunkach dla spekulacyi, mianowicie też tutaj, gdzie żądza zrobienia jak najprędzej majątku leży we krwi, gdzie gorączka interesów spekulacyjnych piecze wszystkich niemal równie, jak słońce brazylijskie. To też na giełdach dzieją się podobno rzeczy niesłychane. Kawa, to nasze europejskie akcye. Ludzie wygrywają i przegrywają na niej fortuny.

Lecz nie było moim celem poznanie tych stosunków. Wspominam też o nich mimochodem, opierając się na tem, com słyszał. Każdy jednak zrozumie, że wobec znaczenia i wartości, jaką produkuje

kawy posiada dla Brazylii, bliższe poznanie warunków pracy na fazendzie, stanowi bodaj najciekawszy i najważniejszy przedmiot dla każdego badającego, choćby pobieżnie i przelotnie, stosunki tutejsze.

Dodać przytem należy, że główna część emigrantów szuka właśnie swego wrzekomego szczęścia na fazendzie, tam bowiem ciągnie ich nietylko nadzieja zyskowniejszej pracy, ale i liczni agenci i pośrednicy, którzy czyhają formalnie na każdego wychodźcę i zaledwie zdąży opuścić okręt, usiłują go pozyskać dla tego lub owego fazendera.

Teoretycznie mogłem się zapoznać z fazendą z dzieła dra Kaergerera „*Brasilianische Wirtschaftsbilder*“ i p. Santa Anna Nerry „*Brésil en 1890*“, oraz z innych, mniejszych lub większych rozmiarów broszurek, w które zaopatrzyłem się w Berlinie i Paryżu. Nadto tak szczęśliwie złożyły się dla mnie okoliczności, że od pierwszej chwili wejścia na okręt i przez cały czas mojego pobytu w Brazylii, spotykałem na każdym kroku uprzejmych brazylijczyków, gotowych do wszelkich informacji i usług. Tym sposobem udało mi się istotnie, w krótkim stosunkowo czasie, zebrać dosyć spory zasób wiadomości. Nie moja w tem bynajmniej zasługa, ale wyjątkowo pomyślnego zbiegu okoliczności.

Teoretyczne moje wyobrażenia postanowiłem uzupełnić istotnem poznaniem fazendy *in anima vili*. Korzystając więc z pobytu mego w San Paulo, poświęciłem tydzień czasu na zwiedzenie kilku fazend. Dzięki niewypowiedzianej uprzejmości dr. Gada, duń-

czyka i p. dr. José Negreiros, których poznałem jeszcze na okręcie, przyszło mi to z całą łatwością.

Zanim przystąpię do opisu samych fazend i pracy na nich, muszę choć w ogólnych zarysach scharakteryzować moich uprzejmych gospodarzy, aby tym sposobem dać ściślejsze wyobrażenie o warunkach, w jakich ich majątki oglądałem.

Pierwsze moje kroki zwróciłem do p. barona *Geraldo de Rezende*, posiadającego w okolicy Campinas pięć fazend: San Antonio, Santa Genowewa i trzy inne, których nazwisk zapomniałem zanotować. Pan Geraldo ma lat niewiele więcej nad 40. Podróżował wiele za młodu po Europie, gorliwy katolik i zapalony monarchista. Mogłbym go pod wieloma względami nazwać brazylijskim Ludwikiem Górskim. Fazenda jego jest wzorową, czyli jak tutaj nazywają, modelową, w całym tego słowa znaczeniu. Wszystkie maszyny i wynalazki znalazły tutaj zastosowanie. Równie gorliwym i troskliwym, jak o własne fazendy, jest i o swoich robotników. Zastałem tutaj samych włochów i kilku Niemców. P. Geraldo sam obwoził mnie po mieszkaniach, a nadto pozwolił najszczegółowiej zbadać książki zarobkowe robotników swoich z ostatnich lat trzech.

Druga moja wizyta była u p. *Paulino Carlos de Arruda Betelho*, w okolicy St. Carlo. Liczy on około lat 60, jest ojcem 16-ga dzieci, deputowanym na kongres związkowy i powszechnie uważają go za jednego z najbogatszych fazenderów w prowincyi St. Paulo. Do ostatnich czasów był on przywódcą obozu zacho-

wawczego. Nazwałbym go człowiekiem starej daty, ale bynajmniej nie w ujemnem znaczeniu. Nie jest pohopnym do reform i zmian, ale to, co się widzi, jest poważne i gruntowne. Do p. Paulino jeszcze powrócę, zastałem tu bowiem 16 rodzin polskich i 35 robotników, również polaków. Resztę stanowią włosi. Fazendy p. Paulino nazywają się: Baixado, Ponte Alba, Invernada, Gyasinga, cała zaś posiadłość nosi miano: Quebra-Canella (łamiąca nogi), zapewne skutkiem górzystego położenia.

Trzecim gospodarzem był wreszcie mój znajomy z okrętu, dr. prawa *José Negreiros*. Liczy on dopiero lat 27, jest jednak żonaty od lat 9-ciu i ma dwóch synów. Z niewypowiedzianą uprzejmością łączy on niepospolitą inteligencję, energię i zapał do pracy. Wybrano go świeżo deputowanym do kongresu stanu St. Paulo, ale godności tej nie przyjął, ponieważ, jak powiada, nie ma jeszcze czasu i doświadczenia do zajmowania się polityką. Dwie jego fazendy w okolicy Rio Claro, Cafezal i Boa Vista, noszą cechy dzielnej pracy. Ostatnia mianowicie, którą nabył w stanie opuszczonym, przedstawia niezbite dowody pracy i postępu.

Z powyższej charakterystyki łatwo się przekonać, że widziałem to, co było najlepszego w St. Paulo. W trzech odcieniach oglądałem fazendy dobre, jeżeli nie wzorowe. Nie łudzę się i nie łudźono mnie, iż fazenderzy w rodzaju pp. Geraldo, Paulino i Negreiros, nie stanowią wcale większości. Nie widziałem fazend złych lub niedbałych fazenderów, ale z opo-

wiadań różnych o tem, a szczególnie z krwawej doli naszych emigrantów, mogłem sobie stworzyć dokładne wyobrażenie. I dlatego też śmiało przystąpić mogę do opisu życia i pracy na fazendzie.

Przed dziesięciu jeszcze laty główną pracę na fazendzie spełniali niewolnicy murzyni. Kupowano ich w cenie od 800 milrejsów do 1.000, a nawet 1.200, względnie do sił. Niewolnik nie otrzymywał zapłaty, tylko żywność, odzienie, mieszkanie i opiekę. U dobrych fazenderów działo się mu nieźle. Bywały nawet wypadki, gdzie się wytwarzał stosunek patryarchalny. Murzyni dobrych swych panów nie opuszczali i pracują obecnie, po zniesieniu niewolnictwa, jako wolni robotnicy. Praca ich jednak nie idzie w porównanie z pracą białych, przytem i obecnie żyją oni bez żadnej przezorności, nie myślą o jutrze, wydając zarobki na wódkę, lub zaspokojenie łakomstwa.

U złych fazenderów murzyn był siłą roboczą, bydlęciem. Okrucieństwa i brak wszelkiej ludzkiej dbałości były tam na porządku dziennym. Historia niewolnictwa w Brazylii pisana jest krwią i łzami.

Wówczas już jednak, czy to przewidując rychłe zniesienie niewolnictwa, czy też oceniając wartość pracy białych, poczęto wszelkiemi siłami popierać ich napływ do Brazylii. Od roku 1871-go rozpoczyna się tedy rosnąca z każdym dniem imigracya.

Pierwotnie przybywający wychodźcy osiadali na fazendach, godząc się na „połowę“. Ugoda polegała na tem, że robotnik wraz z rodziną był obowiązany w ciągu roku spełniać wszelką robotę, a więc: pleć,

okopywać, oczyszczać i rwać kawę, znosić ją do suszarni, następnie na t. zw. toski i t. d. Po skończeniu roku fazender obliczał zebraną przez robotnika kawę, sprzedawał ją, a potrąciwszy na koszt amortyzacyi kapitału, wyłożonego na maszyny i komisowe,



Typ murzynki na fazendzie.

odpowiedni procent, dzielił się otrzymaną ceną do „połowy“ z robotnikiem.

Placa tego rodzaju nastroczała wiele trudności i nieporozumień. Robotnicy oskarżali fazenderów, że ich oszukują. Pomiar był bardzo trudny, bo za normę trzeba było przyjąć kawę surową, t. j. świeżo zebraną, która nie zawsze jednakowy wydawała plon. Nieba-

wem więc porzucono ten system i chwycono się innego, który do dziś ma zastosowanie.

Oto robotnik otrzymuje, w miarę liczby osób, składających jego rodzinę, pewną ilość drzewek rodzących i młodych. Liczbę tę bardzo trudno określić. Ulega ona ustawicznej zmianie. Mniej więcej, o ile mogłem się przekonać, rodzina, złożona z czterech głów, pracowita, otrzymuje od 5.000 do 7.000 drzewek rodzących i 2.000 do 3.000 młodych. Często spotyka się jednak cyfry mniejsze i znacznie większe. U pana Geralda np. widziałem rodzinę włoską, posiadającą tylko 3.000 drzewek, pomimo, że była złożona z pięciu głów, natomiast u pana Negreiros spotkałem również rodzinę włoską, złożoną jednak aż z trzech generacyj, która miała 25.000 drzewek. Za cyfrę normalną przyjmują 6.000 rodzących i 2.000 młodych.

Praca robotnika jest płacona dwojako. Najpierw za oczyszczenie, pielenie i wogóle całą robotę przy kawie, prócz zbioru, otrzymuje od 50-ciu milrejsów rocznie za każdy tysiąc. Jestto płaca stała i, o ile przekonać się mogłem, we wszystkich fazendach jednakowa. Przy zbiorze płacą za każdą *alkwirę* (50 kilo) surowej kawy. Płaca ta jest różna, ogólnie jednak obraca się między 300 a 400 rejsami od alkwiry. Nasi emigranci opowiadali mi o fazenderach, którzy mieli czoło, korzystając z ich nieświadomości, płacić im 200 rejsów za alkwirę.

Na zmianę ceny wpływa także i urodzaj. W la-

tach bardzo obfitych płacą mniej, w mało plennych więcej.

Nadmienię tu, co jest wielce charakterystyczne, że przy tak olbrzymiem podnoszeniu się ceny kawy, płace robotnika pozostały te same. Kaergerer podaje ich wysokość taką samą, a niekiedy nawet większą, jak ja ją zastałem. Potwierdzili mi to zresztą sami fazenderzy, dodając, że jeżeli cena kawy się utrzyma, to gotowi będą dorzucić coś do obecnej płacy od zbioru, lecz tylko tytułem jednorazowej, dobrowolnej gratyfikacji.

Niewątpliwie, przy czytaniu powyższych cyfr, każdemu narzuca się pytanie: co zatem robotnik przecięciowo zarobić może? Ścisła odpowiedź jest po prostu niemożliwa, zależy to bowiem od plonu kawy, oraz pracowitości i zręczności robotnika.

Nadmienię tu, że sama czynność zbioru dokonuje się w trojaki sposób. Pierwszy polega na delikatnem przesunięciu ręki po gałązce, przy odpowiednim ruchu palców, skutkiem czego dojrzałe jagody odpadają na ziemię, bez nadwężenia samych gałęzi i liści. Według drugiego sposobu — uderza się kijem po gałęziach. Trzeci wreszcie, dziś zupełnie zabroniony i surowo przez fazenderów karany sposób, zawisł na silnem omuskiwaniu gałęzi, wraz z liśćmi i jagodami. Gałęzie, w podobny sposób obrane, zazwyczaj schną. Również i drugi sposób zostaje, jako szkodliwy dla wydajności drzewa, zarzucony. Najwięcej zatem praktykowany jest pierwszy, który, jak łatwo się domyślić, wymaga pewnego przyzwyczajenia i zręczności.

Otóż robotnik nawykły, pracowity, przy dobrym urodzaju, może urwać od 5 do 6 alkwir dziennie, co, biorąc jako przeciętną płacę za alkwirę 350 rejsów, wynosi 1 mil. 100 rejsów. Kobiety i dzieci rwą znacznie mniej. Jednem słowem, przeglądając książki zarobkowe pp. Geraldo i Negreiros, mogę, jako przeciętny zarobek średniej rodziny w ciągu całego roku, przyjąć 900 milrejsów, wliczając już w to płacę stałą.

W dobrych fazendach rodzina, wedle ilości osób, otrzymuje cały dom, lub pół domu na mieszkanie. Domki, jakie widziałem, były urządzone schludnie i wygodnie. W innych jednak fazendach istnieją jeszcze do dziś lepianki murzyńskie, sklecone z gliny i trzciny, w których robotnicy ani wygody, ani należytego schronienia znaleźć nie mogą. Nadto robotnikowi wolno jest na swoją potrzebę między młodą kawę sadzić kukurydzę i w niektórych miejscowościach bataty (rodzaj słodkich kartofli). Resztę żywności kupują u fazenderów. Naturalnie, ceny artykułów onych zależą zupełnie od sumienności fazendera.

Ogólny tedy zarobek robotnika na fazendzie przedstawia się w ten sposób, że zazwyczaj pierwszy rok zamyka on długiem u fazendera, skutkiem kosztów urządzenia się, braku produktów, przez niego samego zasadzonych, oraz nieznanomości i braku wprawy w pracy. W drugim roku płaci długi z pierwszego; w trzecim zaś, o ile jest pracowitym, oszczędnym, może mieć już pewne oszczędności. Dodać muszę, że cena artykułów żywności, ubrania, obówia etc., bywa na fazendach droższa często, niż w mieście.



Dawny dom mieszkalny na fazendzie.

Wszystkie powyższe szczegóły nazwać należy normalnemi. Odnoszą się one do emigrantów portugalskich i włoskich. Pierwsi przybywają z zupełną znajomością języka, drudzy z mową tak pokrewną, że od pierwszej chwili są w możności porozumiewania się, jedni zaś i drudzy znajdują w Brazylii klimat bardzo zbliżony, pożywienie niemal to samo, a wreszcie, co najważniejsza, wypędził ich z kraju istotny brak pracy, a nie kłamliwe obietnice agentów. Emigranci więc portugalscy i włoscy są jakby u siebie: potrzeba kilka tygodni, aby do tych nieznanych różnic się przyzwyczaili.

Zgoła w odmiennem położeniu znajduje się emigrant polski.

Najpierw znęcała go do Brazylii nadzieja fantastycznych bogactw. Przrzekano mu zaspokojenie wszystkich jego pragnień, a więc: przedewszystkiem spodziewa się gruntu, inwentarza, lekkiej pracy i zupełnej niezależności. Zaledwie jednak zdołał wysiąść na ląd, a już czyha nań rozczarowanie.

Przekonywa się, że go oszukano najhaniebniej. Uparci i łatwowierni ludzą się jeszcze szunną nazwą kolonii i idą do owych dziewiczych lasów, o których najmniejszego nie mają wyobrażenia i w których znajdują niedolę bez granic, jeżeli nie śmierć. Nieco roztropniejsi, przeczuwając krytyczne położenie, poprzestają na skromnem wymaganiu pracy i ci idą na fazendy.

Tutaj staje jednak zaraz na wstępie pierwsza przeszkoda — niemożność porozumienia się. Biedny

chłopek, drapiąc się rozpaczliwie w głowę, stoi przed agentem lub *sui generis* tłumaczem, który języka polskiego należycie nie zna i którego tem mniej rzucić można. Ostatecznie, więcej na migi, niż rzeczywiście, porozumiewają się i nie mając nawet przybliżonego wyobrażenia o rodzaju pracy i zarobku, decydują się iść na fazendę. Jestto konieczność nieubłagana, musi się na nią zgodzić, czuje jednak całą krytyczną stronę swego położenia.

Dodać tu muszę, że zazwyczaj taki chłopiec nie dostaje się do dobrego fazendera, ten bowiem woli robotników portugalskich i włoskich, z którymi łatwiej może się porozumieć, a nadto nie ucieka się on do pośrednictwa agenta, lub tłumacza, gdyż własni jego robotnicy rekomendują mu, lub sprowadzają z Europy swoich krewniaków, przyjaciół, znajomych i t. d. Emigrant polski zwykle wpada w ręce złego chlebobawcy, który swoich robotników wyzyskuje, korzysta z ich nieświadomości i chętnie się ich pozbywa.

... Tutaj czeka go niedola zdwojona, pod której grozą, odarty z wszelkich iluzji, najczęściej nocą i piechotą ucieka do domu emigranckiego. Zawiedziony do reszty, zestrachany, zbiedzony, od tej chwili nie rusza się ztąd pod żadnym pozorem i ani nawet najświetniejsze obietnice nie zdołają go zniewolić do szukania innej fazendy. Siedzi więc, zrezygnowany na wszystko, bodaj na śmierć, aż przyjdzie chwila, gdy go przemocą wpędzą na okręt i powiozą gdzieś daleko — na dolę stokroć gorszą.

Lecz przypuśćmy inne położenie, że szczęśliwym

wypadkiem emigrant nasz dostał się do dobrego, lub znośnego fazendera. Od pierwszej chwili czuje się on wśród zgoła obcego otoczenia. Nikt go nie rozumie, ani on nikogo, cała więc jego bezsilność daje mu się uczuć odrazu. Robota jest mu zupełnie nieznana, równie jak ziemia i to, co w niej ma sadzić. Pożywienie odmienne w pierwszej chwili obudza jego wstręt. Ryż, czarna fasola, kukurydza, faryna, suche mięso, wszystko to faktycznie w gardle mu staje, a jednak nic innego dać mu nie mogą. Lecz wreszcie głód przewycięża odrazę, i biedak wstrząsając się, z konieczności zaczyna przełykać tę strawę.

Jako dowód, jak ta odmienność pożywienia potężny wywiera wpływ, przytoczę następujący przykład: U p. Paulino zastałem 23-letniego robotnika z fabryki Handkego w Warszawie, który, skutkiem zaziębienia się na okręcie, popadł w suchoty. Biedakowi należało się zaledwie kilka dni życia. Wydysponowawszy go na śmierć, zapytałem, czegooby sobie życzył.

— Ach, ojcie — odparł ze łzami — gdybym dostał małej kawałek razowego chleba, byłbym odrazu zdrowy.

Niestety, daremnie w Rio Clare i San-Paulo szukałem owego przysmaku, który niewątpliwie byłby biedakowi ostatnie osłodził chwilę.

Przewyciężenie jednak odrazy do pożywienia, to dopiero początek niedoli; za niem idą daleko cięższe walki. Oto przychodzi choroba aklimatyzacyjna, o której nie miał najmniejszego wyobrażenia, a więc:

wrzody, rany na nogach, puchlina, niemoc i inne nader ciężkie dolegliwości. Wielu choroba aklimatyzacyjna przyprawia o śmierć, z dzieci zaś umiera zazwyczaj 70 do 80%. Tym sposobem styka się biedak ze śmiercią, która, jeżeli jego samego oszczędziła, to natomiast porwała mu to, co najdroższe — dzieci. Mogę śmiało powiedzieć, że nie spotkałem ani jednej rodziny, w którejby śmierć nie sprawiła strasznego wyłomu.

Wszystko to dzieje się w pierwszych zaraz tygodniach.

Lecz oto, po długich i ciężkich cierpieniach, zdołał uniknąć śmierci, i złamany, przybity zawodem i rozpaczą, chwytą się onej pracy, jako jedynej deski zbawienia.

Czy może już koniec tym strasznym niespodziankom? Bynajmniej.

Czyha nań *pchła piaskowa* (*bicho de pe*), która, jak kleszcz, usadawia się pod paznogciami nóg, gdzie w ciągu kilku godzin składa swoje jajka. Potrzeba dwóch dni, aby to małe czarne stworzonko wywołało ranę, wielkości grochu, z tysiącem małych, ruchliwych żyjatek. Wyobraźmy sobie, że takich pcheł usadawia się dziesiątki, a nabędziemy pojęcia: w jakim stanie znajduje się ów nieszczęśliwy! A więc znowu ból i łóżko. Powoli dowiaduje się, że codziennie należy opatrywać nogi, szpilką usuwać pchły, a gdy to nie ustąpiło, ratować się naftą lub odwarem tytoniu. Ciężka zaiste i bolesna nauka!

Nie koniec jednak na tem. W lesie, na polu,

wszędzie, spotka się on z muchą złośliwą, która, kąsając, składa w ciało zarodek. W ciągu trzech dni miejsce ukąszenia brzęknie i ku wielkiemu przerażeniu spostrzega się w ciele poczwarkę, długości 8 do 10 milimetrów, zwaną *Berna*, która, oprócz dotkliwego bólu, sprawia nieznośne swędzenie. Znowu bolesne doświadczenie nauczy, że jedyny środek zaradczy stanowi kalomel, lub także odwar z tytoniu.

Pytam teraz, jakiej potrzeba rezygnacyi, energii, wytrwałości, aby to wszystko przenieść i ilu zdoła się wobec tych warunków oprzeć ostatecznej rozpaczy? Czuję, że będę posądzony o przesadę. Proszę spytać każdego powracającego z Brazylii, a z ich oderwanych opowiadań łatwo będzie można dojść do przekonania, że zgrzeszyłem jednym tylko, a mianowicie: nieudolnością przedstawienia całego rzeczywistego ogromu niedoli.

Przyznaję, że pierwiastkowo, czytając i słysząc o pracy na fazendzie, zdawało mi się, iż jeżeli gdzieś, to tutaj emigrant polski, jeżeli chce, znaleźć może egzystencję. Wystarczyło jednak zetknięcie się z rzeczywistością, abym zupełnie zmienił zdanie. Oświadczam stanowczo, że tylko wyjątkowe jednostki, po prostu fenomenalne natury i charaktery, mogą ocaleć, resztę czeka los najstraszniejszy.

Dodajmy do tego pracę wśród upału, zupełną nieznajomość wysokości zarobku, widok rosnącego w pierwszym roku długu, a wreszcie nieopisaną tęsknotę i brak tego wszystkiego, coby stanowiło mo-

ralną otuchę, lub podniecie, a doprawdy, siły ludzkie podolać tej niedoli nie są w możności.

Najlepsza wola fazendera nie tu nie pomoże. Miałem tego oczywisty dowód u p. Paulino, gdzie, jak wspomniałem, znajduje się 16 rodzin polskich i 35 robotników pojedynczych. Wszyscy oni ze łzami wdzięczności mówili o dobroci tego pana, o jego wyrozumiałości i troskliwości. Przytaczali mi przykłady, że chore ich dzieci brał do domu dla leczenia i pielęgnowania ich. Pomimo tego jednak, czuli się oni bez miary nieszczęśliwymi. Tęsknota, pamięć przebytej niedoli i obawa dalszej, uczyniła z nich bezmyślne, oswiałe, stargane rozpaczą istoty.

— Na klęczkach, o suchym chlebie — wołali — powrócimy do kraju. Bóg jednak widocznie chce, abyśmy tutaj pomarli. Kara to zasłużona, żeśmy słuchać nie chcieli.

Każdy z nich wie: ile przejazd kosztuje, a całem ich marzeniem: „Byle się dostać do Italii, a ztamtąd o proszonym chlebie do domu.“

Powtarzam, spotkałem się z takim stanem rzeczy u p. Paulino; cóż dopiero dzieć się musi gdzieś indziej, u tych fazenderów, którzy tak wzniośle swego zadania nie pojmują, jak on, lub z małemi odmianami rządzą się systemem z czasów niewolnictwa? Zrozumiałem dopiero przerażającą alternatywę znajdujących się w domu emigracyjnym w San-Paulo uciekinierów z fazend:

— Raczej umrzeć, niż iść na fazendy.

Oto wrażenia, wywiezione z wędrówki po fazen-

dach. Nie wchodzę w to, jak się na nich czuje portugalczyk, włos, a nawet Niemiec, ale to pewna, że chłop polski jest tam tak bezmiernie nieszczęśliwy, iż na opisanie jego niedoli każde pióro będzie jeszcze za słabe.

Poświęciłem dlatego właśnie obszerniejsze uwagi ogólnym warunkom pracy na fazendzie, aby przekonać, że nie sądził powierzchownie, ale o ile moje biedne serce znieść zdołało, patrzyłem bezstronnie i chłodno.

IV.

Dlaczego znalazłem się w Campinasie. — Murzyn jako robotnik. — Stosunek białych do czarnych. — Bezsenna noc. — Gawęda z Carlo. — „Kara św. Beneditta.“

 Pragnąc poznać warunki życia i pracy na fazendach, udałem się za radą nieocenionego, a kilkakrotnie wspomnianego przezemnie d-ra Gada, duńczyka, do Campinasu, w okolicy którego znajdują się liczne i wzorowe plantacje. Byłem zaopatrzony w listy polecające do br. Geralda de Resende i do kilku innych plantatorów. Istotnie, nie można było szczęśliwszego zrobić wyboru. Trzy dni, spędzone w okolicy Campinasu, pozwoliły mi zebrać sporą wiązkę wiadomości i informacji, z którymi podzieliłem się z czytelnikiem w rozdziale poprzednim.

Oprócz doli wychodźców obecnych na fazendach obchodziły mnie także żywo dawniejsze stosunki, kiedy jeszcze przeważnie pracowali tam murzyni niewolnicy. Przedewszystkiem starałem się zebrać w tym

względzie szczegóły u fazenderów. Nasuwało mi się jednak podejrzenie, że, jako bezpośrednio interesowani, przedstawiają mi ówczesne stosunki w barwach zbyt różowych, tem więcej, że to, co wiedziałem o stanie brazylijskiego niewolnictwa, nie przemawiało zbyt pochlebnie o znacznej większości ówczesnych pracodawców.

Murzyn, z tego co słyszałem, nie był dobrym robotnikiem, ale też nigdzie prawie nie obchodzono się z nim i nie oceniano inaczej, jak jako prostą siłę roboczą. Niewola nie była tylko formą stosunku pracujących do pracodawców, ale zazwyczaj wielce oplakaną rzeczywistością. Tu i owdzie zdarzały się wprawdzie stosunki patryarchalne. Niewolnik czuł się związany ze swoim panem nie tylko węzłami materialnej zależności, ale i moralnej wdzięczności; stanowił bowiem najpodrzedniejszy wprawdzie, niemniej jednak życzliwy, przedmiot jego opieki i troskliwości. Położenie takie wszakże należało do rzędu bardzo nielicznych wyjątków. Zwykle wiódł on żywot mizerny pod każdym względem; poniewierany, wyzyskiwany, źle odżywiany, łzony i bity, popadał w zupełną apatię i obowiązki swe spełniał mechanicznie, pod grozą kary. Dawano mu też uczuwać jego oplakany stan na każdym niemal kroku. Nic więc dziwnego, że w sercu jego zagnieździła się niechęć ku białym, częstokroć zaś nawet nienawiść ku srogim ciemniejącym. Uczucia te tłumił on w sobie, czując, że jakikolwiek ich objaw ściągnie na niego gniew i zemstę.

Niemalą też rolę w tych stosunkach odgrywała

pogarda, jaką zazwyczaj biali otaczają czarnych. Pogarda owa miała swoje źródło nie tylko w poczuciu wyższości cywilizacyjnej, ale także w owej naturalnej odradzie do potomków Chama, którą tylko łagodzi, lub zupełnie gdzieindziej znosi, podniosłe uczucie chrześcijańskiej miłości bliźniego. Niestety, na tem uczuciu nie zbywało brazylijskim panom i dlatego dotkliwszą była dla murzynów ich moralna poniewierka od materialnej. Dziś też, chociaż skutkiem zniesienia niewolnictwa, położenie czarnych stało się zupełnie innem, żyje w nich jednak wspomnienie niedawnej przeszłości i jeżeli już nie inne uczucie, to conajmniej poczucie żalu i wyrzutu przechowa się zapewne jeszcze bardzo długo.

Oczywisty i wymowny dowód tego usposobienia miałem przy następującej sposobności.

Wędrówka po fazendach nie jest rzeczą łatwą. Trzeba ją odbywać na koniach, które istotnie ze zdumiewającą zręcznością i wytrzymałością pną się po górach, spuszcza ją na doliny i przeciskają wśród wąwozów i wiszarów. Niestety, hipiczne moje zdolności należą do dawnych czasów, skutkiem tego też trzydniowa jazda dała się srodze we znaki moim kościom. Powróciłem do Campinasu zmęczony i zbity rzetelnie. Wypoczynek, a szczególnie łóżko, stało się ideałem moich pragnień. Niestety, w Brazylii tego rodzaju pragnienie trudno zaspokoić, tem więcej, gdy się ma za przytułek *Hôtel l'Orient* w Campinasie. Daremnie usiłowałem skleić powieki do snu. Gorąco dochodziło do 28 stopni Réaumura w pokoju, nieskończona ilość

najróżnorodniejszego robactwa oraz chmury całe komarów i moskitów, a wreszcie łóżko, twarde jak kamień, wszystko to, razem zebrane, rozwiało wnet moje iluzje do snu i wypoczynku. Wstałem więc niebawem i zapaliwszy świecę, zabrałem się do pióra.

Zwróciło to uwagę poczciewego Carlo, murzyna, przed trzema laty jeszcze niewolnika jednej z okolicznych plantacyj, obecnie zaś lokaja i na wpół nagiego garsona hotelu l'Orient w Campinasie, który, z powodu mego charakteru kapłańskiego, otaczał mnie szczególną troskliwością. Wsunął się tedy cichutko do izby i zapytał: czego potrzebuję, czy mi niewygodnie i t. d. Cóż miałem powiedzieć, wszak wiedziałem zgóry, że przy najlepszych nawet chęciach, nic poczciewiec nie poradzi. Przyszła mi natomiast myśl wypełnić część przynajmniej nocy w inny sposób.

Któż, jeżeli nie Carlo, który sam od dzieciństwa zażył niewolniczej doli, mógł mi o niej dostarczyć licznych szczegółów? O ile więc pozwalała moja znajomość języka portugalskiego, rozpoczęliśmy rozmowę o dawnych czasach i stosunkach. Carlo z początku zbywał mnie krótkimi odpowiedziami na dane zapytania; widząc jednak coraz żywsze moje zainteresowanie, rozwiązywał powoli swój język.

Z kolei rzeczy przeszliśmy na zarazę, która przed czterema laty nawiedziła Campinas i straszne wśród białych spowodowała zniszczenie. Prawie $\frac{1}{8}$ całej ludności padła jej ofiarą. Groza klęski dotąd jeszcze wisi nad miastem, które od tego czasu nie może powrócić do dawnego kwitnącego stanu, ogniska boga-

tej w plantacye kawy okolicy. Powód epidemii, ani nawet jej natura, nie zostały należycie zbadane. Murzyni zaś osnuli na jej tle formalną legendę, którą mi pocziwy Carlo z całą dobrą wiarą opowiadał, przypisując zarazę karze św. Beneditta, zesłanej na białych za ich ciężkie winy. Otóż, owo opowiadanie Carla starałem się ująć w pewną całość, która zarazem, zdaniem mojem, stanowić może oryginalną charakterystykę dawnych stosunków białych do czarnych.

Trzymając się przeświadczenia czarnego gawędziarza, nadałem i jego opowieści poniższą nazwę.

Kara św. Beneditta.

W Brazylii nie tylko słońce pali, ale i człowiekiem włada jakaś gorączka, której piętno znajdziesz na wszelkiej jego pracy. O wytrwałym, powolnym do robku niema tam mowy; kto dziś zasiał, jutro już chce zbierać. Jak drzewo pomarańczowe, które cztery razy do roku nie ugina się pod owocem, idzie na ogień, tak i człowiek gardzi pracą, co mu czworakiego zysku nie daje. Każdy żyje, oddycha, jedną wielką żądzą majątku. Co go to obchodzi, że do celu swego idzie przez nędzę i bóleści drugich, że broczyć musi wśród łez ludzkich? Co to obchodzi! On jeden tylko w Brazylii i cała Brazylia dla niego jednego.

Walka o byt i prawo mocniejszego, oto piętno

wyryte niemal na każdym kawałku ziemi, wydartej dzikiej przyrodzie!

Ziemia, zmożona nieubłaganą ręką człowieka, staje się żyzną, ale za to i dzikość jej przechodzi w jego serce. Chwasty, paprocie, nie mające końca liany, przestawszy wyrastać z ziemi, obierają sobie siedlisko w duszach ludzkich, a porosły je i skrępowwały tak silnie, iż miejsca w nich dla podnioslejszych uczuć zabrakło.

Więc wszystko dokonywa się w tej gorączce. Nikt niema czasu spojrzeć nawet ku niebu, z kądem wszelka płodność płynie, ale, zapatrzony w ziemię, w niej Boga swego — mamony — szuka.

Dziełem tej gorączki, dzieckiem chciwości człowieka jest rozległe i piękne dzisiaj miasto Campinas. Jeszcze przed 40-tu laty nie powstała tu noga ludzka. Szumiał tylko las nieprzebyty, szeptały niebotyczne palmy, a wąż pełzał po ziemi. Większy zwierz przestronniejszych szukał okolic. Małpy za to swawolnie igrały po splotach lianów. Czasami na gałęziach rozłożystego drzewa zasiadł potężny makuku, aby wyśpiewać w kwietniu pieśń miłosną. Szybowały też nad wierzecholkami prędkie jak strzała „żaku“, lub smukłe „żurity“, ale i to tylko w przelocie; żeru tu bowiem dla nich nie było. Kolibry za to figlarnie skakały z listka na listek, to goniąc za małą muszką lub innym owadem, to pijąc rosę z liści, albo słodycz z kwiatów.

Cicho i zgodnie było w lesie. Jeżeli stara palma pod brzemieniem lat paść miała, to ją przyja-

ciółki tak długo trzymały silnemi lian ramionami, aż biedaczka dopiero w próchnie do ich stóp się staczała.

I Bóg wie, jak długo jeszcze byłby spokojnie tutaj szumiał las, ze swoich dzikich gadów i ptaków drużyną, gdyby nie chciwość człowieka.

Naokoło Itu, zbudowanego przed kilkuset laty przez portugalczyków, oddawna prowadzili biali swoje rzemiosło. Na rozległych łąkach rosła kukurydza. Tu i owdzie uprawiano już kawę. Ziemia wydawała plon, ale w długim szeregu lat wyczerpała się jej płodność. Trzeba było pracy i to mozolnej pracy, aby z niej należyta wyciągnąć korzyść. Szemrali tedy mieszkańcy Itu na swoją dolę i każdy przemyślał nad tem, jakby, przy zmniejszonym zachodzie i trudzie, większe osiągnąć zyski.

Więc pewnego dnia, uzbrojeni w szpadle i motyki, z długimi nożami za pasem, którymi wśród wiecznego lasu drogę sobie torować trzeba, wyruszyło czterech Itujezyków, kierując się ku wschodowi. Szli długo, wdrapując się na skały i góry, rozcinając po lesie lianów sploty i co chwila zatapiając swoje szpadle w ziemię. Widocznie jednak znaleźć nie mogli czego szukali, bo szli coraz dalej.

Po trzech tygodniach mozolnej drogi, zmęczeni, poszarpani przez drzew gałęzie, żalując już gorzko niewdzięcznej wyprawy, postanowili po raz ostatni zapuścić szpadle w ziemię. Lecz, o dziwo! za chwilę wyciągnęli je jakby w krwi zbroczone.

— Terra roxa! (rosza) — zawołali wszyscy czterej zdumieni.

Tak, w istocie, była to terra roxa! Któżby jej nie znał, lub przynajmniej nie słyszał o jej cudownej płodności? Nazwy, zarówno jak i koloru, zapożyczyła ona od krwi, do której tak jest podobną, że gdy z grzbietu murzyna, smagniętego batem dozorecy krew kroplistym strumieniem spłynie, to się z ziemią łączy, jakby dwie bliźnie siostrzyce i rozpoznać nie można co krew, a co ziemia. Starzy mówią nawet, iż z grzbietów murzyńskich przez wieki tyle w tym kraju krwi spłynęło, że od niej nietylko kolor, ale i płodność ziemi pochodzi. Ktoby tam sprawdzać to chciał? Cóż komu z tego przyjdzie, ile i jak murzynów tutaj bito!

Radość itujczyków nie miała granic. Patrzyły wprawdzie na nich z trwogą niebotyczne palmy, liany drzeń poczęły, ptactwo z krzykiem uciekło na wyższe gałęzie, nawet wąż pelzł ku większej gęstwinie. Oni tymczasem, szczęśliwi i zadowoleni, na palcach przysze korzyści liczyli.

Upłynęło od tego czasu lat dziesięć.

Tam, gdzie niegdyś szumiał las nieprzebyty, jak okiem sięgniesz ugiwały się pod ciężarem czerwonych jagód krzewy kawowe.

Gdzieniegdzie wystawał jeszcze pień piniera, to znowu nawpół zwęglona kłoda mangeiry legła na ziemi, czekając, aż czas ją w próchno obróci. Gdzieindziej wiotka palma wystrzelała w górę. Były to ostatnie szczątki minionej przeszłości.

Inne tu teraz zupełnie zapanowało życie. Ani potężny makuku, ani prędkie jak strzała żaku, ani smukłe żurity, nie błakały się już więcej w tej stro-

nie. Natomiast stada całe nawpół drzemiących „urusów“ wyczekiwały na żer obfity. Ponure te sepy ścigać się zwykły około osad i miast. Zdarzy się bowiem, że stary muł zdechnie, lub bydlę, ukąszone przez jadowitego gada, padnie, to wnet obsiadą go, jak szarańcza i w niespełna godzinę białe już tylko sterczą kości. Ba, nieraz bywało, że zabrakło ludziom czasu zmarłemu murzynowi gdzieś na uboczu głębszy dół wykopać, to nazajutrz rano wschodzące słońce oglądało już tylko nagi szkielet, wyzierający z ziemi.

Dziwne to zwiastuny życia i śmierci.

Towarzyszą one człowiekowi, lecz po to tylko, by mu z przed oczu zgniliznę uprzętać. Ma on też dla nich wielkie poszanowanie i nawet dla igraszki urusowi krzywdy nie robi.

W dolinie widać było czerwone dachy domów, a między nimi i na okolicznych wzgórzach, niby małe stożki siana, pokryte liśćmi palmitów, wyzierały skromne szalasy murzyńskie. Owych czerwonych dachów naliczyć już było można sporo. Jak to bowiem zawsze między białymi bywa, za owymi pierwszymi itujczykami pociągnęli inni, synowie, krewni, przyjaciele, znajomi, dosyć, że ich domostwa stanowiły już pokątną osadę, która nawet przybrała nazwę Campinas, dlatego, że rozpościerała się w dolinie, otoczonej ze wsząd wzgórzami.

Upłynęło znów lat dziesięć.

Campinas liczyło już około tysiąca mieszkańców, naturalnie białych, ktoby tam bowiem liczył murzynów. Miał ich każdy fazender tyłu, ilu było potrzeba

do obrobienia plantacyi. Z dumą tedy patrzyli itujczycy na swoje dzieło, a kawa ich dostarczana do Santos i St. Paulo, corocznie napelniała kiesy błyszczącym złotem. Nieraz temu i owemu przyszło do głowy, iż tak pokaźna osada, jak Campinas, powinna mieć świątynię, a bodaj i kapłana, coby śluby błogosławił, chrzczył dzieci, no i grzebał umarłych, w tych tylko chwilach bowiem czuli mieszkańcy Campinas potrzebę styczności z Bogiem, ulegając dawnym raczej z lat dziecinnych wspomnieniom, niż serca i duszy potrzebie.

Ale jakoś odkładano to z roku na rok, odnajdując coraz to nowe trudności, najczęściej w skąpstwie i chciwości mające swoje źródło.

Zresztą o modlitwie nie myśleli wiele, pracując w świątek i piątek, bez ustanku, bez wytchnienia. Wypoczywali tylko chorzy i starcy.

Ale za to wśród szalasów murzyńskich tu i owdzie widniał krzyż biały, wyciosany z drzewa, przed którym, co wieczór i ranek, klęczała czarna drużyna, skrapiając ziemię łzami, które z pod powiek wyciskała niedola lub nadzieja.

Widocznie ten Pan, który czyta w sercach ludzkich i zna gorące dusz pragnienia, postanowił zesłać murzyynom niespodzianą pociechę.

Oto pewnego dnia rozeszła się pogłoska, iż z polecenia biskupa z St. Paulo przybędzie do Campinasu kapłan, aby sprawować przez czas pewien dusz pasterstwo. Jakoż nie upłynęło kilka tygodni, a w Campinasie zjawił się padre Antonio.

Był to starzec lat około 60-ciu, ale jeszcze rzeźki,

a przytem dziwna, porywająca dobroć mówiła z jego twarzy. Znali go wszyscy ubodzy w San Paulo, wśród nich bowiem strawił padre Antonio ostatnie lat 10. Dawniej był on na misyi w Rio-Grande, potem nawracał indyan w okolicy Ponta Grossa i San Mateus. Tu jednak, dotknięty ciężką chorobą, musiał podążyć do San Paulo, aby pokrzepić nadwątlone siły. Wśród łaknących i pragnących znalazł on niebawem swoje dziatki i byłby wśród nich spędził resztę dni żywota, gdyby nie wola biskupa, która go posłała do Campinasu.

Boże mój, jakaż to była radość, gdy w dzień Bożego Narodzenia, w naprędcie z palmitów wzniesionym szałasie, padre Antonio po raz pierwszy odprawił świętą Mszy ofiarę.

Tuż przy oltarzu stanęli biali, przybrani w świąteczne szaty. Przecież im pierwsze należało się miejsce.

W tej chwili i w ich sercach drgała jakaś rzewniejsza nuta, a myśli biegły daleko w przeszłość, stawiając przed oczy dawnych lat bogobojne wspomnienia. Nie jeden wstydliwie spuszczał oczy, może pod ciężarem wyrzutów sumienia, a może czując w tej chwili, więcej niż kiedykolwiek, swoją nicość i niemoc wobec potężnych zrządeń Opatrzności.

Przed szalasem, jak okiem sięgnąć, widać było długie murzynów szeregi. Wzniesione ręce ku niebu, załzawione oczy, z głębi serca wydobywające się westchnienia, świadczyły: ile rzewnych a bogobojnych uczuć rozbudziła w czarnych piersiach Przenajświętsza Ofiara.

Lato było w pełnym rozkwicie, więc jaskrawe promienie słońca spadały z nieba na twarze zatopionych w gorącej modlitwie i nadawały im jakby kolor spiżu, a łzom, spływającym po licach, blask brylantów. Istotnie, spiżowej trzeba było natury, aby podolać murzyńskiej doli. A może też w tej chwili w owych promieniach światła Bóg zlewał na uciśnionych hart, siłę i wytrwałość...

Po skończonem nabożeństwie, gdy murzyni, po krzepieniu na duchu, szli do swoich nędznych szałasów, padre Antonio zebrał około siebie celniejszych fazenderów Campinasu. Było między nimi dwóch starych itujezyków, którzy przed 30-tu laty przybyli tu z siekierą i szpadlem. Dwaj inni legli już w grobie; na wzgórzu, wśród drzew kawowych, usypano im dwie mogiły. Znaku krzyża na nich nie było, tylko cztery palmy skłaniały nad każdą swe liściaste korony.

Kapłan prawil długo i gorąco, obecni słuchali go z natężeniem. Stary murzyn José, który podczołgał się pod szałas, nie mógł słyszeć wszystkiego; dołatywały go tylko oderwane wyrazy:

— Bóg... błogosławieństwo... nagroda wiekui-sta... dom boży... i t. d.

Potem padre Antonio unilkł, a wśród zebranych zahuczało jak w ulu.

— Po co kościół! — wołali jedni.

— Nasza duma tego wymaga — odpowiadali drudzy.

— Kto tam będzie chodził, chyba czarni — dał się słyszeć głos, przypominający skrzeczenie żaby.

— Tak! Nie!... Chcemy! Nie chcemy! — krzyżowało się na wszystkie strony.

— Cicho! — rozległo się wreszcie potężnie.

José poznał głos starego itujczyka, Demetria.

Miał on w całej osadzie wielkie poważanie, najpierw dla swego wieku, a powtórę z powodu bystrego rozumu.

Istotnie, zamilkły swary, gdzieniegdzie tylko, jak brzęk muchy, słychać było przytłumione szepty.

— Tak — rzekł stary itujczyk — padre Antonio ma słuszość! Należy się to od nas Bogu, który pobłogosławił naszym pracom i zabiegom. Campinas, ino patrzyć, kiedy będzie miastem. Wstyd, gdyby to uczynić mieli inni. Więc stanie się wedle słów waszych, padre. Ja to biorę na siebie, reszta pójdzie za mną. Wszak tak? Czy nas nie stać na to?

Nikt nie odparł słowa.

Tego samego wieczora obiegała po całej osadzie wieść, że niebawem stanie w Campinasie kościół! Biali podawali ją z dumą jedni drugim; w szalasach zaś murzyńskich wyciskała ona z oczu łzy, lecz tym razem łzy radości i wdzięcznego rozrzewnienia.

Istotnie, nie upłynął rok, a w Campinasie stanęła świątynia; skromna wprawdzie i niewielka, z nieciosanego kamienia; poskąpiono jej nawet wieżycy, tylko żelazny krzyż, połyskujący w słońcu i w środku dachu umieszczony dzwonek, dla wzywania wiernych na modlitwę, odróżniały dom Boży od reszty domów Campinasu.

I znowu, w dzień Bożego Narodzenia, padre Antonio odprawiał po raz pierwszy nabożeństwo w nowym kościółku.

Był to dzień uroczysty dla całej osady.

Od samego rana z sykiem wzbijały się setki rakiet, które przy świetle dnia zaledwie gdzieniegdzie maleńki obłoczek dymu po sobie zostawiały, radując świętujących jedynie hukiem swych petard w powietrzu. Za to, gdy zmrok zapadł, miliardy iskieł błyszczały nad Campinasem, wtedy już bowiem rakietom, szmermelom i innym uciechom fajerwerkowym, nie było końca. Taki to już bowiem zwyczaj w Brazylii, że nawet cześć dla Stwórcy w ten hałaśliwy sposób się objawia.

Na wielkim tarasie, przed fazendą Demetria, odbywała się uczta dla murzynów. Od tylu lat po raz pierwszy przypomniano sobie, że i im chwila uciechy się należy. Zatoczono duże beczki z kaszase, a w olbrzymich kotłach gotowała się czarna fasola z suchym mięsem i ryż.

Zabawa szła ochoczo, lecz przyzwoicie.

Dziewczęta, stanawszy kołem, popisywały się jedna po drugiej owym monotonnym tańcem, któremu dopiero wyraz jakby w myślach pracującej twarzy, dodaje pewnego wdzięku. Młodzież, dopóki na nią nie przyszła kolej stanąć przed tancerkami i wtórować im w płasach, pokrzykiwała w takt za muzykantami, którzy grali na piszczałkach i bębnach. Starzy tymczasem, leżąc na murawie, przeżuwali w białych zębach patyczki drzewa cukrowego i z nieśmiałością

półgłosem gwarzyli o swej doli. Młódź, w upojeniu zabawy, zapomniiała o rzeczywistości, u nich zaś wpila się ona w krew i kości, w całe, nadludzką pracą star-gane, życie; nie dziwić się przeto, że nawet w tej czwili była im na myśli. Pocieszali się tylko, że dziś będzie przynajmniej gdzie się użalić i wypłakać, gdy ciężki los zanádto dokuczy.

Z okien obszernego domu Demetria biła istna luna od światła, a wrzawa hulaszczej wesołości biegła daleko po rosie między plantacye; drzewa jednak kawowe, przyzwyczajone wysłuchiwać tylko jęków i narzekań, ze zdumieniem tłumiły nieznane im dotąd echa.

Kto żyw, podążył na zaprosiny starego itujezyka, który z dumą krzątał się wśród swoich gości, wydając co chwila rozkazy murzynom, roznoszącym chłodzące napoje i owoce. Muzyka, sprowadzona z San-Paulo, przygrywała do tańca, a objęte silnem ramieniem dorodnych chłopców tancerki przypominały stado białych mew, pływających w powietrzu nad lśniącą powierzchnią morza. Od czasu do czasu hałas się wzmaczał i zlewał w jakiś chór krzykliwy, ponad którym górowały nawpół pijane głosy biesiadników: pito wtedy zdrowie któregoś z cnych obywateli Campinasu.

Gdy przyszła kolej na samego Demetria, sześć moździerzy ryknęło strasznym hukiem. Był to zarazem sygnał rozpoczęcia się wielkiego fajerwerku.

Wszystko wyległo przyglądać się temu widowisku.

Płonęły dziesiątki beczek nafty, a różnokolorowe

ogie bengalskie oblewały jakimś dziwnem, ustawicznie zmieniającem się światłem, białe i czarne twarze ciekawych.

Tymczasem pyrotechnik miejscowy produkował arcydzieła swej sztuki, którym towarzyszyły okrzyki zachwytu, wyrrywające się z setek piersi.

Księżyc dawno wytoczył swoją pyzată twarz na zasiany milionami gwiazd horyzont, a w domu Demetria jeszcze w najlepsze huczała zabawa. Częściej tylko słychać było krzyki pijanych, a od czasu do czasu wymykała się chwiejna postać, która zataczając się, ginęła w cieniu letniej nocy.

Murzyni od dwóch godzin podążyli już do swoich szalasów, jutro bowiem czekała ich zwykła, nużąca i krwawa praca, więc Anioł snu rozpostarł nad ich szalasami swoje skrzydła, zlewając wypoczynek i ulgę.

Nazajutrz istotnie wszystko wróciło do dawnego trybu. W plantacjach pracowali murzyni, zbliżała się bowiem pora zbioru, należało więc oczyścić ziemię, aby spadające dojrzałe jagody kawy nie tarzały się w piasku. Słońce przypiekało po dawnemu, a chmury brzęczących moskitów unosiły się nad zlanymi potem głowami.

Padre Antonio, którego niebawem biskup zamianował proboszczem w Campinasie, odprawiał codziennie Mszę św. w swoim kościółku. Z początku biali, nawet w dnie powszednie, śpieszyli do świątyni: zajmowała ich nowość. W niedzielę zaś kościółek tak był zapehany, że wchodząc na ambonę, kapłan widział

tylko zbitą masę głów ludzkich, poruszanych siłą tłoku, jak łan dojrzałej kukurydzy od powiewu północnego wiatru. Murzyni nie wchodzili do wnętrza — nie było już tam dla nich miejsca — klęczeli pod gołym niebem, zatopieni w cichej modlitwie, równie gorącej, jak promienie słońca, które prażyły ich nawpół nagie grzbiety i odkryte głowy.

Powoli pobożność białych słabnąć poczęła. W dnie powszednie wstrzymywało ich od kościoła zajęcie. Z czasem jednak w niedziele i święta znajdowały się coraz częstsze przeszkody. W miarę tego, jak ubywało białych, wchodzili murzyni, najpierw z pewną trwogą, potem, widząc opustoszałą świątynię, coraz śmielej, aż po upływie kilku miesięcy oni sami już zapelniali ubożuchny dom Boży.

Bolał wielce padre Antonio nad tą zmiennością swoich białych owieczek, a bolał tem więcej, że rozumiał, iż płynie ona z serc zwiędłych i obojętnych dla podnioslejszych uczuć pobożności. Usiłował on jeszcze podnieść te wystygłe dusze, sam chodził wieczorami do ich wygodnych siedzib, zachęcał, przekładał, upominał, ale niestety, zazwyczaj wracał smutny, przybity. Widział, jak małe zbiera ze swojej pracy owoce. Czasami ten i ów, zniewolony gorliwością pasterza, zaszedł do kościółka, ale było to jakby z musu lub wstydu, a nie z serca potrzeby. Stronił więc znowu, a nawet, gdy przypadkiem spotkał gdzieś na drodze sługę bożego, krył się do pierwszego lepszego zaułka, aby uniknąć tych słodkich oczu, z których tyle przemawiało żalu i wyrzutu.

Jak ojciec, gdy straci jedno dziecko, całą potęgę rodzicielskiego uczucia zwraca ku pozostałemu, tak padre Antonio poświęcił się zupełnie murzynom.

Bywało, zaledwie brzask dzienny sinem światłem oblał osadę i okoliczne wzgórza, już kapłan stawał przed swoim kościółkiem, by błogosławić ciągnące do plantacyj długie rzędy czarnych. Każdy zginał kolana, a on nad jego głową znak krzyża zataczał, dodając dobrotliwie „Z Bogiem!“

W czasie dnia, wśród największego skwaru, sam w dużym, ryżowym kapeluszu, z kijem w ręku do plantacyj chodził i tam upadających pod ciężarem pracy do wytrwałości zachęcał. Wszyscy uczuwali się jakby orzeźwieni i nowe siły wstępowały w strudzone członki.

Skoro zmierzch zapadał, luna biła od okien i na oścież otwartych drzwi świątyni. Przed rzęsiście oświetlonym ołtarzem klęczał padre Antonio, odmawiając wieczorne pacierze. Co chwila wchodziła do kościoła gromadka czarnych; słyhać było tylko głuchy odgłos ich kolan, upadających na drewnianą podłogę, oraz stłumione westchnienia, czasami jęki, wydobywające się z piersi. A potem głosy zlewały się z modlitwą kapłana i tworzył się jakoby chór jeden, rzeźny, błagający o litość, pociechę i umocnienie.

Dzięki staraniom padre Antonia, zaniechano robót w niedziele i święta, czarna dziatwa natomiast zaraz po południu gromadziła się w świątyni, gdzie kapłan mówił jej o dobrym Bogu, o wielkości miłości, wierze, nadziei, miłości boskiej i bliźnich,

przebaczaniu uraz i innych pięknych rzeczach, o których później całemi wieczorami w szałasach musiała opowiadać starszym.

Żaden murzyn nie umierał już bez Boga, nie chowano go także gdzieś na uboczu, ale w mogiłę na cmentarzu, gdzie zaraz nazajutrz niewidzialna ręka zatykała biały, z drzewa wyciosany krzyż, na znak, że tam chrześcijańskie spoczęło ciało.

Dziwnym jakimś sposobem pasterz zawsze wiedział, gdzie łzy płyną, gdzie niedola srodzej gniotła, gdzie smutek targał serca. O zmierzchu niepostrzeżony zakradał się do szałasów. Siedział tam zazwyczaj długo; co mówił, co robił, nikt nie wiedział, prócz samych nieszczęśliwych. Opowiadano tylko — byli nawet tacy, którzy zaręczali, iż na własne widzieli oczy — jak niebawem Anioł pocieszenia rozpościerał nad szałasami swoje skrzydła. Gdy starzec wychodził, rozwiane powiewem wieczornego wiatru siwe jego włosy i oblana srebrnem światłem księżyca cała postać, przypominały istotnie coś anielskiego.

Pewnego razu padre Antonio zginął.

Nie było go długo, niemal cztery tygodnie. Murzyni drżeli z niepokoju, coby z ich ojcem, bo tak go nazywali, stać się mogło.

Aż jednej soboty, gdy już słońce skłaniało się ku zachodowi, a murzyni zwykłym trybem powracali od pracy, przechodząc z tęsknem spojrzeniem około ciemnego i zamkniętego kościółka, ku wielkiej radości ujrzeli powracającego księdza.

Padre Antonio siedział na wozie, ciągnionym

przez dwa muly, po których zmęczeniu i zapadłych bokach znać było, że daleką odbyły podróż. Wszystkie oczy na siebie zwróciła duża paka, którą pasterz przed sobą umieścił, i widocznie, jak coś wielce cennego, uważnie pielegnował, broniąc od zbytniego pochylenia na nierównej drodze. Ale któżby go pytał, gdzie był i co wiezie, dosyć że go oglądali zdrowo i cało.

Wnet wóz otoczył tłum czarnych, a każdy tłoczył się, by jeżeli już nie rękę, to przynajmniej zakurzoną sutannę powracającego ucałować. Baczniejsi zauważyli, że padre Antonio miał twarz dziwnie rozpromienioną i tajemniczą zarazem, a z czoła jego biło jakby szczęście i zadowolenie. Cóż w tem jednak dziwnego, wszak wracał do swoich dziatek?

Cały korowód wreszcie przybył przed kościół. Padre Antonio zsiadł z wozu, przykląkł i oparłszy głowę o zamknięte drzwi świątyni, modlił się długo. Potem wstał, przeżegnał murzynów, którzy za jego przykładem także upadli na kolana, dziękując za powrót pasterza, i nie mówiąc znikł we drzwiach swej skromnej chaty.

Dziwiło wszystkich, że długo w nocy jakieś światła drgały we wnętrzu kościółka. Widziano także w oknach cień, jakby krzątającej się, postaci. Potem światła zgasły i ciemność nocna zaległa wszędzie.

Zaledwie wschodzące słońce pierwsze promienie rzuciło na drzemiącą jeszcze ziemię, a w szalasach murzyńskich kto żyw zrywał się na nogi. Wszak to była niedziela, a przytem tak się stęsknili za domem

bożym, należało więc pośpieszyć, by coby prędzej u stóp dobrotliwego Boga złożyć swoje uczucia i pragnienia. Niebawem rozległ się głos dzwonka, wzywający na ranną modlitwę, a drzwi świątyni rozwarły się, jakby zapraszając do wnijscia pobożnych. Ciągnęły więc znowu długie czarne rzędy, lecz już nie ze spuszczoną głową, jak codziennie do plantacyi, ale z podniesionem czołem, promieniejącą twarzą.

Gdy pierwszy murzyn zbliżył się do drzwi kościelnych, stanął jak wryty; za nim uczynił to drugi, dziesiąty, setny, aż utworzył się cały tłum czarnych, niby skamieniałych postaci.

Był-że to sen, czy rzeczywistość?

Przecierali oczy, które jakby wybiegać chciały z oprawy. Wpatrywali się coraz pilniej, w niemem upojeniu, niedowierzając własnemu wzrokowi.

Nie! to nie złudzenie lub senna mara! To rzeczywista prawda!

Tam, z boku wielkiego ołtarza, wśród jarzących świec, stała statua św. Beneditta. Ta czarna twarz, te wydęte wargi, otwarte, wielkie białka oczu, kędzierzawa głowa, jednym słowem murzyn z krwi i kości, który, pozyskawszy przez niewolę koronę świętości, stał się przed tronem Najwyższego orędownikiem wszystkich czarnych.

Tak, to on, św. Beneditto!

Szary, mniszy habit pokrywa jego piersi, a wyciągnięta czarna ręka zdaje się jakby zachęcać: „Pójdźcie do mnie bracia niedoli!”

Tłum dłużej wytrzymać nie mógł.

Jakiś ryk wydobył się z setek wezbranych szczęściem piersi i cała gromada, jak kosą podcięte zboże, padła na ziemię, pelzając wśród płaczu radości na kolanach ku świętemu patronowi.

Przy ołtarzu stał już padre Antonio w kapłańskich szatach. I on nie zdołał się oprzeć rozrzewnieniu, długi bowiem strumień łez spływał po jego pomarszczonem, promieniejacem w tej chwili zadowoleniem lieu.

— Tak, dziatki moje — rzecze — przywiozłem wam tę statwę, aby przypominała wielkie cnoty waszego brata, dziś zaś orędownika w niebie, a blaskiem ich zachęcała do miłości pracy, bojaźni bożej i wytrwałości. Ilekroć los srogim dla was będzie, pamiętajcie, że on cierpliwie go znosił; gdy rozpacz do serca się zakradnie, iż on mężnie się jej bronił; gdy chęć zemsty szarpać będzie, że przebaczać tylko umiał; gdy pokusa nad wami zawisnie, że ją mężnie zwyciężał; gdy nadzieja opuści, że jej w Niebie jedynie szukał i znalazł.

Istny szal szczęścia opanował murzynów. Nie wiedzieli co czynić, czy całować statwę św. Beneditta, czy stopy kapłana; czy się modlić, czy krzyczeć radośnie. Matki podnosiły dziatwę, starsi prostowali swoje zgarbione grzbiety, niżsi wspinali się na palce, wszystko pragnęło upoić się tym widokiem. Czyż bowiem marzyć kiedykolwiek mogli, że oglądać będą ten drogi wizerunek Świętego, o którym wiedzieli z opowiadania starych, że wszystkie łyzy murzyńskie przed Bogiem liczy.

Cały dzień, do późnego wieczora, kościół był natłoczony, nikt nie myślał nawet o posilku. Jedni ustępowali miejsca drugim, lecz po to tylko, aby wracając, zawiesić na statui to srebrną monetę, to czerwoną odświętną wstęgę, to sznur koralu, to wreszcie wieniec z misternie ułożonych liści i jagód kawowych.

Starsi zebrali się u padre Antonia na naradę. Postanowiono wybrać sześciu najdorodniejszych młodzieńców, celujących nie tylko urodą, ale cnotą, trzeźwością i pracą. Będą oni podczas procesyi na swych barkach dźwigać drogą statuę.

Bogobojne matrony wskażą dwanaście dziewcząt nieskazitelnej niewinności, które w czerwonych chustach na głowie, otoczą jakby wiankiem Świętego, sypiąc kwiaty i wdzięczne pieśni śpiewając.

Kiedy w następną niedzielę wyruszył z kościoła ten wspaniały korowód, serca oniemały z radości nie wyskoczyły z murzyńskich piersi. Nad czarnym tłumem wznosiła się czarna postać św. Beneditta, która, przechylając się w miarę kroków dźwigających ją w pobożnem skupieniu młodzieńców, na jedną i drugą stronę, jakby błogosławiła wszystkich. Dwanaście głów, przystrojonych w zwoje czerwonych chustek, otaczały ją u podnóżka, niby wieniec z kwiatów.

Rzeczna pieśń płynęła z młodych piersi, jak jeden ton, przenikając przestworza, hen daleko, w górę, aż przed tron Najwyższego.

Biali, stojąc na uboczu, z ciekawością przyglądali się temu pochodowi. Dziwił ich niepomniernie, a nadto zdumiewał poniekąd tem, z kąd się wziął? Nie

bywając w kościele, nie wiedzieli nawet o podróży padre Antonia, ani o darze, jaki dla swoich dzieciak przywiózł. Powoli jednak do serc ich zaczęła wkra-
dać się zawiść. Czy to oni dla czarnych wystawili kościół? Na co niewolnikom te imponujące procesye? O świętym Benediccie nikt z nich nie słyszał, a na-
wet i wierzyć teraz nie chciał, aby w niebie przyj-
mowano takie poczwary; wszak ono tylko dla bia-
łych stworzone! Zresztą, czy to nie obraza dla nich,
aby murzyni śmieli prezentować im jakieś korowody
ze swoim czarnym Świętym? Jedni radzili ze sobą,
drudzy oburzali się głośno; byli zaś i tacy, którzy
obiecywali na przyszły raz batami rozpedzić czarną
tłuszcę.

Nazajutrz udał się do padre Antonia sam De-
metrio.

Siedział tam długo, a kiedy wyszedł, czoło jego
gniewnemi pokryło się zmarszczkami.

W kilka dni później stary itujczyk wyjechał.
Nie było go również parę tygodni, a kiedy powrócił,
wiozł ze sobą podobną zupełnie, co i padre Antonio,
pakę, tylko o wiele większą.

W niedzielę aż łuna biła od wielkiego ołtarza,
gdzie po prawym boku lśniła się w złocistej szacie
wspaniała statua Matki Boskiej. Murzyni nie posia-
dali się z radości. Toż owa Królowa niebios, pocie-
szycielka strapionych, do której w niedoli tyle zasy-
łali modlitw, raczyła wstąpić wśród nich i obok uko-
chanego patrona, osiąść w ubożuchnym kościółku!
Tyle łaski, tyle szczęścia, niemal pomieścić nie mogły

ich biedne serca. Nie ta zlocista szata ciągnęła ku sobie ich oczy, ale wdzięczna miłość dla Tej, przez którą tak często szerokim strumieniem spływała otucha i ukojenie.

Nadchodziło właśnie Boże Ciało.

U Demetria zebrana walna narada, jakby w tym dniu po raz pierwszy nową statuetę najwspanialej przedstawić, a zarazem całą świetność procesyi rozwinąć. Późno w noc trwały głośnie debaty, które czasami zamieniały się w krzykliwą wrzawę. Widocznie zebranym trudno było się porozumieć.

Z samego rana trzech najpoważniejszych fazenderów, ze starym itujczykiem na czele, podążyło do plebanii, aby padre Antonio swoje uchwały przedstawić.

Starzec zdrętwiał.

Żądano od niego ni mniej, ni więcej, tylko, by murzynom udziału w procesyi zabronił, a nawet na ten dzień statuetę św. Beneditta z kościoła usunął. Łagodny kapłan zawrzał cały oburzeniem. Długo tłumiona gorycz popłynęła szerokim potokiem, a gromkie jego słowa siekły, jak biczem, oniemiałych tem uniesieniem starca, wysłańców.

Wreszcie stanęło na tem, że procesya murzyńska wyruszy naprzód, potem zaś w pewnym odstępie od nich posuwać się będzie korowód białych.

Padre Antonio nie dał swego przyzwolenia, ale machnął gniewnie ręką i rzekłszy:

— Oby wam Bóg tę pychę przebaczył! — wyszedł do przyległej izby.

Nadszedł wreszcie dzień uroczysty.

W całym mieście, gdyż przed kilkoma miesiącami Campinas podniesione już zostało do godności miasta, na dowód czego otrzymało załogę, 40-tu obdartych żołnierzy brazylijskich, panował ruch gorączkowy. Po ulicach uwijały się w białe suknie przystrojone dziewczęta, które, zdawało się, że jak śnieżne gołębie wzleciały chwila w powietrze na przypiętych do ramion skrzydłach. Młodzież, przy odświętnych szatach, miała u boku duże pęki kwiatów, a szerokie czerwone wstęgi opasywały ich biodra. Starsi trzymali w ręku pochodnie. Nedorostki zaś biegały na wszystkie strony, psocąc i niepokojąc zajętych przygotowaniami.

Prześliczny dzień jesienny dodawał uroczystości niezwykłego uroku. Słońce nie dopiekało tak dokuczliwie, a natomiast łagodne jego promienie oblewały miasto owym jasnym, przezroczystym światłem, które nie często w tej porze widzi się w Brazylii. Na niebie nie było ani jednej chmurki, lekki zaś wietrzyk zachodni poruszał liśćmi palm, które jakby szeptały cichą modlitwę. Drzemiące urusy opuściły dachy domostw i odbiegły na ten czas w pola, błękitne zaś motyle świeciły się, jak gwiazdy, jaśniejące tysiącem barw w świetle słonecznym.

Padre Antonio wyszedł ze Mszą św. Na twarzy jego osiadł jednak jakiś smutek i przygnębienie, trudno było dopatrzeć się w niej tej pogody, jaka tak majestatycznie rozlaną była w przyrodzie.

Jak niegdyś, kiedy kościół nowością swoją zajął białych, i dzisiaj murzyni stanęli pod gołym niebem

wnętrze bowiem świątyni znowu zapelnili tamci. Nie dziwiło ich to zgoła, raczej radzi byli, iż w tym dniu uroczystym cześć Bożą wszystkich po dawnemu zgromadziła. Święty Beneditto spoczywał już na barkach młodzieńców, którzy jak najdłużej pragnęli pieścić się tym drogim ciężarem.

Skończyła się przenajświętsza Ofiara. Demetrio i trzech innych fazenderów rozpostarli nad kapłanem złocisty baldachim, nowy dar starego itujczyka i powoli procesya, wśród płonących pochodni, poczęła poruszać się.

Czarni szli w skupieniu, wyciągnięci długim, niedojrzałym sznurem par, ze spuszczonei głowami, przesuwając między palcami paciorki różańca. Statua św. Beneditta, obłana niby aureolą światłem słońca, wyciągniętemi rękoma wskazywała kędy iść mają.

Wtem ozwały się trąby, ryknęły moździerze, jak ptastwo spłoszone wzleciały w górę całe stada pękających rakiet. Korowód białych wysuwał się właśnie ze świątyni.

Widok był istotnie wspaniały.

Lśniaca statua Matki Boskiej rzuciła na wszystkie strony snopem przejętych od słońca promieni. Dziewczęta w bieli otoczyły ją, jak lilie, a ośmiu najdorodniejszych młodzieńców, błyskając dumnymi oczyma, nieśli ją na swoich ramionach. Najdostojniejsi mieszkańcy Campinasu utworzyli dwa duże łańcuchy, które stanowiły jakby ramy wspaniałego obrazu.

Padre Antonio, z monstrancyą w ręku, postępował powoli, a wlepione w niebo jego oczy zdawały

się tam szukać — niewiadomo czy promieni łaski, czy przebaczenia.

Nagle od północy zawiał prąd silniejszego wiatru, znacząc swój kierunek słupami wznieconego kurzu. Kilka pochodni zgasło, długie białe welony dziewic zawisnęły w powietrzu.

Lecz wnet wszystko minęło i procesya szła dalej.

Po chwili jednak nadciągnął nowy prąd wiatru, potem trzeci, czwarty, aż zewsząd poczęły ogarniać tumany kurzu.

Mimowoli głowy podniosły się w górę.

Co się stało?

Na jasnym, pogodnym niebie płynęła szara o białych brzegach chmura. Wiatr pędził ją szybko po nieboskłonie, a głuchy, zbliżający się coraz więcej grzmot, świadczył wyraźnie o nadchodzącej burzy. Chmura przyplnęła nad same miasto i zawisła nad niem, jak ciemny całun. Zpośród niej wydarła się jedna długa błyskawica, której wnet towarzyszyło złowrogie trzeszczenie. W powietrzu zrobiło się duszno i ciemno.

Spadła wreszcie pierwsza, gruba, ciepła kropla, lecz zanim zdążono ją zmiarkować, jakby nagle otwarły się upusty niebieskie, deszcz całą ulewą runął na ziemię. Ryk grzmotów i huk piorunów ogłuszyły niemal uczestników procesyi. Wszystko w popłochu biegło na różne strony, szukając schronienia. Tymczasem grad, a następnie całe bryły lodu — zjawisko dotąd nieznanne w Brazyli — poczęły siec uciekających. Za-

męt, wrzawa, krzyki zapanowały wszędzie, a huk szalejącej burzy głużył je czasami.

Padre Antonio, nie bacząc na strumienie deszczu, wracał ze spokojem i powagą do świątyni, jak przystało na niosącego w swoim ręku Pana Zastępów. Po długich jego włosach spływała rześście woda; czterej bowiem niosący baldachim nie osłaniali już kapłana i oni zbiegli za drugimi. Równie spokojnie ciągnęli murzyni w zupełnym porządku, oświeceni tak samo, jak i czarna twarz św. Beneditta, od czasu do czasu jasnym blaskiem błyskawic.

Nawałnica zaczęła ustawać: pioruny uderzały coraz rzadziej, a słabnące echo grzmotów świadczyło, że burza pociągnęła dalej. Powoli i słońce błyszczało po dawnemu, tylko trochę jaskrawiej, a żar, ciepło i uciskająca piersi duszność, czyniły powietrze ciężkiem, nieznosnem.

Korowód czarnych nie wszedł jeszcze do świątyni, kiedy biali poczęli wymykać się ze swoich kryjówek, zmoczeni, obryzgani błotem. Ambicya ich i pycha zostały srodze ukarane. Co zostało bowiem z tej świetności, którą przed chwilą jeszcze błyszczeli? Czy te zmięte suknie, obwisłe pod ciężarem wchłoniętej wody, nie noszące nawet ni śladu niedawnej białości? Czy może zgasłe, połamane pochodnie, lub ociekająca z ubrań brudna woda?

Istotnie straszna przemiana!

Więc ogarniał ich gniew i wściekłość. Szukali na kimby wyrzucić zemstę.

Oto właśnie do kościółka zbliżał się św. Beneditto.

— To on temu winien! — zawołał ktoś z białego tłumu i wnet dziesiątki pięści wyciągnęło się w stronę kołyszącej się majestatycznie na murzyńskich barkach statui.

— Tak, to on temu winien, ta czarna poczwara! — powtórzyły dławione żądzą zemsty gardziele, i w jednej chwili silny grad błota i kamieni spadł na czarną statwę, oraz głowy i barki niosących.

Murzyni zdrętwieli. Przerazenie wryło jakby w ziemię ich stopy, a tymczasem błoto i kamienie uderzały coraz silniej i gęściej.

— Precz z oczu, wy ohydne potwory z waszym wstrętnym świętym! — dał się słyszeć głos, któremu zawtórowało jakoby dzikie wycie rozbestwionego tłumu.

Cichy, żaloszny jęk wydobył się z czarnych piersi.

— Jakto, więc nie tylko my, ale i On przedmiotem pogardy i pohańbienia? — mówił wewnętrzny głos.

Lkając, zniknęli murzyni wraz z statwą w wnętrzu kościółka, gdzie oczekiwał na nich przy ołtarzu padre Antonio, aby udzielić ostatnie błogosławieństwo Najświętszym Sakramentem. Gdy następnie kapłan dowiedział się o wyrządzonej Świętemu zniewadze, wziął sam do rąk bielusienną chustę i ze czcią starł ślady błota.

Murzyni przygnębieni powlekli się do swoich szałasów.

Dziwny w tym dniu był zachód słońca, całe miasto wyległo oglądać widowisko.

Od strony zachodu jakby krwawa luna rozlała

się po firmamencie, która nad miastem tworzyła całe gniazdo płomieni. Z tych płomieni przelatujące chmury coraz to nowe wydobywały obrazy. To niby wielkie pobojowisko trupem zasłane; to znowu coś naksztalt twarzy ludzkiej zalanej łzami; to wreszcie ognistą różgę, zwróconą na miasto. Dziwili się temu ludzie, a jednocześnie trwoga przejmowała ich serca, tem więcej, że starzy, skłonni do guseł, widzieli w tem zapowiedź niezwyklej i strasznych wypadków.

Słońce wreszcie zaszło, lecz krwawa luna długo jeszcze nie schodziła z nieboskłonu. Zgasił ją dopiero wschodzący księżyc, w chwili, gdy Campinas było już pogrążone w śnie głębokim.

Coś dziwnego stać się musiało w mieście na drugi dzień od samego rana. Widziano wyraźnie jakąś kobietę z rozwianemi włosami, która wśród rozpaczliwych krzyków biegła, wołając ratunku. Gdzieindziej znowu, murzyn, przechodząc kolo domu, słyszał płacz tak straszliwy, że dźwięczał on jeszcze w jego uszach. Co chwila przemykała się jakaś postać o twarzy zalanej łzami, błędna, oszalała z bólu.

Gorzej jeszcze było pod wieczór. Kto stanął na drodze, wiodącej do cmentarza, widział jak jedna po drugiej przesuwały się trumny, otoczone żalobnym orszakiem. Stary José naliczył ich aż dwadzieścia ośm. Grabarz zaś opowiadał, że trzech musiał przybrać pomocników, gdyż nie mógł nadążyć kopania grobów.

Dzień następny odsłonił okrutną tajemnicę!

Straszna zaraza padła na Campinas. Ludzie marli jak muchy. Ten, co przed chwilą jeszcze był zdrow,

odrazu padał na łożę, lub na ulicy i wśród kureczów i bólów okropnych w kilka godzin kończył życie. Ale co dziwniejsza; zaraza porywała tylko białych, po śmierci zaś każdy trup stawał się czarny, jak węgiel, zupełnie podobny do murzyna.

Nie upłynął tydzień, a nie było domu, z któregoby Anioł śmierci nie porwał ofiary. Kto mógł, w trwodze i poplochu opuszczał miasto. Domy opustoszały, drzwi stały otworem, murzyni tylko waleśali się bezczynnie po ulicach, nie było bowiem komu zapędzić ich do pracy, nieprzeliczone zaś stada urusów unosiły się nad miastem i zalegały place.

Przez cztery miesiące szalała zaraza, a cmentarz czerwieniał, jak okiem dosięgnąć, od świeżych mogilek.

Przybyli uczeni z różnych stron dla zbadania powodów okrutnego zniszczenia. Siedzieli długo, radzili, kiwali głowami, wreszcie odjechali, nie dowiedziawszy się niczego.

Szkoda, że nie zbłądzili do szalasów murzyńskich, tam-by im powiedziano — że to była kara św. Beneditta.

Tak istotnie, to święty Beneditto karał straszliwie nietylko za własną zniewagę, ale i za wiekowe hańby, łzy i poniżenia swoich braci. To też ubożuchny kościółek napelniał się ustawicznie białymi, którzy wśród płaczów i jęków błagali o przebaczenie.

I zlitował się święty Beneditto, oo murzyńskie serca nie zwykłe znęcać się nad pogwałconymi. Ustała zaraza. Miasto powoli zaczęło się zaludniać, zachowało jednak długo swoją żalność i trwogę.

Na najpiękniejszym placu z ogólnych składek stanął wspaniały kościół pod wezwaniem „Pocieszenia Najświętszej Panny”—„Nossa Sennora do consolação,” zaś w osobnej kaplicy umieszczono ołtarz świętego Beneditta. Od dołu aż do samego sklepienia pokrywały go kosztowne wota, a kamienna podłoga codziennie wilgotna była od łez. Każda matka niosła tu swoje nowonarodzone dziecko; każda młoda para dążyła po błogosławieństwo do świętego Beneditta; kto tylko rozpoczynał jakąś sprawę, wnet tulil się pod opiekuńcze skrzydła czarnego Świętego, a wszyscy błagali o litość i przebaczenie.

Święty Beneditto dał jednak jeszcze wyraźniejsze dowody potęgi swego wstawiennictwa. Oto za jego przyczyną Bóg natchnął serce szlachetnej księżniczki, która, wśród ogólnego zachwyty całego kraju, ogłosiła zniesienie niewolnictwa, bratając czarnych z białymi!

Przybywszy do Campinasu, szedłem długą, szeroką ulicą, wiodącą z dworca kolei do miasta. Uderzył mnie widok wspaniałej świątyni, przed którą stały tłumy pobożnych, którzy widocznie nie mogli docisnąć się do wnętrza.

Na zapytanie, co to za święto? — odpowiedziano mi, że dzień św. Beneditta.

Z trudnością przecisnąłem się wśród tłumów do środka kościoła.

W kaplicy, siwy jak gołąb kapłan, ten sam pa-

dre Antonio, śpiewał właśnie litanię do świętego Beneditta.

Oko moje spoczęło na zbitej masie pochylonych głów białych i czarnych, które, korząc się w modlitwie, powtarzały ostatnie słowa litanii:

— *Oby Bóg za twoją przyczyną zarazę od nas oddalić raczył!* — śpiewał kapłan.

Chór białych odpowiadał:

— *Święty Beneditto, wstaw się za nami!*

— *Święty Beneditto, wstaw się za nimi!* — wtórowali czarni, z rzewnem współczuciem w głosie.

Zdaje mi się, że w tej chwili u sklepienia świątyni ujrzałem rozpostarte białe skrzydła Anioła zgody, pokoju i miłości.

V.

Niespodzianki. — „Paciença.“ — Szpital w San-Paulo. — Opieka nad chorymi. — Santos. — Klimat. — Znowu „Paciença.“ — *Sui generis* rewolucya. — Jeszcze raz „Paciença.“ — Emigranci. — Co ich do Santos sprowadza? — Oplakana dola. — Zaślepienie.

łaściwie nie miałem zamiaru pisać o Santos, zdawało mi się bowiem, że pozostanę tam za ledwie kilka godzin. Brazylia jednak jest ze wszech miar ojczyzną niespodzianek! Nie można też skutkiem tego nigdy robić odleglejszych planów, jeżeli nie chce się na każdym kroku być narażonym na rozczarowanie.

Oto np. okręt, na którym miałem płynąć do Paranagua, był od tygodnia zapowiadany. Przybył dopiero 18-go maja. Zdawałoby się więc, że tak znaczące spóźnienie zmusi go do pośpiechu? Broń Boże! Z powodu niedopełnienia jakiejś formalności, musieliśmy w ohydny, cuchnącem porcie, wśród żółtej febry, która tam szczególniej grasuje, leżeć dwa dni.

Ale co dziwniejsza, nikogo to nie wyprowadzało z cierpliwości: przeciwnie, każdy spokojnie powtarzał „*paciência*.”

Dziwna istotnie ta brazylijska „*paciência*!” Nie jest to cierpliwość, ale inercya, obojętność i gnuśność skończona. Brazylijczyk nie ma zupełnie poczucia czasu. Jak w pracy zgoła jest leniwy, tak i co do czasu zgoła się nie troszczy o to: ile go marnuje. To też każda prawie robota nosi na sobie cechy tej inercyi.

Oto na dowód kilka przykładów.

Przed wyjazdem z San-Paulo, na propozycję znanego już wam duńczyka, d-ra Gada, poszedłem zwiedzić szpital tamtejszy. Uczyniłem to tem chętniej, że było tam kilku naszych wychodźców, ciężko chorych, którym pragnąłem przy tej sposobności udzielić Ostatniego Sakramentu.

Budowę szpitala rozpoczęto przed 10-ciu laty, wykończono jednak zaledwie trzecią część, gdyż z przeznaczonych na ten cel pieniędzy, 400 kontów, t. j. około 800.000 fr., gdzieś wsiąkło. Myślicie może, iż z tego powodu podniesiono burzę, wyznaczono śledztwo, komisję? Broń Boże! *Paciência*! Szpital kiedyś się wybuduje.

To, co jest już gotowe, muszę nazwać wspaniałem. Sale olbrzymie, widne i wysokie, łóżka czyste i wygodne. Wszystko jest, brakuje tylko jednej małej rzeczy — lekarzy! To jest, właściwie lekarze są, ale nie po to, aby chorych, z właściwą naszym np. medykom troskliwością, leczyli i pielęgowali. Nikt

ich nie kontroluje, a sami poczucia, chociażby bezpłatnie przyjętych obowiązków, nie mają. Zatem znaleźć można chorych, którzy po roku i więcej przebywają w szpitalu. Na żale i utyskiwania swoje otrzymują w odpowiedzi: *paciença!*

Na sali np. oftalmicznej, gdzie za poprzedniego lekarza, europejczyka, odbywano rocznie około 300 operacyj, w ciągu ostatnich lat dwóch doktor brazylijski dokonał 13, wyraźnie *trzyнадцаć* operacyj. Widziałem chorych i mówiłem z tymi, którzy w książce figurują jako operowani, sami jednak, ani służba szpitalna, nie o tem nie wiedzą. Obecny zaś doktor ordynujący śladów odbytej operacji odnaleźć nie może. Jeżeli ci panowie w ten sposób leczą swoich, cóż się dzieć musi z emigrantami? To też rozumiem teraz dlaczego nasi biedacy opowiadali mi w Rio, że do szpitala idzie się na niechybną śmierć.

Lecz wróćmy do Santos. Droga z San-Paulo do Santos jest arcydziełem sztuki inżynierskiej. Wybudowała ją kompania angielska niesłychanym kosztem. Na przestrzeni 20-tu kilometrów olbrzymie maszyny na stacyach spuszczaają wagony linami. Widoki przepiękne. Zdawałoby się, że po takiej drodze przybędzie się do doskonale urządzonego miasta, tem więcej, że Santos jest jednym z głównych centrów handlu brazylijskiego. Ale gdzie tam! Proszę wyobrazić sobie wśród bagien położoną, obrzydliwą, cuchnącą dziurę, bez żadnych wygod, port haniebny — oto jest Santos. Dodajmy do tego klimat niemal tropikalny, nieschludność bezprzykładną, a zrozumiemy dlaczego

żółta febra corocznie liczne ztąd porywa ofiary. A przecież miasto bogate zdobyćby się mogło na środki zaradcze. Znowu *paciencę!* Poczekajmy jakie lat 50 a być może, iż wreszcie pod naciskiem zamieszkałych tu Niemców, coś się zrobi.

W Santos trafilem na *sui generis* rewolucję. Sądząc z gazet, mogłem przypuszczać, że całe miasto w ruinie, sklepy i magazyny zburzone, a setki trupów leży na ulicach. Przyznam się, że było mi arcynieprzyjemnie jechać, ale trudno — trzeba — więc pojechałem. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zastałem ulice spokojne, a tylko tu i owdzie mówiono, że tragarze kawy nie chcą pracować.

W rzeczy samej, kupcy i składnicy tutejsi wyzyskują tragarzy w sposób krzyczący. Płacą oni od worka kawy, który tragarz, zazwyczaj włosz, portugalczyk lub murzyn, przenosi na okręt, po 100 rejsów. Ta sama cena istniała przed 10-ciu laty, kiedy za arabę kawy płacono 6 milów. Dziś zaś, kiedy cena kawy jest podwójną, a artykuły spożywcze więcej, niż w dwójnasób zdrożały, tragarze żądają podwyżki ze stu na 160 rejsów.

Ale znowu przykład energii brazylijskiej. W pierwszych dniach strejkujący zajęli istotnie groźną postawę. Tłumy ich przeciągały, złorzecząc i grożąc, przez ulice. Tu i owdzie padły strzały. Kilka osób nawet zostało ranionych. W tem groźnem położeniu telegrafowano do San-Paulo o pomoc, gdyż cała siła zbrojna (jeżeli policję tutejszą wogóle zbrojną nazywać można) wynosiła 40-tu ludzi, uzbrojonych w stare

kapiszonówki. Po 14-ch godzinach władze w San-Paulo zdecydowały się wysłać — komisarza policji. Znowu po upływie 24-ch godzin przyszło temu panu w pomoc 40-tu aktualnych żołnierzy. Ale widocznie i strejkujący przejęci byli owem powszechnem hasłem *pa-ciença*. Siedzą sobie obecnie najspokojniej, przeżuając banany. Ale za to, kiedy niema już żadnego niebezpieczeństwa, przybyły z Rio dwie kanonierki i stu żołnierzy. Zapewne telegramy doniosły wam, jak się ta sprawa skończyła. Tymczasem cały handel w Santos jest istotnie sparaliżowany.

W Santos i w okolicy znajduje się spora garstka naszych wychodźców. Niektórych sprowadziła tu, jak zwykle, zupełna bezwiedność. W Rio odbywa się komedia zapisywania na różne prowincye. Wyobraźmy sobie naszego chłopą, który ma wybierać tę lub ową prowincyę. Zazwyczaj drapie się w głowę i wymienia pierwsze lepsze posłyszane nazwisko, które n. b. przeraźliwie przekręca. Oto np. Parangę nazywa Baganem, Porto Alegro — Portalegem i t. p. Tym sposobem, wybrali sobie ci i owi Santos. Tutaj niema kolonizacyi, ale za to wśród bagien sypią wychodźcy groble i kopią rowy, za opłatą 1½ mila dziennie. Naturalnie, trwa to kilka tygodni, po upływie których zapadają na zdrowiu. Rzeczywiście nie wiem, jak nazwać pomieszczenie mieszkańców północy w tym klimacie i w tych warunkach. Włoch i portugalczyk zaledwie tu wytrzymać mogą, a cóż dopiero chłop polski? Jeżeli więc nie zamrze wśród bagien i moczarów

okolicznych, tuli się do miasta, gdzie go nielepszy los czeka.

Większość jednak emigrantów przynęcił do Santos port i nadzieja dostania się jakim cudem do kraju. Łazą oni, lub włóczą się po bulwarze, obdarci, wynędzniali, żyjąc najczęściej z jałmużny. Wielu z nich uciekło z kolonij lub fazend, a więc zasmakowało już w zupełności brazylijskiego szczęścia. Opuściła ich wszelka energia i otucha do pracy. Umieją tylko biadać i płakać. Jedyne ich marzenie, niestety, uludne: „byle się na Szyf dostać za robotnika.“ Chodzą od agencji do agencji, pytając o cenę przejazdu i myślą, że tych kilka milów, jakie im jeszcze w kieszeni pozostało, wystarczy na powrót. Kilku spotkałem pijanych. Nieszczęśni w kieliszku usiłują zatopić rozpacz.

Miałem też tutaj w Santos wymowniejszy jeszcze, niż w Bremie, dowód, jak daleko sięga owe obalamucenie przez agentów. Na okręcie, którym odpłynę, „Porto-Alegre,“ znajduje się około 30 rodzin polskich emigrantów, udających się do Rio Grande. Otóż do nich przychodziło wielu z tutejszych i opowiadało im swoje koleje. Zresztą ich powierzchowność mówiła za nich. Myślałby kto, że im wierzyli? Gdzie tam! Kobiety jeszcze wdychały lub zawodziły, szczególnie te, które już potraciły dzieci. Mężczyzn jednak fantazya nie opuszczała. Jedni z nich lekceważąco wzruszali ramionami, inni znów winę nieszczęścia składali na niedołęstwo opowiadających. Naturalnie, że mnie, o ile możności, unikali. Przyznam się, iż tyle niedoli widziałem, że nie miałem serca odzierać ich z tych

kilku tygodni uludnych nadziei. Niedługo doświadczą sami tej opłakanej doli, do której lecą naoślep i przekonają się, iż rzeczywistość o wiele okrutniejsza od wszelkich opowieści.

Jedynego człowieka spotkałem w Santos w znośnem położeniu. Był to niejaki Józef Łukaszewicz z Warszawy, stolarz. Zawdzięcza on zajęcie nieco korzystniejsze jakiej takiej znajomości języka niemieckiego. Zarabia trzy mile dziennie i liczy dnie, kiedy zbierze tyle, aby wraz z synem do domu powrócić, mówiąc, że każda godzina tutaj piekłem mu się wydaje.

Opuściłem Santos niemal pod tem samem wrażeniem, co i Rio. Tu i tam wszystko jedno, a nadto jeszcze klimat składa się na nieopisaną niedolę emigranta.

VI.

Paranagua. — Moretes. — Antonino. — Wspaniała droga do Curitiba. — Niespodziane przyjęcie. — Uprzejmość brazylijska. — *Sum cuique*. — Szczęśliwy wybór. — Lekkomysłna gorączka emigracyjna. — Domy emigracyjne na Tomas Cuelho. — Zajście 10-go maja. — Barbarzyństwo. — Usposobienie emigrantów. — Wyzysk. — Dwaj braciszkwowie. — Cudzoziemcy w Curitiba. — Brak zgody. — Ceny utrzymania. — Kaskudzi i Faraposi. — Przysłowie. — Pojęcie stronnictw.

 Droga z Santos do Paranagua, trwająca 18 godzin, nie przedstawia nic ciekawego. Płynęliśmy zresztą w nocy, o godzinie zaś 11-tej zrana okręt zarzucił kotwicę w małej zatoce, z kąd barką trzeba się było dostać do mostu.

Paranagua jest niewielką, przez portugalczyków zbudowaną, mięsciną, posiadającą prowizoryczny dom emigrancki, który wówczas był opróżniony, ponieważ ostatnią partję wychodźców właśnie dnia poprzedniego wysłano do Curitiba.

Postanowiliśmy tedy z p. Nestorem nie tracić

czasu i najbliższym pociągiem podążyć do odległego o dwie stacje Moretes i Antoniny.

Na stacyi oczekiwał na nas, uprzedzony o naszym przybyciu, p. Lajus, francuz, dyrektor tamtejszej fabryki cukru, z którym mieliśmy konno wyruszyć w okolice.

Po półtoradniowym pobycie w Moretes*) i Antoninie, gdzie zwiedzałem właśnie owe kolonie, na których plantuje się trzcina cukrowa, przybyłem do stolicy Parany, do Curitiby. Gdybym szukał wrażeń osobistych, to droga z Moretes do Curitiby nasyciłaby mnie najzupełniej. Istotnie, wydaje się rzeczą prawie niepojętą, aby praca ludzka znalazła sposób przerzucenia pociągu na drugą stronę niebotycznych gór i skał. Dokonali tego inżynierowie francuscy. Na przestrzeni 30-tu kilometrów, z elewacją 30°, wije się droga po przylepionych do skał wiaduktach, tunelach i mostach. Mam silne nerwy, a jednak doznawałem niejednokrotnie zawrotu głowy i byłem zmuszony oczy chwilami zamykać. Zdawało mi się, że musimy wraz z pociągiem runąć w przepaść, lub że lecimy w powietrzu. Doprawdy, Semmering jest słabą fraszką w porównaniu z tą koleją. Kosztowała

*) Kolonie około Moretes, jakkolwiek bardzo bogate, skutkiem błotnistej położenia i tropikalnego, jak na wszystkich wybrzeżach Brazylii, klimatu, są dla kolonistów innych krajów niedostępne, a nawet zabójcze. Jedynie włosi przyzwyczajają się i po kilkunastu latach zazwyczaj dochodzą do znacznej zamożności.

ona podobno przeszło 10 milionów milrejsów i stanowi główną ambicję obywateli Parany.

Niemale było moje zdziwienie, kiedy na dworcu zbliżył się do mnie, w otoczeniu kilku panów, jakiś oficer, który mi się przedstawił jako pułkownik Norberto de American Bezerra i oświadczył, że przybywa mnie przywitać w imieniu p. gubernatora. Przed dworcem czekał na mnie powóz, w hotelu zaś przygotowane mieszkanie. Nie rozumiałem, co to znaczy. Jak się pokazało, zawdzięczałem to dziennikom z Rio i tutejszym, które mnie na jakiegoś wielkiego człowieka wyśrubowały. Naturalnie dołożyłem wszelkich starań, aby ich z błędu wyprowadzić. Pomimo to jednak doznawałem nadal niewypowiedzianych dowodów uprzejmości, które mnie nieraz w ciężki kłopot wprowadzały.

Już to trzeba przyznać, że sztuka uprzejmości, gościnności i usłużności jest w Brazylii rozwinięta, jak nigdzie. Nie przeszkadzano mi też wszystkiego widzieć, a natomiast od wielu osób doznawałem wszelkich ułatwień. Wreszcie i to przyznać muszę, że ilekroć zdarzyło mi się zwrócić uwagę na rzeczy złe, odnośnie do emigrantów, zawsze przyznawano mi słuszność i nie szczędzono bynajmniej wyrazów oburzenia dla winnych. Nie tałem nigdy swego zdania, o ile mnie o takowe pytano i mniej więcej mówiłem to wszystko, co się w notatkach moich znajduje. Uczciwość i sprawiedliwość każe mi pod tym względem złożyć wszystkim brazylijczykom jakich spotkałem, całe moje uznanie.



tonina.

Po oddaniu następnego dnia koniecznych wizyt, a przedewszystkiem niezmiernie miłemu generałowi Cerqueira d'A Lima, gubernatorowi tamtejszemu, zabrałem się do pracy.

Istotnie, pragnąc choć pobieżnie poznać warunki kolonizacyi, nie mogłem wybrać lepszego terenu, jak prowincya Parana. Najpierw spotkałem tutaj różnolitość klimatu, począwszy od tropikalnego na wybrzeżu, a skończywszy na umiarkowanym, w głębi prowincyi. Również produkcya rolna jest wieloraka, a wreszcie, co najważniejsze, mogłem tutaj widzieć rezultat kolonizacyi z istniejących już od lat niemal dwudziestu kolonij cudzoziemców, oraz obecny system kolonizowania. Ponieważ jednak przedmiot ten nie da się w krótkich zarysach należycie przedstawić, więc tak samo, jak emigracyi i agentom, oraz życiu na fazendzie, i jemu poświęcę dłuższe, osobne uwagi.

Jak dalece miałem słuszność, twierdząc, że emigracya forsowna była dziełem nieopatrzmem, lekko-myślnie przedsięwziętem i koszlawo, a częstokroć z zupełnie złą wiarą wykonywanem, przekonałem się jeszcze raz w Curitibie. Od stycznia do obecnej chwili przybyło do prowincyi Parana przeszło 5.200 emigrantów, tymczasem Curitiba, gdzie był ich pierwszy postój, nie była na więcej przygotowana, jak na paręset. Naprędce więc sporządzono pomieszczenie w domach prywatnych przy ulicy Aquidabam i Praça do Rosario. W pierwszym domu zastałem 491 osób, w drugim 301. Już w tej liczbie ciasnota dawała się uczuwać, cóż się zaś dzieć musiało wtenczas, kiedy

w tychże domach, jeszcze przed kilkoma tygodniami, musiało przebywać drugie tyle? O najelementarniejszych warunkach higienicznych niema naturalnie mowy. Naokoło domu pełno cuchnącego błota. Wprawdzie emigranci nasi są bardzo nieporządni, ale gdyby nawet byli schludnymi, to i tak nie nawieleby się to zdało. Zastąłem tam d-ra Meyera, Niemca, który z uznania godną troskliwością zajmuje się chorymi. Jest on jednak niedawno, a na poprzednika jego wiele od naszych wychodźców skarg słyszałem.

Śmiertelność między dziećmi panuje wielka. Pomimo o wiele znośniejszego klimatu, umierają one w przerażającej liczbie na dyzenteryę i wycieńczenie. I do Curitiby stosuje się poprzednie moje zdanie, że wszystkie dzieci do lat dziesięciu są skazane w Brazylii na śmierć.

Jeżeli w dwóch powyższych domach, przy wielkiej liczbie emigrantów, pobyt jest jeszcze jako tako znośny, to barak w Paragui na Tomas Cuelho, 10 kilometrów za miastem, woła o pomstę do nieba. Proszę wyobrazić sobie czworokątny budynek z desek, otoczony naokoło moczarami, tak dalece, iż przed kilku tygodniami, po dłuższym deszczu, wtargnęła tutaj woda. Wzdłuż budynku wyciągnięto dwie kondygnacye prycz, na których spoczywają emigranci. Za posłanie służą im rogoża lub gołe deski. Różne choroby: tyfus, febry, dyzenterye, panują ciągle. Obecnie zlitowano się nad biedakami, i kto tylko był zdrowszy, wywieziono go do St. Mateus, około 200 kilometrów od Curitiby, gdzie zakładają miasto i kolonie.

Zastąpiłem w baraku około 30 rodzin, które wyczekują na śmierć lub wyzdrowienie swoich. Jaka tu panowała śmiertelność, niech za dowód posłuży, że miejscowy proboszcz, ks. Soja (polak), w ciągu czterech miesięcy pochował 86 osób, przeważnie dzieci, tak, że był zmuszony swój cmentarz rozszerzyć.

W baraku na Tomas Cuelho stał się fakt, który dowodzi wszelkiego braku opieki nad emigrantami, a także rozbestwienia tutejszego żołdactwa.

Dnia 10 maja, żołnierze, przeznaczeni do pilnowania emigrantów, usiłovali znieważyć żonę jednego z wychodźców. Oburzona tem bezceństwem reszta pospieszyła na pomoc. Wszczęła się bójka. Żołnierze poturbowani, zmuszeni byli paść ofiarą. Chcąc jednak się zemścić, wciągnęli w pobliski las śpiącego i zupełnie niewinnego, Józefa Łakomego, włościanina z kaliskiego, gminy Brudzewo, przywiązali go do drzewa i pastwili się nad nim w sposób okrutny. Ulewny deszcz przeszkodził katom, zbiwszy więc pałaszami bezwładnego i nieprzytomnego biedaka, opuścili go. Łakomy pokazywał mi jeszcze ciężką ranę na głowie. Wyszedł dopiero przed paroma dniami ze szpitala. Co się stało z łotrami, nie wiem, sądzę jednak, że uczciwy gubernator, jakim jest gen. Lima, nie puścił im tego płazem. Dzienniki tutejsze z oburzeniem opisywały ten fakt, między innymi także niemiecki „Beobachter“, Nr. 21, z kwietnia r. b., żądając surowej kary na winnych. Oto, co robią ci, którzy powinni czuwać nad bezpieczeństwem emigrantów!

Uspokojenie wychodźców nie różni się niczem

od tego, które dotąd widziałem. Wielu z nich zakosztowało już niedoli na koloniach, uciekając z prowincyi St. Catarina, a nawet z Rio Grande, piechotą do Curitiby. Tygodniami tułali się oni po lasach, aż wreszcie dowlekli się tutaj. Są oni tak przybici swoją niedolą, aż serce się kraje, słuchając tych iście krwawych opowieści. Wszyscy, bez różnicy, zalewają się łzami na myśl, że długo, a może nigdy nie powrócą do kraju. Jakaż była ich rozpacz, gdy zmuszony byłem sprostować ich błędne nadzieje, jakoby miał środki zabrania wszystkich do domu!

Nadmieniłem tutaj tylko mimochodem, że wielu już po 6 miesięcy leży w domach emigranckich, czekając na wyznaczenie im kolonij. Włóczą się więc po mieście beczynnie. Niektórzy żebrzą, inni piją, a wszystkich nędza moralna jest jeszcze bardziej opłakana od materyjalnej.

Rzemieślnicy, znający język niemiecki, szczególnie stolarze, ślusarze i szewcy, znaleźli zajęcie. Niektórzy z nich zarabiają od 2 do 3 milów dziennie. Inni szukali roboty przy budowie kolei z Curitiby do Lapy. Obiecano im po 2 milrejsy dziennie, ale skarżą się, że ich przedsiębiorcy oszukują i robią trudności w wypłacie, tak, że byli zmuszeni porzucić robotę, a nawet wyrzec się należności. Wspominano mi także o niejakim T., bracie jednego z urzędników emigracyjnych, który najmuje wychodźców i nie płaci im. Przytem pan ten dopuszcza się bezceństw, na których wspomnienie wstręt przejmuję. Ks. Andrzejewski, wezwany do chorej, był mimowolnym świadkiem

wstrętnej bachanalii, urządzonej w pobliskim domu przez tego pana, która świadczy, do jakich granic musi on posuwać swój bezwstyd. Mówiono mi, że władze miejscowe wejrzą w sprawki owych braci — lecz, jak zawsze w Brazylii — „paciencja!“

Na zakończenie wypada mi kilka słów poświęcić samej Curitibie. Ma ona około 20.000 mieszkańców, a jakkolwiek ostatniemi czasy olbrzymie czyni postępy, pozostawia pod wieloma względami dużo do życzenia. Cudzoziemcy osiedli tu w znacznej liczbie, przeważnie Niemcy, oraz około 50 Polaków z Prus, Księstwa i Galicyi. Są oni przeważnie kupcami lub rzemieślnikami. Niektórzy, szczególnie Niemcy, doszli do pokaźnego majątku. Z Polaków, poznałem tutaj braci Waberskich, Szulca, kupca z Poznania, Stachowskiego, również kupca i innych. Pracują oni gorliwie i pocziwie. Cudzoziemcom udało się w tym roku przeprowadzić 5 deputowanych do kongresu stanu, z których kupiec, p. Bertold Adam, bardzo gorliwie i sumiennie reprezentuje interesa Polaków. O tutejszych koloniach, które powstały od r. 1870, podam na innem miejscu szczegółowe sprawozdanie. Żałować należy, że brak jedności i zgody między cudzoziemcami nie pozwala im iść zwartym szeregiem. Zdołaliby oni w przeciwnym razie niejedno dobre spełnić i wielu nadużyciom brazylijskiej gospodarki zapobiedz.

Życie jest w Curitibie tańsze, niż w innych miastach. W hotelu za 3½ milrejsa dziennie można mieć przyzwoity pokój z całkowitem utrzymaniem. Kilo mięsa kosztuje 280 rejsów, ½ kilo chleba 100, alkwira (40

litrów, gdzieindziej 50) kukurydzy 3, żyta 3 (zazwyczaj bywa tańsze). Jednem słowem, robotnik może się wyżywić za 800 rejsów do jednego mila dziennie, z rodziną od 1½ do dwóch milów. Mieszkania również nie są zbyt drogie. Mała izdebka z kuchnią kosztuje około 6 milów miesięcznie. Handel detaliczny i rzemieślniczy znajdują się przeważnie w ręku cudzoziemców.

Walczą tu ze sobą na życie i śmierć dwa stronnictwa: zachowawcze, zwane *kaskudów* (polacy przeistoczyli ich na paskudów), czyli gruboskórni i liberalnych — *faraposów*, czyli sankiulotów. O obu tych stronnictwach istnieje tutaj przysłowie, że: „jedno kradnie, drugie grabi!”. Obecnie są u władzy liberalni, na których czele stoi adwokat, p. Generoso, podobno człowiek bardzo porządny, istnieje więc nadzieja, że pod jego wodzą stronnictwo wyzwoli się z pęt dotychczasowego przysławia.

Mówiąc o stronnictwach, nie należy tutejszych mierzyć europejską miarą. Z przekonaniami nie robią oni sobie ceremonii. Zmieniają je, jak rękawiczki. Zabawna np. jest od czasu ogłoszenia rzeczypospolitej partya „historycznych republikanów,” pod której skrzydła tulą się zachowawcy i eks-monarchiści, oświadczając, że oddawna w duszy nosili republikańskie ideały. Nie braknie jednak i ludzi przekonanych zarówno monarchicznych, jak i republikańskich, ci jednak nie drą się do rządowego złobu i zazwyczaj stoją na uboczu.

Oto mniej więcej wrażenia, jakie wyniosłem z Curitiby.

VII.

Kolonizacya. — Jej różnolitość. — Która część Brazylii jest zdatną do kolonizacyi? — Włosi, portugalczycy, hiszpanie i mieszkańcy północy. — Zupełne nieprzygotowanie do kolonizacyi. — Tłumy wyczekujących. — Oplakane próżniactwo. — Las dziewiczy. — Zadanie inżyniera. — Pierwsze kroki. — Rossa. — Spalenie jej. — Epoka niedoli. — Dzikie plemie Botokudów. — Rozgrzeszenie Dygasińskiego. — Pierwszy plon. — Zarobki rządowe. — Wypłata. — Wendyzm. — Warunki zbytu. — Komunikacye. — St. Mateus. — Rio Negro. — Ponta Grossa. — St. Bento. — Rio Grande. — Kolonie w Curitibie. — P. Lamenha i dr. Blumenau. — Historya tych kolonij i warunki ich powodzenia. — Martwe przykłady. — Niema porównania.

Poruszam niewątpliwie najciekawszy, ale zarazem najzawilszy i najboleśniejszy przedmiot stosunków emigracyjnych w Brazylii. Kolonie, toż to ów „grunt“ złotodajny, którym obalamucił i zwabił agent łatwowiernego chłopca i wykolejonego rzemieślnika — to ów raj wymarzony, na którym obaj myślą znaleźć bogactwa i dostatki, wszystko, do czego się rwała ich niedorzeczna imaginacya.

Właściwie nie należałoby w ogólności poruszać tego przedmiotu, albowiem warunki kolonizacyjne nie tylko każdej prowincyi, ale każdej strefy tej samej prowincyi, są zgoła inne. Nie jest wszakże celem moich skromnych i dorywczych notatek wyczerpać zupełnie przedmiot; za mało widziałem, za mało poznałem, abym się mógł odważyć na tak szerokie zadanie. Pragnę dać tylko ogólne wyobrażenie, aby ci, co mnie czytać będą, przynajmniej szczerze wiedzieli, jaki ich czeka los.

Na wstępie więc zaznaczyć muszę, iż całą Brazylię podzielić należy na dwie części: 1-mo nadającą się do kolonizacyi i 2-do zupełnie dla osiedlenia się, mianowicie też mieszkańców północy, niezdadną i nie- możliwą. Do drugiej kategorii zaliczyć należy wszystkie prowincye północne, a więc Amazonas, Bahia, Espirito Santo, Para, Rio Janeiro, część południową i zachodnią Minas Geraes, a wreszcie całe wybrzeże aż do Rio Grande. Wiem, że usłyszę z tego powodu od wielu brazylianów głosy oburzenia.

— Jakto — powiedzą mi — owa bogata prowincya Para, słynna ze swojej produkcyi kauczuku, ma się nie nadawać do kolonizacyi? Ależ ilu tam osiadło włochów i są zadowoleni? Nawet nieliczni koloniści niemieccy nie skarżą się na swój los?!

Przedewszystkiem co do włochów, portugalczyków i hiszpanów, jest rzecz zupełnie inna. Jako mieszkańcy południa, mogą się oni, acz z trudnością, czasem zaaklimatyzować. Zwiedzałem np. w prowincyi Parana kolonie włoskie naokoło Moretes, nad sa-

mem wybrzeżem i wśród bagnistego położenia; planują tam włosi trzcinę cukrową i niektórym się nawet bardzo dobrze powodzi. Próbowano jednakże tamże osiedlić Niemców, lecz ci albo pomarli, albo uciekli. Nadto strawa mieszkańców południa z tutejszą jest wielce zbliżona. Wygnała ich także z ojczyzny istotna nędza; mając więc do wyboru między głodową niemal śmiercią, a nadzieją jakiej takiej lepszej przyszłości w Brazylii, łatwiej pokonywują klimatyczne dolegliwości, a nawet śmielej spoglądają śmierci w oczy. Nie należy więc nigdy mierzyć wszystkich kolonistów jednym łokciem i dlatego śmiało twierdzę, że wszelkie próby osiedlania mieszkańców północy w prowincjach i miejscowościach z klimatem tropikalnym, lub do tropikalnego zbliżonym, są poprostu barbarzyństwem i wystawieniem ludzi, zupełnie nieświadomych położenia i niebezpieczeństwa, na niechybną zagładę. W tem przyznawano mi powszechnie słuszność i jestto zdanie, które niejednokrotnie słyszałem od bardzo poważnych brazylijczyków.

W ogóle przestrzegam wszystkich czytających książki o Brazylii, pisane najczęściej przez tych, którzy zarazem przy tej sposobności robią propagandę emigracyjną w Europie, aby owe superlatywy: „klimat rajski,“ „ziemie złotodajne,“ „urodzajność niewyczerpana“ i t. p., przyjmowali z dobrodziejstwem inwentarza. Wszystko inaczej wygląda w rzeczywistości, a jeszcze inaczej, gdy kolonista z siekierą i motyką zabierze się do znoјnej pracy. Odnoszę to szcze-

gólniej do będącej w mowie kategorii prowincyj, o których tyle naczytałem się uniesień.

Otóż o racjonalnej i uczciwej kolonizacji może być tylko mowa w prowincjach południowych — części San-Paulo i Minas Geraes, oraz w Parana, S-ta Catharina i Rio Grande do Sul. O ile wiem, ostatnią prowincję od kilku miesięcy bardzo sumiennie i szczegółowo bada konsul ruski, p. Bogdanow. Niewątpliwie zebrany przez niego materiał będzie o wiele szczegółowszy, bogatszy i dokładniejszy, od moich dorywczych wrażeń, bo tak tylko spostrzeżenia moje nazwać mogę. Zanim jednak p. Bogdanow pracę swoją ogłosi, być może, iż moje pobieżne uwagi posłużą niejednemu przynajmniej za przestrożę.

W jednym z poprzednich rozdziałów usiłowałem wykazać, że gorączkę emigracyjną wywołała w Brazylii obawa braku rąk do pracy, skutkiem dojrzewającego, a następnie dokonanego, zniesienia niewolnictwa. Zdawałoby się więc powinno, że główna część napływających wychodźców zwróconą będzie w tę właśnie stronę. Tak jednak nie jest. Cała olbrzymia większość imigracji pcha się i jest pchaną na kolonie. Zresztą, jak wiadomo, agenci tym właśnie sposobem obalamucają i nęcą łatwowiernych. Skoro tak jest, to znowu idąc porządkiem prostej logiki, mniemałoby wypadało, że rząd tutejszy przygotował wszystko, co potrzebne do kolonizacji.

Tu właśnie spoczywa pierwszy błąd, a nawet powiem, karygodna nieuczciwość i lekkomyślność rządu brazylijskiego, że kraj nie został przygotowany

na ulokowanie nawet setnej części przybyłych tutaj kolonistów. Miesiącami całymi leżą ludzie w domach emigracyjnych, czekając na owe przyrzeczone im kolonie. W Curitibie spotkałem naszych wychodźców, którzy tam są już od 7-iu miesięcy, a dotąd jeszcze nawet w przybliżeniu nie wiedzą, kiedy będą wysłani. To samo ma miejsce w Rio Negro, St. Mateus, gdzie naprędce wybudowano baraki, w których Bóg wie jeszcze jak długo czekać będą na owe nieszczęsne „loty,” które dopiero się mierzą. Ogółem do Parana przybyło około 6.000 osób, a z tych zaledwie niewielki procent otrzyma kolonie. Zastrzegam się, że tego wyrazu „kolonia“ nie należy brać w naszym znaczeniu, bo jak to w rzeczywistości wygląda, zobaczymy później.

Wyobraźmy sobie teraz ludzi, choćby najidealniejszych, skazanych na kilkomiesięczne próżniactwo i wystawionych na pokusy, które ono za sobą pociąga, a nadto rozczarowanych w swoich nadziejach i przybitych opowiadaniem swoich towarzyszków, zbiegłych z onych kolonij, a domyślimy się łatwo, jaki z nich jest i będzie materiał kolonizacyjny. Niestety, w dodatku, w ciągu mego pobytu w Brazylii, nabrałem tego smutnego przeświadczenia, że wogóle, z małemi wyjątkami, to, co opuściło nasz kraj, moralnie i materialnie jest mało warte, w tych zaś warunkach zmarnieje do reszty. To też nie dziwnego, że pijactwo, kradzieże i inne występki są na porządku dziennym. Ustawicznie spotyka się na ulicach całe bandy, włóczące się bez celu i potrzeby, których widok sam sprawia przygnębiające wrażenie. O demoralizacji

wśród emigrantów w Rio Negro i St. Mateus opowiadano mi przerażające rzeczy. Wielu z nich, pozostawiwszy żony i rodziny w domu, prowadzi poprostu życie nawpół dzikie, tak, że jeżeli tam wkrótce nie przybędzie jakaś pomoc moralna, ludzi tych uważać należy za straconych.

Uczyniwszy rządowi brazylijskiemu zarzut, że nie dla kolonizacyi nie przygotował, muszę, choć ogólnie, wytłómaczyć, na czem owe przygotowania zawisły.

Dwa są rodzaje ziemi, która dostaje się kolonistom: t. zw. „camp“, czyli porosłe tylko trawą lub małemi krzewinami przestrzenie — i las dziewiczy. Camp potrzebuje odrazu pracowitej uprawy i istnieje o nim wśród kolonistów uprzedzenie, że jest nieurodzajny. Powiadam uprzedzenie, albowiem wybierają go tylko włosi i zakładają winnice, które im przynoszą wcale przyzwoite, acz z wielkim mozółem zdobyte zyski. Koloniście polskiemu uśmiecha się las dziewiczy, już to dlatego, że „bór“ był dla niego zawsze pokusą, już to, ponieważ, częstokroć, równie niesłusznie mniema, że znajdzie tam ziemię o wiele lepszą.

Otóż, do onego lasu, w którym jeszcze stopa ludzka nie powstała, udaje się przedewszystkiem geometra — inżynierem tutaj zwany — wraz ze swoją drużyną. Pierwsze jego zadanie polega na wyprowadzeniu linii głównej, czyli t. zw. pikady, która ma stanowić drogę. Boże mój! Droga ta istnieje w fantazyi, bo lata całe upłyną, zanim po niej przejedzie wóz.

kolonisty. Robota inżyniera polega tylko na wycięciu mniejszych drzew i krzewów. Większe pozostają. Za kilka miesięcy, przy niesłychanie bujnej wegetacji, nie będzie tu ani śladu wytkniętej pikady. Dodam przytem, że owe prace inżynierskie pochłaniają miliony, z których zaledwie niewielkie odsetki zostały istotnie należycie zużyte. Spekulacye i nadużycia rozwieliemożniły się tu na szeroką skalę.

Po wycięciu głównej pikady, przychodzi kolej na boczne, które mają stanowić granicę lotów pojedynczych, czyli kolonij. Rozmiar owych lotów jest różny; wynosi on naprzykład w bliskości Curitiby często $1\frac{1}{2}$ do 3 alkir, t. j. od 15 do 30 morgów pruskich. W Saint Mateus i Rio Negro mierzą podobno loty większe, bo od 7 do 9 alkir, t. j. od 70 do 90 morgów*); w Ponta Grossa nawet jeszcze więcej, ale za to ziemia jest tam zupełnie licha. Na tym locie, według prawa, powinien być wybudowany dom dla kolonisty, w rzeczywistości jednak może on być szczęśliwy, jeżeli znajdzie jakie takie schronienie; najczęściej zmuszony jest sam zrobić szałas z liści palmowych. Nb. za ziemię i dom kolonista zmuszony jest następnie w rocznych ratach płacić, w stosunku ceny ziemi, jaką wyznacza biuro kolonizacyi.

Otóż takich lotów, czyli jak je dawniejsi koloniści nazywają „szakrów“, nie przygotowano w prowincyi Parana wcale, czynią to dopiero obecnie, a tym-

*) Alkira (alquiere) ma 10 morgów pruskich i obejmuje przestrzeń, na którą się wysiewa alkira (40—50 litrów) ziarna.



Widok lasu dziewiczego.

czasem emigranci, leżąc w barakach, czekają na ukończenie robót przygotowawczych.

Ale nadeszła wreszcie chwila upragniona: kolonista znalazł się na swoim locie, odmierzonym dorywczo i legł w szalasię, który ma stanowić na długo jego siedzibę. Teraz dopiero spostrzega on z przerażeniem ogrom pracy, jaka go czeka i co to jest ów „bór,” którego pożądał.

Nie może mieć pojęcia o lesie dziewiczym, przynajmniej brazylijskim, kto go własnemi nie widział oczyma. Jestto jedna zbita masa. Tysiące lianów, powiązanych nawzajem, pospłatało najnniejsze drzewka i stuletnie olbrzymy. Z pośrodku nich wyzierają zaledwie liście i wierzcholki. (Nie mam pojęcia o botanice, a przynajmniej dawno uleciało mi z pamięci, co mnie z niej uczono, więc mogę się tutaj dopuścić licznych błędów). Z ziemi wyrasta miliardy najróżnorodniejszych paproci i krzewów. Jednem słowem to, co się mówi, że „wąż się nie prześlizgnie,” znajduje tu rzeczywiste zastosowanie.

Wobec tego ogromu zduszonej niejako roślinności stoi ów biedak, nie wiedząc, co począć. Nb. nikt go pod tym względem nie informuje, nie objaśnia, sam zaś nie zna języka, aby zasięgnąć rady.

Po długich tarapatach, w ten lub ów sposób, zabiera się wreszcie do roboty, która nietylko, że jest zmuśną i nad wszelki wyraz ciężką, ale niemal nadludzkiej wymaga cierpliwości. Najpierw tedy zadaje cios roślinom i lianom odpowiedniem narzędziem w kształcie krótkiej, prostopadle umocowanej kosy.



Szalas w lesie.

Skoro tego dokonał, chwytą za siekierę i zabiera się do ścinania mniejszych drzew. Następnie przychodzi kolej na większe, a wreszcie na olbrzymy.

Naturalnie każdy się domyśla chyba, że mieszące całe upływają, zanim w ten sposób przyrządzona została mała częśćka lotu, czyli t. zw. *rossa*. Brazylijczycy mają w tem niesłychaną wprawę, chłop nasz nieraz dnie całe mozolić się musi, zanim jednego zwali olbrzyma. Drzewo jest bowiem niesłychanie twarde, a w dodatku, nacięte, po kilku godzinach jeszcze więcej twardnieje.

Teraz dopiero trzeba czekać choć kilku tygodni suszy, aby jako tako *rossa* obumarła i można było podłożyć ogień. Lecz i podpalanie *rossy* wymaga umiejętności, w przeciwnym bowiem razie ogień gaśnie, lub wypala się tylko częściowo. (Powtórne podpalenie jest o wiele trudniejsze). Wielkie drzewa nie spalają się całkowicie, leżą one tak samo, jak i pnie, lata całe, zanim ich czas w próchno nie obróci.

Ileż więc potrzeba czasu, ile mozolu, aby wreszcie wyrzeć dzikiej naturze ten kawałek ziemi, potrzebny na zasadzenie trochy kukurydzy i fasoli, i o ile grunt na to pozwala, kartofli: jednym słowem, tego tylko, co konieczne dla wyżywienia kolonisty i jego rodziny. A jestto epoka dla niego najstraszniejsza. Tu bowiem przypada czas choroby aklimatyzacyjnej, tu opadają go owe pchły piaskowe, tu spotyka się z owadami i płazami, których nie znał i które jeżeli nie rzeczywistą szkodliwością, to kształtami swemi napelniają go trwogą. Wilgoć sprowadza różne

choroby. Jeżeli ma dzieci młodsze od lat 10-ciu, może być pewien, że mu w tym czasie pomrą. On sam wreszcie ze starszemi upada na siłach i traci energię. A tu znikąd pociechy, ani moralnej otuchy i podniety. Jeżeli przedrze się przez las do swego sąsiada, to chyba po to, aby tę samą zobaczyć niedolę.

Jestem przekonany, że od wielu tych dolegliwości, rozmiarami swemi przekraczających siły i zdolność mego pióra, trochę dobrej woli, rzeczywistej troskliwości ze strony działaczy kolonizacyi, mogłoby zasłonić kolonistów. Ale co to kogo obchodzi? Kolonizacya odbywa się według szablonu i gdy raz kolonista znalazł się w lesie, niech sobie radzi, jak chce i umie.

Na każdym kroku spotykałem się tutaj z oburzeniami przeciwko Dygasińskiemu, za to, że jakoby napisał, iż kolonistów zjadają w Brazylii dzikie zwierzęta. Nie wiem, czy kochany pan Adolf brał to w literalnem znaczeniu, ale nie wiem także doprawdy, co jest lepsze, czy wreszcie być pożartym przez tygrysa, czy też toczonym przez robactwo, jak to już opisałem w *„Życiu na fazendzie,”* a co w lesie ma miejsce w daleko większych rozmiarach. Powiedzą mi na to, że każdy początek jest trudny, że ten sam kolonista za lat pięć w innych znajdzie się warunkach i może zapomni o dawnej niedoli. Być może, ale iluż się wobec tego zdoła ostać? Jakiej potrzeba siły ducha i ciała, aby to przezwyciężyć i przetrwać? Jaki procent zmarnieje, zanim jednostki wypłyną na spokojne wody lepszej doli? Niech mi mówią, co chcą,

taki sposób kolonizowania jest niehumaniczny i prosto barbarzyński.

Ale wracam jeszcze do dzikich zwierząt. Wprawdzie nie słyszałem jeszcze, aby kolonista zginął w pa-szczy tygrysa, lub innego drapieżnego zwierza, od ukąszenia jednak węży umiera wielu, a nadto przy-toczę fakt następujący.

Zakładają się kolonie w Rio Negro, wysunięte o 6 leg, t. j. około 40 kilometrów po za rzekę. W tam-tejszych właśnie lasach grasuje najzłośliwszy szczep indyjski Botokudów, którzy, uważając tę ziemię za swoją, bronią jej zazwicie, a nadto, przywykli do rabunku, szczególnie dziewcząt i dobytku, obecnie znajdują ku temu wszelką sposobność. Nie tak dawno, dwóch ludzi, pracujących przy geometrze, jak mi opo-wiadał francuz, p. Leon, inżynier przy budującej się drodze żelaznej, padło ich ofiarą i to w sposób straszliwy.

Botokudowie, pragnąc przeszkodzić posuwaniu się w głąb, przygotowują w tym celu okrutną pułapkę. Śledzą oni na daleką przestrzeń posuwającą się pikadę, badają jej kierunek i w oddaleniu kopią wielki dół, wynosząc ziemię daleko naprzód. W dół ów wbi-jają ostro zakończone i zahartowane w ogniu pale, pokrywając je liśćmi. Tu więc wpada nieszczęsna ofiara i przebija się. W ten sposób, wśród strasznych męczarni, miało skończyć życie dwóch ludzi.

Faktu tego nie sprawdzałem, ale że podobny sposób praktykują Botokudowie, zaręczano mi z wielu stron, między innymi także niemiec, inżynier, p. Ei-



Wódz Indyan szczepu Btokudó w.

senhart, oraz kilku brazylijczyków, których o to pytałem. W bliskości takich to ludzi znajdują się nasi koloniści, najczęściej bezbronni, oddaleni jeden od drugiego na daleką przestrzeń, bez żadnej osłony woj-skowej. Wobec tego, chętnie rozgrzeszam p. Adolfa z tego braku ścisłości, jeżeli się go istotnie dopuścił. Czyż można sobie wyobrazić większą igraszkę, jeżeli już nie życiem, to spokojem ludzkim?

Lecz wróćmy do naszego kolonisty w dziewi-czym lesie.

Zapewne niejednemu czytającemu powyższe no-tatki nastęczyło się pytanie, z czego żyje kolonista w trakcie przygotowywania rossy, t. j. zanim zdola z krwawym potem wydobyć z kawałka ziemi pierwszy plon? O tem pomyślano, ale w sposób tak dziwaczny, jak wszystko.

W języku urzędowym mówi się:

„Kolonista, do pierwszego plonu, pracuje 15 dni w każdym miesiącu przy budowie drogi lub dróg, przecinających kolonie, za co otrzymuje od rządu za-płatę w ilości od 1½ do 2 milów dziennie.“

Cóż piękniejszego nad to?

Jakże to jednak inaczej wygląda w rzeczywi-stości.

Najpierw kolonista nie otrzymuje pieniędzy do ręki, ale albo kwity, albo najczęściej książkę, na którą kupiec (wendysta) wydaje wymagane artykuły spo-żywcze. Jeszcze nie byłoby w tem nic zdrożnego, gdyby nie następujące szczegóły. Najpierw kupiec nie pozostaje pod żadną kontrolą, nakłada więc ceny,

jakie mu się podoba, niekiedy potrójne i poczwórne, tłómacząc się kosztami transportu. Dalej kupiec jest zazwyczaj od pojedynczych kolonij oddalony. W Rio Grande do Sul, w kolonii Alfredo, najbliższy wendysta, znajdował się o 2 dni drogi, po strasznych wertepach. Żeby więc dostać żywność, potrzeba było najmniej 4, a często 6, a nawet 8 dni. Jeżeli więc 30 milrejsów miesięcznie wystarczyłoby na wyżywienie kolonisty i rodziny, to, zważywszy, że płacić on musi potrójne i poczwórne ceny, że na zaopatrzenie się marnuje co 10 dni od 4 do 8 dni, obliczymy łatwo, co właściwie zarabia, a ewentualnie: ile mu pozostaje czasu na pracę około własnej kolonii. To też, z 2500 kolonistów, których osiedlono w Rio Grande, zbiegło 750, i ci rozpiezchli się po całej Brazylii. Rozmawiałem z kilkoma, którzy dotarli aż do Rio Janeiro. Oplakane nad wszelki wyraz położenie tej kolonii opowiadał mi także niejaki Okomiński, ogrodnik z Sarnowa, w powiecie mławskim, którego spotkałem w Curitibie, dokąd, wynędzniały, przyszedł pieszo.

Pomijam już, że kolonista w ten sposób wypłacany zarobek sobie lekceważy, że przytem znajduje sposobność do zaspokojenia u wendysty swoich nalogów, że wreszcie jest to otwarta droga do najróżnorodniejszych nadużyć i wybryków, to w dodatku, chyba nigdzie na świecie, żaden rząd podobnej wypłaty u prywatnych osób nie dopuściłby, a cóż dopiero, gdy sam jest onym płatnikiem. Jest to jedna z wielu próbek przewrotnych, powiem nawet, potwornych

urządzeń tutejszych. Mniej więcej to samo, niekiedy w gorszych jeszcze warunkach, znaleźć można na innych koloniach, a z tych, o których wiem w San Bernardo, w prowincyi San Paulo, w San Mateus, Rio Negro, Ponta Grossa, w prowincyi Parana.

Skoro nareszcie po tylu udręczeniach, w ciągu kilku lat, udało się koloniście, jak się domyślamy, o wyjątkowych siłach duszy i ciała, doprowadzić wreszcie swój „lot“ cały, lub w znacznej części, do tego stanu, że jest zdolnym do uprawy, jeżeli ziemia jest istotnie żyzną, to znaczy, jeżeli rodzi przez pięć pierwszych lat bez nawozu, wtedy z motyką lub szpadlem w rękę zabiera się znowu do pracy. O uprawie pługiem jeszcze przez długie lata nie może być mowy, stoją bowiem na zawadzie kłody niedopalonego drzewa, pnie i korzenie, które, jak już zauważyłem, czas dopiero niszczy. Wówczas jednak kwestyą powodzenia rzeczywistego jest sprawa zbytu produktów. Jeżeli kolonia znajduje się w bliskości miasta, położenie jest pomyślne. Również, aczkolwiek w mniej korzystnej sytuacji, znajduje się kolonista nad drogą żelazną, rzeką spławną, a wreszcie choćby jako tako możliwym traktem. Chociażby bowiem płodów swoich nie mógł zbywać bezpośrednio, to zawsze jednak znajdują się kupcy, chętni do zakupu. Inaczej rzecz się przedstawia dla kolonisty, pozbawionego tych pośrednich środków zbytu; zmuszony on jest albo na mulach daleko płody swoje wozić, z wielką stratą czasu, albo zdać się na łaskę i niełaskę kupców przypadkowych, którzy najczęściej prowadzą z nim handel zamienny,

t. j. za towary, narzędzia, ubrania, albo przyjmują po cenach dowolnych jego produkta. Zadużo zajęłoby miejsca rozwodzić się nad oplakanem położeniem tej ostatniej egzystencji. Bliżej interesujących się tym przedmiotem odsyłam do pracy d-ra Kaergerera „*Brasilianische Wirthschaftsbilder*,” który sam doświadczał podobnego losu i dokładnie dołą niemieckich kolonistów w kolonii St. Francisco, St. Bento i Joinville, w prowincyi St. Catharina, szczegółowo opisał. Dodam tylko, że kiedy tam trudniło się kolonizacyą hamburskie towarzystwo, mające bezpośredni interes w możliwie dobrem zaspokojeniu warunków egzystencji swoich kolonistów, obecnie czyni to rząd brazylijski, ze wszystkimi wadami swojej niedołężnej, lub zdemoralizowanej administracyi kolonizacyjnej.

Oto znowu wymowne przykłady. Znaczną część emigrantów, przybyłych do prowincyi Parana, posłano do wspomnianej przezemnie kilkakrotnie kolonii San Mateus. Jest ona odległa o 36 legów, czyli około 216 kilometrów od Curitiby. Kolonia owa tak dalece jest nową, że dopiero wyznaczono miejsce na założenie miasta. Tymczasem znajduje się tam naprędce skłecony barak dla emigrantów, dom dla urzędników kolonizacyjnych i dwa domki wendystów. Jestto miejsce najnieszczęśliwiej wybrane, bo odległe bardzo nawet od projektowanych w dalekiej przyszłości arteryj komunikacyjnych i dopiero za dziesiątek chyba lat, w najlepszym razie, koloniści znajdą tu możliwy sposób zbytu.

Do Rio Negro, kolonii również nowej, dotrze

za lat kilka kolej, idąca z Curitiby przez Lape, tymczasem jednak kolonie te są oddalone od wszelkich rynków zbytu, przygotowanie zaś dróg, przy znacznej brazylijskiej inercyi, zapewne potrwa bardzo długo. Daleko gorsze, jak słyszałem, mają być pod tym względem widoki kolonistów nowych w St. Catharina i Rio Grande.

Oto więc w tych warunkach wyforsowano przez agentów emigracyę do Brazylii, jak widzieliśmy w tej chwili, do kolonizacyi w tak szerokich rozmiarach zupełnie nie przygotowanej, z wadliwą organizacyą i administracyą kolonizacyjną, z widokami powodzenia bardzo wątpliwemi, czasami zgola niekorzystnemi! Nie mielibyśmy prawa z tego powodu czynić rządowi brazylijskiemu wyrzutu, ani rozwodzić się nad jego lekkomyślnością, gdyby owi emigranci przybywali z własnej chęci. W takim razie ostatecznie mówi przysłowie: „Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.“ Ale, jak wiadomo, nasi przynajmniej wychodźcy, przybyli tam obalamuceni przez agentów, pociągnięci kłamliwemi obietnicami; opuścili swój kraj nie skutkiem nędzy, lub innych jakichbądź powodów, ale w nadziei dostania się do raju ziemskiego. Jakże strasznie ten raj przedstawia się im w rzeczywistości! O ileż więc opłakańsze ich położenie. Uczucie rozczarowania, doznany zawód, zacieżyły nad nimi, napętniają ich rozpaczą w teraźniejszości, a odbierają wszelką odwagę, energię i nadzieję odnośnie do przyszłości.

Ilekróć zwracałem uwagę na opłakane położenie naszych wychodźców, przyznawano mi tutaj zazwy-

czaj słusność, potępiając niemal jednomyślnie system werbowania emigrantów, oraz krzyczące niedostatki w zużytkowywaniu i osiedlaniu przybyłych. Za każdym razem jednak kończono objaśnienia swoje następującym frazesem:

— Zapewne, wszystko to prawda, sądzymy tak samo, jak pan, czytaj zresztą nasze dzienniki, a spotkasz się z ustawiczną krytyką systemu kolonizacyjnego. Ale po za tem przyznać należy, że każdy początek jest trudny i kłopotliwy. Jedź do Curitiby, a z okolicznych kolonij, zamieszkałych przez polaków z Galicyi, Ks. Poznańskiego, Prus i Szląska, przekonasz się, jaka twoich ziomków czeka przyszłość.

To stereotypowo niemal powtarzające się „*ale*,” jak również wiele innych powodów, zgodnych z założeniem mojej skromnej podróży, skłoniły mnie do wycieczki do prowincyi Parana. Widziałem więc owe „kwitnące kolonie,” a ponieważ przed moim wyjazdem z kraju krążyły już głuche wieści o Curitobie, obecnie zaś mogą one dać pochoł do oceniania, według nich, całego systemu kolonizacyjnego, a tem samem tym, których gorączka emigracyjna jeszcze nie opuściła, służyć za zachętę, przeto pragnę koloniom owym dłuższe poświęcić uwagi i wyłuszczyć wyjątkowe warunki, które na ich powodzenie się złożyły.

Na wstępie zaraz zaznaczam, że ze stanu kolonij curitibskich bynajmniej nie można brać miary o powodzeniu zakładanych obecnie.

Brazylia ma na ustach nazwiska kilku sławnych humanistów-kolonizatorów: Silwów, Pradów, Thaunayów

i innych. Zamało znam historję tego kraju, abym mógł sądzić, czy istotnie ci panowie tak wielkie położyli zasługi. Przypuszczam jednak, że tak jest. Ale byli dwaj mężowie, których nazwisk prawie nikt nie wspomina, o których działalności mało kto wie, a którzy, zdaniem mojem, zasłużyli w tym kraju na wiekopomne imię, dali bowiem przykład, jak sumiennie, uczciwie, praktycznie i pożytecznie należy kolonizować w Brazylii. Byli nimi p. Lamenha, b. prezydent prowincyi Parana, założyciel kolonij naokoło Curitiby, i dr. Blumenau, inżynier, Niemiec, założyciel kolonii tegoż nazwiska w prowincyi S-ta Catharina. Niestety, jak zaginęła pamięć tych dwóch wielce zasłużonych ludzi, tak i przykład ich wśród dzisiejszych kolonizatorów brazylijskich nie znalazł naśladowców.

Nie wiem, jakie pobudki ożywiały p. Lamenha i d-ra Blumenau, faktem jest, że rozumna i uczciwa kolonizacya była ambicyą ich życia. Nie szukali oni w niej korzyści osobistych: Lamenha opuścił swoje stanowisko zupełnie biedny, a dr. Blumenau podobno zrobił rządowi 40 kontów oszczędności; ale natomiast ideałem ich było przyczynić się rzeczywiście do pomysłności kolonistów.

P. Lamenha wspierała w pracy jego żona, kobieta podobno niepospolitych przymiotów rozumu i serca. Imiona ich żyją dotąd we wdzięcznej pamięci kolonistów, którzy corocznie udają się do kaplicy św. Kandydy, patronki pani Lamenha, aby dziękczynne za tych zaenych ludzi zanosić modły.

Pierwsi emigranci, przybyli w r. 1873, nie zwa-

bieni przez agentów, ale własnowolnie, niektórzy z pewnemi zasobami materyalnemi, inni z postanowieniem mozolnej pracy. Pochodzili oni ze Szląska. Liczniejsza emigracya przypadła dopiero na epokę między r. 1876 a 1878.

Kolonistów owych przedewszystkiem postanowiono osiedlić w bliskości miasta, jakoż istotnie otaczają oni Curitibę w kształcie półksiężyca, w oddaleniu zaś od 3 do 20 kilometrów od centrum stolicy Parana. Był to pierwszy, niezmiernie ważny, warunek dla pomyślnego rozwoju kolonii.

W ten sposób powstało cztery następujących grup kolonij, których czas założenia, liczbę rodzin, oraz „lotów“ rządowych i prywatnych, podaję w krótkości:

I. Grupa *Abranchez*.

1) Kolonia *Abranchez*, 5 kilometrów od miasta, założona w r. 1873. Liczy 65 rodzin, przybyłych z Prus Zachodnich, które otrzymały same rządowe „loty.“ Koszt urządzenia tej kolonii wynosił 2.775 milów.

2) Kolonia *Pilarino*, powstała nieco wcześniej, 3 kilometry od miasta; 30 rodzin, ze Szląska przybyłych, otrzymało tu również tylko „loty“ rządowe.

3) Kolonia *Lamenha*, założona w r. 1876, 9 kilometrów od miasta. Rodzin 155, przybyłych z Prus Zachodnich, otrzymało 139 „lotów“ rządowych, reszta nabyła prywatne. Koszta urządzenia wynosiły 61.387 milów.

4) *S-ta Candida*, w r. 1875, 8 kilometrów od

miasta, 77 rodzin szląskich otrzymało 66 „lotów“ rządowych; reszta zakupiła grunta od prywatnych. Koszta urządzenia wynosiły 51.860 milów.

5) Kolonia *Prado*, założona w r. 1885 przez p. Thonay, dla 40 kolonij szląskich.

6) Kolonia *Gabryela*, założona w r. 1888, posiada tylko 7 familij szląskich, reszę stanowią włosi. Obie te kolonie leżą 4 kilometry od miasta. Ilość lotów rządowych i koszt założenia niewiadomy.

II. Grupa *Orleans*.

1) Kolonia *St. Ignatio*, 3 kilometry od Curitiby, założona w r. 1876 dla 70 rodzin z Prus, Galicyi i Szląska, które otrzymały 68 lotów rządowych, od prywatnych zaś zakupiły 20. Koszta urządzenia wynosiły 43.052 milów.

2) Kolonia *Orleans*, 15 kilometrów od Curitiby. Założona w r. 1878 dla 50 rodzin pruskich, które otrzymały 50 lotów rządowych, 6 zaś zakupiły od prywatnych. Koszta urządzenia wynosiły 42,788.

3) Kolonia *Rivière*, 16 kilometrów od Curitiby, założona w r. 1877 dla 100 familij ze Szląska i Prus, które otrzymały 30 lotów rządowych, 12 zaś zakupiły od prywatnych. Koszta urządzenia wynosiły 27.750 milów.

4) Kolonia *Dom Pedro*, założona w r. 1876 — 17 kilometrów od Curitiby — dla 25 rodzin z Prus, które otrzymały 25 lotów rządowych, 16 lotów zakupiły od prywatnych. Koszta urządzenia wynosiły 1.938 milów.

5) Kolonia *Dom Augusto*, 14 kilom. od Curitiby

powstała w r. 1876, dla 44 rodzin z Prus, które otrzymały 36 lotów rządowych, 14 zakupiły od prywatnych. Koszta urządzenia wynosiły 33.242 milów.

6) Kolonia *Botia-tovinina*, zakupiło ją w r. 1878 22 rodzin z Galicyi, na przestrzeni odległej o 16 kilometrów od Curitiby.

III. Grupa *Thomas Cuelho*.

Grupę tę stanowi 750 rodzin, przybyłych w roku 1876 przeważnie z Galicyi, które na przestrzeni 15 kilom. od miasta, otrzymały 243 lotów rządowych, resztę zaś zakupiły od prywatnych. Koszta urządzenia ze skarbu państwa wynosiły 117.445 milów. Do tej grupy zaliczone są także: 1) kolonia *S-ta Cristina* i *Alice*, 75 rodzin galicyjskich osiadłych własnym kosztem i 2) kolonia *Nova Pampina*, 30 kilom. od miasta, również przez 75 rodzin galicyjskich zakupiona.

IV. Grupa *Muricy*.

1) Kolonia *Muricy*, 30 kilom. od Curitiby, 109 rodzin ze Szląska i W. Ks. Poznańskiego, które w r. 1878 otrzymały 50 lotów rządowych, resztę zakupiły od osób prywatnych. Koszta urządzenia wynosiły 51.042 milów.

2) Kolonia *Zacharias*, 28 kilom. od Curiliby, założona w r. 1878 dla 28 rodzin z Poznańskiego, które otrzymały 26 lotów rządowych. Koszta urządzenia wynosiły 27.763 milów.

Ogółem w okolicy Curitiby osiadło około 1.600 rodzin, czyli mniej więcej 8 do 9 tysięcy osób.

Kolonizacya p. Lamenha nie była pozbawiona pewnych braków. Koloniści przedewszystkiem otrzy-

mali mało ziemi, w bliskości bowiem miasta loty obejmują 1 alkwirę t. j. 10 morg. pruskich, w oddaleniu zaś 2 do 2½ alkwiry, t. j. 20—25 morgów. Zmuszeni oni byli tedy już to powiększać swoje kolonie przez nabywanie ziemi od prywatnych brazylijczyków, już to przez skupywanie swoich towarzyszków, którzy w takim razie wynosili się dalej. Nadto przyprowadzenie dróg do porządku zabrało zbyt wiele czasu. Pomimo jednak tego, znalazłem położenie kolonistów znośnem, często dobrem, a niekiedy nawet kwitnącem. Na ten stan rzeczy złożyły się jednak następujące, zupełnie wyjątkowe warunki.

Najpierw, jak już nadmienilem, osoba kolonizującego p. Lamenha, który był istotnie ojcem, doradcą i opiekunem dla kolonistów i ich dobro jedynie miał na względzie. Jeden z jego następców, p. de Thaunay, zaczął się już zabawiać w eksperymenta narodowopolityczne i niby to w obawie zbytnej przewagi jednej narodowości, w r. 1886 założył kolonię mieszaną p. t. *Antonino Prado*, złożoną z polaków, włosków i brazylijczyków. Miało to być próbą zbrazylianizowania cudzoziemców. Próba najkompletniejsze zrobiła fiasko i trzy narodowości żyją wprawdzie zgodnie, ale w zupełnem odosobnieniu.

Na rozkwit kolonij curitibskich wpłynęła również potężnie bliskość miasta Curitiby, które w ciągu lat 10 wzrosło niemal w dwójnasób, a nadto połączone zostało koleją z morzem. Kolonista więc sprzedaje wszystkie swoje plody, poczynwszy od nabiału, aż do produktów rolnych, bezpośrednio po cenach miejskich.

Również i drzewo, które dla innego kolonisty nie tylko nie posiada żadnej wartości, ale jest zawadą, tutaj doszło do wysokiej wartości, równającej się, a niekiedy nawet przewyższającej, ceny w Europie.

Nareszcie kolonizacya curitibska odbywała się za czasów cesarstwa, kiedy anti-religijne prądy wcale nie były tak wszechwładne, jak obecnie. Rząd więc jednocześnie budował kolonistom kaplice, czem oni zachęceni, sprowadzali kapłanów, tak, iż wszystkie grupy posiadają swoich kapłanów, a mianowicie: Abranchez — ks. Guranowskiego, Orleans — ks. Przytarskiego, Thomas Cuelho — ks. Soję i ks. Andrzejskiego, wreszcie Muricy od roku ks. Andrzeja Działkowca. Kapłani ci z natury położenia pełnić muszą nie tylko obowiązki pasterskie, ale i pod każdym względem być przewodnikami i doradcami kolonistów.

Kolonie stanowią w tej chwili nawet niepoślednią siłę polityczną, reprezentują bowiem 1600 wyborców, tak, iż wspólnie z Niemcami i Włochami, przytoczającej się walce między zachowawcami a liberalnymi, decydują o zwycięstwie jednego lub drugiego stronnictwa w wyborach do kongresu stanu, do rady miejskiej i władz autonomicznych. Ubolewać należy, że drobne komeraże, ambicje i małostkowe waśnie nie pozwalają siły tej zużyć należycie.

Oto są warunki, w jakich powstały kolonie Curitiby. Zupełna ich wyjątkowość nie daje bynajmniej miary rozwojowi zakładających się obecnie w zgoła innych warunkach kolonij. Dziwna bowiem rzecz, że mając tak wymowne przykłady, tak uderzający w oczy

wzór dobrej kolonizacyi, dzisiejsi kolonizatorowie zupełnie innemi chodzą drogami. Nie mają ani tej trzeźwości, ani sunienności, a nadewszystko uczciwości, co tamci.

Zdawałoby się np., przynajmniej zdrowa logika dyktuje, że dzisiejsze kolonie powinny być dalszym ciągiem już istniejących. Tego jednak nie uczyniono i pozostawiono przestrzeń 180 kilometrów niezaludnioną, rzucając nowych emigrantów hen, daleko, w lasy dziewicze. Odpowiadają na to, że ziemie bliższe są własnością prywatną, dalsze zaś rządową, czyli, że za te nie trzeba płacić, tamte zaś wymagają zakupu. Ależ na Boga, kto miliony wyrzuca na opłacanie agentów i sprowadzanie emigrantów, ten chyba poświęcić może kapitały na kupno ziemi od prywatnych posiadaczy i to za ceny bardzo niskie. Zresztą ci prywatni obdarowani byli przez rząd, czyli przez różnych ministrów, którzy tym sposobem wynagradzali swoich popleczników. Wspominałem już o tego rodzaju roztrwonieniu przez p. Glicerio, ministra rolnictwa z epoki rządu prowizorycznego. Nie jest to więc żadne tłumaczenie, ale chyba potwierdzenie lekkomyślności, z jaką rząd do kolonizacyi przystąpił i obecnie ją wykonywa.

Kto więc powołuje się na przykład kolonistów curitibskich i tym sposobem usiłuje pocieszyć obecnych biedaków, lub zachęcić do Brazylii łatwowiernych i nieopatrnych, ten sam błędzi, albo tendencyjnie innych w błąd wprowadza. W tym wypadku rzeczywiście *comparaison n'est pas raison*.

VIII.

Powrót do Rio. — Nieregularność komunikacyi. — Jeszcze żółta febra. — Niefortunna troskliwość. — Moje skrupuły. — List otwarty do „Journal do Comerço“. — Artykuł hr. Thonay. — Audyencya u ministra rolnictwa br. Luceny. — Memoryał. — Losy pozostałych. — Senator Gomensoro. — Skompromitowana emigracya. — Widoki na przyszłość. — Opóźnienie się okrętu. — Wyjazd.

Po zwiedzeniu Curitiby i niektórych kolonij w Parana, musiałem, niestety, zabierać się do powrotu.

Powiadam niestety nie dlatego, aby mnie Brazylia czemkolwiek do dalszego pobytu nęciła, lecz skoro się raz już tam znalazłem, radbym był przywieźć do kraju, o ile możności, najwięcej szczegółów, dla pouczenia i przestrogi tych, którzyby jeszcze szczęścia za morzami szukać pragnęli.

Nie tak to jednak łatwo myśleć w Brazylji, a cóż dopiero w głębi któregokolwiek ze stanów, o powrocie. Jedyłą komunikacyę, wyjąwszy San Paulo, połączonego z Rio koleją żelazną, utrzymują okręty rzą-

dowe, t. zw. „Lloyd Brasileiro“. Statki te, według regulaminu, powinny mniej więcej co tydzień wyruszać na północ ku Bahii, Pernambuco etc. i na południe w stronę Santos, Paranagua i Porto Allegre. W rzeczywistości jednak tak nie jest. Podoba się np. władzom dla jakichbądź przyczyn odpływ okrętu powstrzymać, lub przyspieszyć i wtedy zdarza się, iż w jednym dniu do portu zawitają dwa duże statki, aby później przez dwa tygodnie lub dłużej pozostać w prowincyi bez żadnych komunikacyj. W tem położeniu znalazłem się i ja.

W ciągu trzech dni w Curitibie odebraliśmy telegraficzne zawiadomienie o wyruszeniu aż trzech statków z Rio Grande ku Paranagua, co znaczyło, że następnie co najmniej na 3 tygodnie będziemy skazani na brak wszelkiej komunikacyi. Nie było więc się co długo namyślać i jakkolwiek mogłem jeszcze kilka dni pozostać w Curitibie i tym sposobem dotrzeć do naszych kolonij w San Mateus, musiałem zamiar ten porzucić i wracać do Rio, z kąd za 10 dni miałem odpłynąć do Europy.

Mniemaćby należało, że ten brak regularności jedynej arteryi komunikacyjnej, wywoływać powinien w opinii publicznej jakiekolwiek objawy niezadowolenia, tem więcej, że można temu z całą łatwością zaradzić. Broń Boże! Nikomu nie przychodzi do głowy coś podobnego i każdy, z godną lepszej sprawy rezygnacyą, godzi się na kilkotygodniowe nieraz odcięcie od reszty świata.

Z czterech okrętów, które wpłynąć miały do

Paranagua, wybrałem ostatni „Rio Parana.“ Pokazało się, iż w tym wyborze sprzyjało mi szczęście. Z trzech bowiem okrętów, które stały na kotwicy, „Rio Grande“ zepsuł się w drodze do Santos, „Aleksandrya“, odbywając wędrowkę po małych portach, zaledwie w pięć dni później zawitała do Rio, „Destero“ zaś wcale pasażerów nie zabierał.

Tym sposobem znalazłem się szczęśliwie dnia 4-go czerwca na bruku w Rio. Tak, powtarzam, na bruku, gdyż znowu do późnej nocy musiałem się tulać po różnych hotelach, zanim wreszcie udało mi się znaleźć jaki taki przytułek i na istnem łożu madejowem złożyć moje, dobrze strudzone kości.

Na drugi dzień rano czekała mnie znowu wcale nie wesola niespodzianka. Oto żółta febra, która powinna była, jak zwyczajnie, z początkiem maja zniknąć, w tym roku grasowała jeszcze na dobre. Dziennik „O Paiz“ podawał z dnia, poprzedzającego mój powrót, 27 wypadków śmierci, co w rzeczywistości należało przyjmować w dwójnasób, gdyż władze sanitarne z licznych powodów autentyczną liczbę zmniejszają.

Muszę tutaj nadmienić, iż może najnieprzyjemniejszą stroną tej fatalnej zarazy stanowi to, że się ciągle o niej mówi. Wstajesz rano i spotykasz znajomego, możesz być pewien, że pierwsza rzecz, z jaką się do ciebie odezwie, będzie:

— Wczoraj umarło na żółtą febrę tyle a tyle osób. Jakże pan fatalnie trafiłeś w tym roku, zwyczajnie nie bywa tak źle!

Idziesz ulicą. Słońce i skwar okrywa twarz twoją potem, a że ci spieszo i radbyś nie stracić minuty, więc przyspieszasz kroku. Niewątpliwie, ni ztąd ni zowąd, ktoś chwyci cię za ramię:

— Jesteś pan cudzoziemcem — rzeknie — daj, ale muszę cię ostrzedz. Chodź powoli, nie męcz się, bo dostaniesz żółtej febry!

Siadasz do stołu. Radbyś spieczony język odwilżyć szklanką zimnej wody, lub sięgasz ręką po pomarańczę, albo banan, w tej chwili jednak zbliża się pierwszy lepszy z obecnych i z miną wielce poważną oświadcza:

— Tego pan nie jedz, bo to daje żółtą febrę.

Nawet kochany, nieoceniony p. Franklin, kiedy, pragnąc skończyć moje nie cierpiące zwłoki prace, nie pokazałem się u niego przez dwa dni, wpadł trzeciego rano do mnie, z miną tak zafrasowaną, iż z niej odrazu wyczytałem, że pocziwy, nie mógł sobie tego inaczej wytłómaczyć, jak, że przeniosłem się już do lepszego świata. Jakże był szczęśliwy i zadowolony, kiedy mnie ujrzał zdrowego i uśmiechniętego. z piórem w rękę, przy stoliku.

Otóż trzeba mieć dosyć silne nerwy, a nade wszystko wiarę w opiekę Boską, aby te objawy troskliwości przyjmować bez wrażenia.

Udało mi się to jakoś szczęśliwie i wyjąwszy trzech dni rozdrażnienia, wywołanego niepewnością terminu odplynięcia okrętu do Europy, nie zazałem obawy. Nie poczytuję tego bynajmniej za odwagę, ale poprostu nie czułem świadomości niebezpieczeństwa.

Natomiast spotykałem ludzi, popadłych w taki stan rozdrażnienia, że istotnie budzili litość. Tracili humor, sen, apetyt; żyli w ustawicznej trwodze. Zapewniano mnie, że jest to następstwo wpływu klimatu na nerwy, usposabiające bardzo do dostania febry.

Niestety, miałem sposobność przekonać się, że wielu z naszych biedaków ulega temu stanowi, miałowicie też słabszej kompleksyi, wyczerpani pracą i niedostatkiem, i ci, z pośród których zaraza porwała bliskie sercu ofiary. Biedacy ci żyją w zupełnem przygnębieniu, oczekując lada chwila śmierci.

W szpitalu „Casa misericordissima“ spotkałem 70-letnią staruszkę z kaliskiego, która straciła męża i syna, synową i dwoje wnucząt na żółtą febrę. Biedactwo z utęsknieniem oczekiwało chwili, kiedy Pan Bóg położy koniec jej straszному sieroctwu.

— Chciałabym tylko — mówiła — jeszcze raz zobaczyć moją ukochaną ziemię.

Stan jej zdrowia nie pozwalał zabrać ją wraz z innemi.

Pisałem już, że, wyjąwszy niegościnnego przyjęcia, jakiegośmy doznali na samym wstępie ze strony najpoczytniejszego i półurzędowego dziennika „Journal do Comêço“, który jednak następnie niefortunną radę wydalenia nas starał się wszelkimi siłami naprawić, nie doznałem nietylko żadnych trudności, ale, przeciwnie, zewsząd i od wszystkich miałem uznania godne dowody uprzejmości, usłużności i gościnności. Znalazłem się więc w położeniu arcy-kłopotliwem. Z jednej strony byłem obowiązany do wdzięczności,

z drugiej zaś, com sam widział i o czem miałem sposobność sam się przekonać, nie pozwalało mi pisać dobrze o stosunkach w Brazylii, a tem mniej o emigracyi i kolonizacyi.

Wprawdzie nigdy swego zdania nie tailem; mówiłem otwarcie i bez ogródek wytykałem krzyczące błędy: o ile się one odnosiły do losu polskich emigrantów. Mogę zaręczyć, że wszystko, cokolwiek w moich notatkach zawarłem, komunikowałem brazylijczykom, z którymi zdarzyło się mi zetknąć i nie było wypadku, aby mi nie przyznano racyi. Pomimo to, obawa zarzutu niewdzięczności paliła mnie. Nie mogłem przenieść na siebie, aby ktokolwiek mógł po moim wyjeździe zarzucić mi, że skrycie podpatrywałem i za doznaną uprzejmość odpłaciłem się oczernianiem stosunków brazylijskich.

Chcąc mieć tedy spokojne sumienie i prawo opuszczenia Brazylii z podniesionem czołem, wystosowałem do „Journal do Comérço“ list otwarty, który ogłoszony został w d. 6 czerwca, w n-rze 156.

Brzmiał on jak następuje:

„Szanowny Panie Redaktorze!

„Nie było ani p. Glinki, ani moim zamiarem, czynić z naszej misyi tu w Brazylii sprawy publicznej, poprostu dlatego, żeśmy ją za zbyt małą i skromną uważali, aby w jakikolwiek sposób uwagę powszechną zajmować mogła. Stało się jednak inaczej i naszemu posłannictwu przypisano tutaj o wiele donioślejsze znaczenie, niż na nie w rzeczywistości zasługiwało.

„Tymczasem towarzysz mój, p. Glinka, skutkiem

stanu zdrowia, był zmuszony powrócić do Europy, ja zaś sam udałem się do stanów San Paulo i Parana, aby tam położenie polskich emigrantów bliżej poznać.

„Niestety, obowiązki moje w kraju i ograniczony skutkiem tego czas, zniewalają mnie d. 10 czerwca okrętem „Portugal“ odpłynąć do Europy i tym sposobem moją skromną misję uważać za skończoną. Zanim to jednak nastąpi, poczytuję za powinność honoru i lojalności, uczciwie i otwarcie wyłuszczyć moje wrażenia i z góry przedstawić to, o czem powróciwszy do kraju, zdawać będę sprawę.

„Znalazłem położenie emigrantów polskich tutaj w stolicy ze wszech miar pożałowania godnem. Zarówno z powodu nieznośnego dla mieszkańców północy klimatu, jak złego pomieszczenia w prowizorycznych, przez prywatnych przedsiębiorców wybudowanych barakach, jak wreszcie niewłaściwego zużycowania ich sił i zdolności, są oni rzućeni na pastwę moralnej i materyalnej niedoli. Spotkałem np. wykwalifikowanych ślusarzy, stolarzy, szewców, krawców, zecerów etc., którzy pracować muszą jako robotnicy przy budowie domów, rozbijaniu kamieni i kopaniu fundamentów, dlatego, ponieważ nie znając tutejszego języka, musieli chwycić się pierwszej lepszej roboty, aby nie umrzeć z głodu. Wielu z nich jest zupełnie wyczerpanych, inni są peryodycznie chorzy, a wszyscy moralnie złamani.

„W San Paulo, skutkiem lepszego klimatu, stan emigrantów nie jest tak opłakany i dlatego też wrażenia moje nie były tak przygnębiające, jak w Rio.

Tam jednak mogłem doskonale przekonać się o fatalnych następstwach werbowania emigrantów przez kłamliwe obietnice agentów w Europie. Wszyscy rodacy moi przybyli tu z tak wygórowanemi nadziejami, że od pierwszej chwili uważają się za oszukanych i dlatego tracą wszelką ochotę do pracy.

„Jako przykład mogę przytoczyć, iż oglądając fazendy p. Paulino do Arudo Botelho w okolicy San Carlos, spotkałem 16 rodzin polskich i 34 pojedynczych robotników. Wszyscy ci ludzie ze łzami wdzięczności opowiadali mi o dobroci swego pana względem nich i ich dzieci. Pomimo to, czuli się bardzo nieszczęśliwymi, ponieważ agenci w Europie przyrzekali im inną, świetną egzystencję, bez mozolnej pracy.

„Z tegoż powodu, w tutejszym domu emigranckim znajduje się przeszło 500 rodzin polskich emigrantów, wielu pomiędzy nimi zbiegów z różnych kolonij, którzy oświadczyli, że wolą raczej umrzeć, niż się ruszyć z miejsca i jedynie żądają odesłania ich do kraju.

„Rzemieślnicy, posiadający język niemiecki, znaleźli w San Paulo niekiedy nawet korzystne zajęcie. Inni dzielą los opłakany swoich towarzyszy w Rio.

„W Parana, w okolicy Curitiby, znalazłem stare kolonie, złożone z przybyszów ze Szląska, Galicji, Prus Zachodnich i Księstwa Poznańskiego, w położeniu zadawalniającym, niekiedy nawet bardzo pomyślnem. Jestto szlachetne i ze wszech miar humanitarne dzieło p. Lamenha, niegdyś gubernatora Parany i po

części hr. Thaunay. Obydwóch prace służyć mogą za wzór racjonalnej kolonizacji.

„Przykład ten nie jest obecnie wcale naśladowany. Najpierw Parana nie była wcale przygotowana na przyjęcie tak znacznej liczby emigrantów. I oto spotkałem ludzi, leżących całymi miesiącami w barakach, w oczekiwaniu: zanim ziemie w lasach dziewiczych około San Mateus i Rio Negro zostaną pomierzone. Gdyby ci posiadali nawet najlepsze kwalifikacje robotnicze, to kilkomiesięczne próżnowanie wystarczy, aby ich do cna zepsuć i zdemoralizować. Na oko nowe kolonie powstają w odległości 180 do 230 kilometrów od Curitiby. Na zapytanie moje, gdzie i w jaki sposób w przyszłości owi koloniści zbywać będą swoje produkty, nie znalazłem należytej odpowiedzi.

„W domach emigracyjnych w Curitibie, które jako pomieszczenie wiele pozostawiają do życzenia, rozciągnięta została nad nimi większa niż gdzieindziej troskliwość i opieka lekarska. Przynajmniej nie słyszałem tak rozdzierających serce skarg. Nie mogę tego samego powiedzieć o baraku w Thomas Cuelho, który wybudowano na ziemi bagnistej i z tego powodu panuje w nim przerażająca śmiertelność. Również baraki w San Mateus i Rio Negro wiele pozostawiają do życzenia.

„W ogóle muszę zaznaczyć brak zupełny prawdziwej pieczołowitości o los przybyszów. Szablonowe postępowanie, nie zaś humanitarną troskliwość, spotyka się na każdym kroku. Nikt nie poucza tych lu-

dzi, jak się mają zachować i co robić, aby uniknąć różnych dolegliwości. W żadnym z domów emigranckich nie znalazłem należytych tłumaczy i instruktorów. Niedola dopiero i oplakane doświadczenie staje się jedynym kierownikiem tych biedaków. Dlatego też czują się oni tak nieszczęśliwymi i tracą wszelką nadzieję na przyszłość. Widoki ich agenci wyszrubowali tak wysoko, a rzeczywistość zgótowała im straszne rozczerwanie.

„Nie mogę tak dalece nadużywać gościnności pańskiego pisma, aby wyluszczyć tu wszystkie niedostatki, jakie miałem sposobność oglądać. Wogóle wrażenie moje o położeniu polskich emigrantów nie było zadawalniające i wątpię, aby odpowiednio do olbrzymich kosztów, jakie rząd ponosi i nadziei, jaką Brazylia w emigracyi pokłada, przynieśli temu krajowi należyte korzyści. Że zaś mało który nie będzie ciężko żałował swego nieopatrzego kroku, o tem jestem silnie przekonany.

„A teraz, Szanowny Panie Redaktorze, nie mogę odjeżdżać stąd, nie wypowiedziawszy otwarcie, że wszędzie, gdzie byłem i od wszystkich, spotykała mnie uprzejmość, usłużność, grzeczność i gościnność, dla których nie znajduję dosyć wyrazów gorącej wdzięczności. Odjeżdżam stąd jak dłużnik, któremu wiele dano, a który, niestety, ze swojej strony nie dać nie może, prócz gorącego Bóg zapłać!

„Racz przyjąć, Szan. Panie Red. etc.“

Nie ulega wątpliwości, że kwestya emigracyjna stanowi najważniejsze zagadnienie w Brazylji. Kto-

kolwiek tam jednak nieco trzeźwiej patrzy na rzeczy, ten doskonale rozumie, ile kardynalnych błędów popełniono i jak dalece sprawa ta na wielu punktach szwankuje. Dlatego też list powyższy nie zrobił złego wrażenia, przeciwnie, przyjęto go jako obiektywne, lecz zgoła niepochlebne przedstawienie istotnego położenia sprawy emigracyjnej i samych wychodźców.

Jakoż w „Journal do Bresil“ hr. Thaunay wystąpił z artykułem, w którym, powołując się na ustęp, odnoszący się do zasług p. Lamenha i w części samego hr. Thaunay, około racjonalnej kolonizacji w okolicy Curitiby, powiada między innemi:

„Siedemnaście lat już ubiegło od chwili, kiedyśmy podjęli z zacnym Lamenha dzieło kolonizacji w prowincyi Parana. Ileż od tego czasu zjadliwych pocisków spadło na nasze głowy. Nazywano nas doktrynerami, utopistami. Szydzono z naszych prac, a nasze rady przyjmowano z pogardliwym lekceważeniem. Biedny Lamenha tymczasem spoczął już w grobie, zapomniany, poniewierany. I oto obecnie posiew nasz wydaje owoce, które ocenił należycie i bezstronnie człowiek przybyły z Europy, tak mało skłonny do optymizmu, a ocenił z całą bezstronnością. Nasz system kolonizacyjny, oparty przedewszystkiem na uczuciu humanitarnem, przemawia sam za siebie. Poczciwy Lamenha, zacny druha, niech spokojnie twe kości spoczywają w grobie, albowiem bliską jest chwila, w której zasługi zostaną należycie uznane, a twe prace i trudy posłużą innym za przykład.“

Hr. Thaunay jest prezesem towarzystwa emigracyjnego z charakterem filantropijnym i zarazem redaktorem czasopisma „Emigração,” poświęconego wychodźtwa i kolonizacyi. Nieraz wypowiada on gorzką prawdę przedstawicielom dzisiejszego systemu kolonizacyjnego i z całą bezstronnością wytyka popełnione grzechy i błędy. Z tego powodu nie cieszy się też wielką w tych kołach popularnością, chociaż powszechnie uznają jego charakter i zdolności. Niefortunne zajście jego z Dygasińskim przypisywano części zobopólnemu nieporozumieniu, chociaż nie przeciono, że w stosunkach towarzyskich jest dosyć i sztywny i wyniosły. Dla tych też powodów nie szukałem i ja znajomości hr. Thaunay. Zresztą znajomość ta nie miałaby żadnego praktycznego znaczenia, gdyż prezes „towarzystwa emigracyjnego” rzeczywistego wpływu nad dzisiejszą kolonizacją nie posiada.

Natomiast z wielkiem zadowoleniem przyjąłem propozycję, uczynioną mi przez p. Fanor, dyrektora towarzystwa „Compania metropolitana,” przedstawienia mnie baronowi Lucenie, ministrowi rolnictwa i aktualnemu w tej chwili naczelnikowi rządu, którego działalność polityczną skreśliłem poprzednio.

Jeżeli kto po osławionej gospodarce rządów prowizorycznych mógł stanąć na czele rządu Brazylii, oczyścić jako tę istną stajnię Augiaszową republikańskich działaczy, a kraj ocalić od niechybnej zguby, w którą go pchały zła wola i intéres osobisty, lub lekkomyślność jednostek, doszłych do władzy bez żadnych kwalifikacyj umysłu, charakteru i doświadcze-

nia, to tylko baron Lucena. Będąc prezesem izby w chwili zniesienia niewolnictwa, dzisiejszy minister rolnictwa złożył osobiste dowody, nie tylko niepospolitych zdolności, ale żelaznej siły woli i charakteru.

Przedewszystkiem, o ile się dało, położył on tamę krzyczącym nadużyciom, jakich się dopuszczał jego poprzednik Glicerio i osławiony minister finansów Ruiz Barbosa. Cały skład dzisiejszego rządu, z małemi wyjątkami, został przez niego dobrany; wchodzi też w nich ludzie nietyle może odznaczający się zdolnościami, ale nieprzystępni dla wszelkich przekupstw.

P. Lucena bez ceremonii miesza się do wszystkiego, nie bacząc, czy dana sprawa wchodzi w zakres jego teki, czy nie. Nie waha się często konstytucyi tłumaczyć według swego widzimisie, czem do wściekłości niemal doprowadza szowinistów republikańskich i faryzeuszów demokratycznych. Jestto najbardziej nienawidzony mąż stanu w Brazylii, ale też i jedyny, z którym jako tako jeszcze się liczą zauszniczy Fonseci. Powiadają też najzacieklejsi jego przeciwnicy, że pomimo ustawicznych napaści, mimo różnych intryg, Lucena pozostanie dopóty na stanowisku, dopóki będzie chciał. Jestto *sui generis* despotyczny i samowładny minister republiki.

Niestety, wobec kliki, otaczającej prezydenta, bywa często bezsilnym, a jak powiadają niektórzy, patrzy przez szpary na jej gospodarkę z obawy wywołania większych powikłań.

Br. Lucena liczy obecnie lat około 60. Wzrostu

średniego, twarzy nietyłe sympatycznej, ile charakterystycznej, okolonej przystrzyżoną, gęstą, siwą brodą, ruchów nerwowych, robi od pierwszego wejrzenia to, co się nazywa wrażeniem. Mówi cicho, ale wyraźnie, a jego niewielkie czarne oczy, przysłonięte krzaczykami brwiami, nawet zpoza okularów przenikają do głębi. Nieco przyciemniona cera odrazu zdradza południowca.

W sali audyencyjonalnej, obszernej i jako jedyną elegancję, posiadającej kanapę i po bokach jej dwańście wyplatanych foteli, oraz pewną ilość rozstawionych przy ścianach krzeseł, zastaliśmy czekających około 40-tu interesantów, palących najswobodniej cygara i papierosy i prowadzących gwarną rozmowę.

P. Fanor, oddał wraz z moim swój bilet wizytowy, na którym ołówkiem napisał kilka słów urzędnikowi, który wnet znikł za kotarą przyległego pokoju. Za chwilę zostaliśmy wprowadzeni.

Po kilku wyrazach zwykłej uprzejmości, p. minister odrazu skierował rozmowę na kwestyę emigracyjną.

Nadmienić tutaj muszę, że w zakres teki p. Luceny wchodzi także wydział emigracyjno-kolonizacyjny, którego bezpośrednim naczelnikiem: „Inspector geral de terras e colonisaçao“, jest p. Accioli de Vasconcello. człowiek w gruncie rzeczy dobry, ale rutynista wielce ciasnych pojęć, któremu się zdaje, że wystarczy sprowadzić do Brazylii tłumy wychodźców i pozostawić ich własnemu przemysłowi, aby rozwiązać zagadnienie nietylko kolonizacyjne, ale i humanitarne. Otóż baron

Lucena rozumie doskonale błędy, krzyczące niedoręczności i długi szereg nadużyć, jakich się w kwestyi emigracyjnej dopuszczano. Na samo wspomnienie o agencjach europejskich. p. minister z pewnym nerwowym ruchem ręki rzekł głośno: „To nasza plaga.“ Wypytywał się następnie o najdrobniejsze szczegóły sposobów werbowania emigrantów przez agentów, przerywając mi od czasu do czasu opowiadanie wyrazami szczerzego oburzenia. Wreszcie p. Lucena wyraził życzenie, abym złożył mu memoriał, dotyczący położenia emigrantów polskich, a zarazem i środków, za pomocą których możnaby niedoli ich ulżyć, lub w przyszłości zapobiedz. Uczyniłem to, a memoriał on ogłosił dziennik „*O Brazil*“ Nr. 354 z d. 9 czerwca.

Oburzenie p. Luceny na działalność europejskich agentów, nie było bynajmniej objawem sporadycznym, przeciwnie, z podobnym sądem spotyka się niemal na każdym kroku. Ktokolwiek nieco głębiej wejrzał w sprawę emigracyjną, ten doskonale rozumie, jaką krzywdę przynoszą zarówno jej samej, jak i wychodźcom, europejscy werbownicy. Dziś mianowicie, kiedy wobec wrzawy, podniesionej w całej niemal Europie, emigracya brazylijska jest ze wszech miar skompromitowana i liczba łatwowiernych, którzy się dadzą w przyszłości uwieść kłamliwym obietnicom agentów będzie niewielka, dziś, powtarzam, niema w Brazylii dwóch zdań, że główna odpowiedzialność za to spada na fatalny system werbowania.

Zdawałoby się więc, że rząd zerwie z dotychczasową praktyką, a przynajmniej ujmie w pewne karby

wstrętną działalność werbowników. Otóż nadziei tej zgoła nie mam. Najpierw, jak już doniosłem, jeszcze za cesarstwa pozawierane zostały układy z różnymi agentami, na sprowadzenie określonej liczby emigrantów. Układy te dotąd nie zostały w zupełności wykonane, zerwać je zaś lub unieważnić jest niepodobieństwem, a przynajmniej pociągnęłoby za sobą olbrzymie koszta tytułem odszkodowania. Jeszcze bardziej wzgląd ten stoi na przeszkodzie, wobec koncesaryuszy z czasów osławionej gospodarki p. Glicerio, którym przysługuje, jak wspomniałem poprzednio, prawo sprowadzenia przeszło 1,400.000 rodzin i otrzymania za to znacznych premij. Wypływające z tego tytułu zobowiązanie ocenił, jak wiadomo, dziennik „Journal do Bresil“ Nr. 63, na 787,956.271 milrejsów czyli przeszło 1½ miliarda franków.

A wreszcie wszelką pożądaną w tym kierunku reformę paraliżuje owa charakterystyczna inercya brazylijczyków. Rozumieją oni złe, widzą nawet jego zgubne dla siebie samych skutki, a jednak pocieszają się tem, że „jakoś to będzie“ i popadają w zwykłą apatyę. Niemasz prawie dziennika, któryby nie wytykał błędów dzisiejszej kolonizacyi, są zaś takie, które ustawiczną prowadzą kampanię z biurem kolonizacyjnem. Pomimo to rzeczy idą dawnym trybem.

Miałem sposobność wejść w bliższe stosunki z senatorem Gomensoro, wybranym świeżo do senatu związkowego. Jestto młody jeszcze stosunkowo człowiek, pełen zapału i ambicyi wybiecia się na wierzch i odegrania w przyszłości roli politycznej. Otóż wziął

on sobie sprawę emigracyjną za konika, na którym pragnie wyjechać na szeroką widownię. Mieszkając w jednym hotelu w Rio, całemi wieczorami rozmawialiśmy o niedoli naszych biedaków. P. Gomensoro skrzętnie notował sobie wszystkie szczegóły i przyrzekał zrobić z nich należyty użytek. Zareczał, że w ciągu bieżącej sesyi senatu, nietylko on sam, ale



Franklin Alvares (ojciec).

równie z nim myśląca cała grupa senatorów kolatać będzie, a nawet walczyć do upadłego, za gruntowną zmianą systemu emigracyjnego.

Oczy dobre chęci p. Gomensoro zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem, nie chcę przesądzać, ale wiele jeszcze upłynie wody, zanim wejdą one w wykonanie i zanim los kolonistów brazylijskich stanie się znośniejszym — o tem jestem silnie przekonany.

Jeżeli jednak wspomniałem o dobrych chęciach senatora Gomensoro, to powinnością moją podnieść sumienną i gorliwą działalność wice-konsula ruskiego p. Alvares Franklina i jego syna, pełniącego obowiązki sekretarza prywatnego konsulatu. Pomijam niewypowiedzianą uprzejmość i usłużność, jakiej obaj z p. Glinką od nich doznaliśmy, są to prywatne i



Franklin Alvares (syn).

osobiste usługi, za które wierną zachowamy wdzięczność, ale widziałem na własne oczy, z jaką wytrwałością i poświęceniem stawali oni w obronie naszych biedaków i niezrażeni stawianemi im trudnościami, niesli im w ciężkiem położeniu ulgę.

Oto, jako przykład, przytoczę następujący fakt.
Na mocy dekretu emigracyjnego z 28-go czerwca

1890 roku, wdowy, które utraciły swoich mężów w przeciągu pierwszego roku pobytu w Brazylii, mają prawo do powrotu na koszt rządu i do pewnego odszkodowania. Pomimo, że prawo pod tym względem jest wyraźne i jasne, biuro kolonizacyjne odmówiło prośby wdów po emigrantach pozostawiało bez skutku. Nieszczęśliwe te kobiety zwróciły się do p. wice-konsula, który tak długo kołatał, nalegał i poruszał wszystkie sprężyny, aż wreszcie zniwolił biuro kolonizacyjne do ścisłego wypełniania zaciągniętych zobowiązań. Kiedy odjeżdżałem z Rio, dzięki tylko temu wpływowi odesłanych zostało 43 wdów na koszt rządu brazylijskiego do Europy.

Zasluga pod tym względem przypada wyłącznie i jedynie wice-konsulowi, na co zresztą znajdują się niezbita dowody w aktach konsulatu.

Poznawszy znaczną uczynność pp. Alvares Franklinów, skoro „Norddeutscher Lloyd“ zgodził się zawarty z nami układ przedłużyć na czas nieograniczony, a tem samem przyznana nam obniżkę w cenie za powrót stosować w przyszłości do osób przez nas zaleconych, nie mogliśmy lepszego uczynić wyboru, jak nasze prawa przelać na pp. Franklinów, którzy chętnie kłopotliwy ten obowiązek na siebie przyjęli. Ktokolwiek więc z powracających do kraju obecnie po naszym wyjeździe zgłosi się do konsulatu, otrzyma za jego pośrednictwem od „Norddeutscher Lloyd“ kartę powrotu po cenie o 25% zredukowanej. Jestto dla tych biedaków ustępstwo bardzo znaczne, jeżeli się zważy, że każdy z nich od ust sobie odejmuje,

rejs po rejsie składa, aby wreszcie wyrwać się z tego, jak mówią, „piekła brazylijskiego“, w które tak nieopatrnie dali się wciągnąć.

Pisząc o stosunkach politycznych w Brazylii, nadmienilem, że republika zgoła nie ziszcila tych nadziei, jakie względem niej powszechnie żywiono.

Wprawdzie niebywały dotąd teroryzm rządu prowizorycznego powinien był od pierwszej chwili rozwiać wszelkie pod tym względem iluzye, ale pocieszano się, że później, gdy stosunki wejdą na normalne tory, różowe nadzieje urzeczywistnią się. Nic więc dziwnego, że skoro i ta otucha zawiodła, niezadowolenie zaczęło się objawiać wszędzie. Jak zaś szybkie czyniło ono postępy, miałem sposobność przekonać się, przybywszy po pięcioletniej nieobecności powtórnie do Rio.

Przedtem sarkano wprawdzie już na republikę i jej działaczy, ale nie czyniono tego jeszcze tak otwarcie i z taką goryczą. Obecnie, gdzie się ruszyłem, z kim wszcząłem rozmowę, wnet rozpoczynał się cały szereg utyskiwań na oplakane położenie, poczem zapewniano mnie, że dalej rzeczy w ten sposób iść nie mogą i że kataklizm wisi nad Brazylią. Szczególne oburzenie wywoływała gospodarka klik, która owładnąwszy niedolężnym Fonsecą, dawała się wszystkim srodze we znaki. Do onej klik, jak mi zaręczano, należał cały tłum kuzynów, przyjaciół i popleczników prezydenta. W imię zasady „kuć żelazo póki gorące“ starali się oni zagarnąć na swoją korzyść, co się tylko

dało. Wszystkie tedy rangi wojskowe, intratne posady, zyskowe koncesye etc. dostawały się w ich ręce.

Tem wszakże nie zadawalniali się jeszcze ci panowie, podejmowali się oni nadto chętnie wszelkiego rodzaju pośrednictw, naturalnie z warunkiem właściwej wdzięczności ze strony klientów i protegowanych. Robiono to zresztą z całą otwartością, a nawet z pewną ostentacją. Liczni siostrzeńcy Fonseci, przed dwoma laty jeszcze podporucznicy w armii, lub kanceliści w podrzędnych biurach, zdumiewali mieszkańców stolicy swoją rozrzutnością i zbytkiem. Gdybyż byli poprzestali na tem, pobłażliwi na tego rodzaju kaprysy fortuny brazylijczycy byłiby im przebaczyli. Ale ambicya spanoszonych młodzieniaszków pchała coraz dalej. Poczęli oni tedy wywierać terrorizm na swoją rękę. Kto nie należał do kliky, mógł być pewien, że nigdy nie dojdzie do niczego, przeciwnie zaś do popleczników i sprzymierzeńców uśmiechała się fortuna na każdym kroku. Nikt nie był pewien jutra, nepotyzm bowiem i protekcyja wszechwładnej kliky czychały wszędzie na ofiary. Nadto nie poprzestawano na jednym urzędzie lub posadzie, ale zagarniano kilka dla każdego z ulubieńców, nie tracząc się zgoda o to, czy zdolności odpowiadają wysokim zazwyczaj obowiązkom.

Naturalnie, główni sprawcy i działacze tej rabunkowej gospodarki usiłowali zabezpieczyć się od wszelkiego niezadowolenia, coraz bardziej rozjątrzonej, opinii publicznej. Zwrócono się tedy ku armii i rozpoczęto z nią formalną kokieterję. Oficerom i żoł-

nierzom podwyższono znacznie żołd. Szczególnie zasłużonych około interesów kliky awansowano, z pominięciem starszych i zasłużeńszych. Garnizon w Rio powiększono, wtenczas kiedy jeszcze za czasów cesarstwa o wiele mniejsza ilość wojska w stolicy powszechne budziła szemranie. Tajemnie uzbrojono straż ogniową i policję miejską. Jednem słowem, militarizm rozpanoszył się na dobre „w stolicy federalnej.“

Wszystko to w wysokim stopniu drażniło i oburzało opinię publiczną, która tym sposobem traciła coraz więcej zaufanie do republiki. Zdarzało mi się spotykać żarliwych z przed pięciu tygodni republikanów, którzy obecnie jawnie stawali pod sztandarem opozycyjnym. Zaręczano mi, że kongres związkowy, który się właśnie zebrał w dniu mego wyjazdu z Rio, będzie widownią bezustannych starć, gdyż rozpocznie on walkę na życie i śmierć z prezydentem i kliką.

Na domiar złego położenie finansowe i ekonomiczne pogarszało się z każdym dniem.

Kiedy Dom Pedro opuszczał Brazylię, w skarbie państwa znajdowało się 180.000 kontów (486 milionów franków) w papierach wprawdzie, ale reprezentujących tę samą wartość w złocie, albowiem kurs był *al pari*. Pieniądze te na najniedorzeczniejsze przedsiębiorstwa roztrwonili wspomniani dwaj ministrowie. Natomiast zaś p. Ruiz Barbosa wydał niejakiemu Mayrinkowi koncesyę na „Bank Stanów zjednoczonych Brazylii“ z przywilejem wypuszczania biletów bankowych. Naturalnie z tego przywileju korzystał p. Mayrink szeroko i niebawem wypuścił

papierów za 300.000 kontów, czyli 840 milionów franków, dzięki czemu waluta brazylijska spadła o 50%.

P. Mayrink należy do bardzo znanych osób w Rio: pokazują go sobie palcami, jako arcy-milionera, wyrosłego na republikańskim gruncie. Wyrzuca on pieniądze garściami, kupuje sobie popularność na wszystkie strony, i dziś nie rząd jemu, ale on rządowi dyktuje warunki. Świeżo na przykład, na jego żądanie, zawieszono koncesye wszystkich banków zagranicznych, co, naturalnie, wywoła międzynarodowe powikłania. Ale p. Mayrinka nie to nie obchodzi, tymczasem bowiem on jest kieszenią republiki. Ktoś dowcipny powiedział jednak o nim, że niebawem pozostaną mu tylko, jako miłe wspomnienie pięknych czasów, stosy papierów, reprezentujących wartość bibuły, albowiem, jeżeli dalej pójdzie w tym stosunku, waluta brazylijska spadnie na 0.

Łatwo się domysleć, że w takiej atmosferze i przy podobnym przykładzie z góry, wszystkich ogarnął istny szal robienia fortuny bez mozolu i pracy, drogą najróżnorodniejszych spekulacyj. Nastąpiła tedy epoka grynderstw w najpotworniejszym tego wyrazu znaczeniu. Powstawały towarzystwa i kompanie akcyjne, oparte na imaginacyjnych przedsiębiorstwach, których jedynym celem było akcje na giełdzie wszelkimi możliwymi sposobami wyszrubować i pieniądze z kieszeni łatwowiernych wyłudzać. Sam oglądałem na przykład fabrykę cukru, wybudowaną z wielkim nakładem, której nie myślano puścić w ruch, choćby już dlatego, że okoliczni koloniści nie dostarczali trzciny

Służyła ona jedynie za reklamę towarzystwu. Nominalną wartość tego rodzaju przedsiębiorstw obliczono mniej więcej na 4 miliardy franków, na które rzeczywiście wypłaconą została zaledwie $\frac{1}{4}$ część. A cóż dopiero mówić o przedsiębiorstwach kolonizacyjnych, które nie tylko były potwornym szwindlem, ale w dodatku tysiące ludzi wystawiały na straszną niedolę.

Wreszcie na domiar złego, br. Lucena, jak wspomniałem poprzednio, wpadł na nieszczęśliwy pomysł zaprowadzenia cła w złocie. Można sobie wyobrazić, jaka drożyzna skutkiem tego zapanowała w kraju, który, wyjąwszy kawy, tytoniu, cukru, kaszasu i mięsa, wszystko jest zmuszony sprowadzać z Europy. Kupcy i wielcy importerzy wobec tego zawarli znowę niesprowadzania żadnych towarów; ponieważ zaś główny dochód państwa stanowiły cła, przeto pierwszą cięgę otrzymał sam skarb. Jakoż tegoroczny budżet wykazuje niedobór 75 milionów milrejsów.

Zmowa jednak w tych warunkach krajowej produkcji nie może ostać się długo. Przyjdzie więc chwila, kiedy przywóz z zagranicy stanie się nieuniknioną koniecznością. Z tą chwilą wszakże okaże się, że towary podskoczą w dwójnasób w cenie, w tym zaś stosunku podniosą się koszty życia, utrzymania i t. d. Jednem słowem, ogół pocznie odczuwać następstwa fatalnej gospodarki finansowej, co znowu wywoła powszechne niezadowolenie i rozgoryczenie.

Taki stan rzeczy długo trwać nie może i prędzej, czy później, wywołać musi przewrót. Spodziewają się go wszyscy, a jeżeli istnieje różnica w zdaniach, to tylko

co do tego, czy niedaleka przyszłość przywróci w Brazylii cesarstwo, lub czy doprowadzi do rozpadnięcia się jej na pewną ilość małych republik.

Żegnano mnie też powszechnie temi słowy:

— Niedługo będziesz pan czytał o Brazylii wiele ciekawych, niestety, może zarazem i bardzo smutnych rzeczy.

Z tem przekonaniem rzeczywiście opuszczałem Rio.

Zbliżał się wreszcie czas mego powrotu. Na dzień 10-ty czerwca rano zapowiedziane było przybycie okrętu „Portugal“, na którego pokładzie tego samego wieczora miałem odpłynąć do Europy. Niestety, i tym razem czekał mnie bolesny zawód. Spakowawszy rzeczy, w towarzystwie łaskawych dla mnie osób, z lekkiem sercem podążyłem do portu w południe, aby na małym statku parowym dobić do okrętu, który zarzucił kotwicę dalej od brzegu. Dla upewnienia się o stanowczej godzinie wyjazdu, postanowiliśmy wstąpić jeszcze do agencji „Mèssagèries maritimes“. Jakież było nasze zdumienie, kiedy na zapytanie otrzymaliśmy odpowiedź, że „Portugal“ nie odpłynie dzisiaj i wogóle niepodobna oznaczyć terminu, kiedy opuści Rio.

Wiadomość uderzyła we mnie, jak piorun. Więc znowu zwłoka i to w chwili, kiedy czynności moje były skończone i kiedy nic więcej nie zatrzymywało mnie w Rio!

A jednak trzeba było pogodzić się z losem.

Podczas przejazdu z Montevideo do Rio, „Por-

tugal“ zaskoczony został przez straszną burzę, podczas której, rzucony przez balwany, złamał jedno skrzydło śruby. Reparacya wymagała dłuższego czasu, którego w pierwszej chwili nie dało się oznaczyć.

Przyznaję, że przeżyłem najcięższe 5 dni z mego pobytu w Brazylii, dopóki okrętu nie wprowadzono do doku i nie oświadczone, iż 17-go napewno wyruszymy w drogę.

Nadszedł wreszcie dzień upragniony i 17-go, o godzinie 1-ej w południe, „Portugal“ począł pruć fale oceanu.

Powoli traciłem z oczu fantastyczny plac Dom Pedra. Przesunęliśmy się około Botafogo i fortecy Santa Cruz. Niebawem i Tijuca skryła się za resztą skał, dumny tylko Corcowado żegnał nas jeszcze długo, dopóki i jego nie zasłoniły mgły.

Byliśmy na pełnem morzu. Raz jeszcze wyjrzał ku nam brzeg brazylijski około Capo Frio, a kiedy ognista kula słoneczna tonęła w oceanie, straciłem z oczu ziemię, aby jej nie ujrzeć aż za 9 dni w piaszczystym Senegalu.

Oddawna po raz pierwszy odetchnąłem pełną piersią. Więc wracałem znowu do swoich, unosząc tyle bolesnych wrażeń, które już dzisiaj były wspomnieniem! Towarzyszyło nam jeszcze tylko widmo żółtej febry, które, jakby chcąc raz nazawsze odstraszyć od Brazylii, jeszcze przez 6 dni ściga okręt. Jakż istotnie trzeciego dnia zmarł mały chłopczyna, pogrążając w rozpaczę biedną matkę, a następnie

młody rzeźnik okrętowy. Obaj znaleźli swój grób w morzu.

Dziwiącego dnia stanęliśmy w Dakarze.

Skutkiem kwarantanny, nie pozwolono nam wysiąść na ląd. Z pokładu więc tylko pieściliśmy się widokiem ziemi.

Tak, rzeczywiście, nie można tego inaczej nazwać jak pieszczotą!

Nikt niema pojęcia, ile uroku ma ta pocziwa ziemia, choćby tylko była lotnym piaskiem senegalskim, lub nagą, smutną skałą, jak naprzeciw Dakaru położona Gore, skoro przez tyle czasu oko ginęło tylko hen, daleko, w falach morskich, a bałwany igrały ową łupiną, zwiacząc się okrętem. Ten okrzyk: ziemia! wydobywający się ze wszystkich piersi, na widok pierwszej, zaledwie wśród oparów wodnych zarysowanej się skały, jest jakby wielkim przełomem długo dławionej tęsknoty.

Wszystko, co żyje, bieży na pokład. Każde oko świeci radosnym ogniem i mimowolnie ściskasz silnie balustradę okrętu, aby nie rzucić się w morze i nie popłynąć coprędzej uściskać tej kochanej ziemi.

W Dakarze byłem świadkiem sceny, której wrażenie nie zginie nigdy z mojej pamięci.

Każdy powracający z Ameryki południowej okręt francuski zwykł zabierać z Senegalu oddział żołnierzy, którzy przesłużyli tutaj obowiązkowe dwa lata, lub chorych, nie mogących dłużej znieść zabójczego klimatu senegalskiego.

Słusznie nazywają Senegal cmentarzem Francyi,

iluż bowiem dzielnych jej synów legło tam pod ciosem zjadliwych chorób, spłacając w zaraniu życia ten śmiertelny haracz na ołtarzu polityki kolonialnej. Wybrańcy tylko powracają do kraju po ciężkiej kampanii z najstraszniejszym wrogiem, bo ze śmiercią, która tutaj nieustannie na nich czycha.

I tym razem znowu przyplywająca od strony Gore barka przywiozła nam onych 70-ciu szczęśliwych.

Na widok okrętu i wywieszonej na nim flagi trójkolorowej francuskiej, opanował ich jakiś szal nieopisanego szczęścia. Z 70-ciu piersi wyrwał się jeden potężny okrzyk: „Vive la France!” Wszystkie czapki uleciały w górę a 70 par dłoni wyciągnęło się ku nam. Wśród płaczu i śmiechu jedni rzucali się drugim na szyję, aż wreszcie wszystkie te objawy radości zlały się w jedno potężne „*Allons enfants de la patrie*” etc., któremu, porwany wrażeniem, zawtórował cały okręt.

Było ich widzieć wskakujących w kilku susach po schodkach pomostu na pokład, całujących deski podłogi okrętowej, ściskających ze łzami w oczach każdego, kto się nawinął, aby odgadnąć: ile szczęścia tętniało w tych piersiach!

Zaledwie jednak uciszyło się jako tako na pokładzie, gdy oczom naszym przedstawił się zgoła inny obraz, na widok którego żadne oko nie pozostało suche.

Z Dakaru płynęła ku nam sześciowiosłowa barka, cicho, smętnie, jakby z trwogą, muskając fale zatoki. Była to barka szpitalna, wioząca dwudziestu kilku

biedaków, którzy wracali, by umrzeć na ręku swoich, lub wśród nich odzyskać ulatujące życie. Śmierć wyryła już na nich swoje piętno, a podróż obecna wydawała się jakby ostatnią łaską, przyznaną skazańcom. Kilku majtków i żołnierzy zbiegło na dół wносить biedaków.

Zbliżyli się do pierwszego.

Był to dwudziestoletni zaledwie młodzieniaszek, jak mnie objaśniono później, student uniwersytetu i syn zamożnych rodziców z pod Lionu. Młodości nie było na nim śladu, a żółta cera wychudłej twarzy zlewała się dziwnie z blond włosami. Para tylko dużych, zapadłych oczu, z których na widok okrętu świecił dziwny blask nadziei, świadczyła, że w tem ciele złamanem tętnią jeszcze resztki życia. Podniesiono go na nogi. Wyprostował się, powiódł naokoło wzrokiem, podniósł oczy do góry, jakby mierząc przestrzeń między barką a pokładem.

— Precz odemnie! — zawołał — ja wam pokażę, jak się wraca do kraju! — i chwyciwszy oburącz za schody pomostu, zaczął na czworakach pełzać na górę.

Daremnie chciano mu przerwać tę straszną wędrówkę; nie mogąc się bronić rękoma, kąsał tych, co go podnieść usiłowali.

Z bijącym sercem i ze łzami w oczach patrzyliśmy na tę scenę.

Mimowoli każdy chwycił za kapelusz, by schylić głowę przed tym majestatem nadziei.

Wdrapawszy się na pokład, upadł. Pośpieszyliśmy podnieść go.

— Nie bójcie się — odparł z uśmiechem — teraz już nie umrę!

I tyle z tej twarzy mówiło wiary i nadziei, iż chyba miłosierna Opatrzność nie pozwoliła mu umrzeć.

Za jego przykładem poszło sześciu innych. Reszcie i do tego wysiłku zabrakło sił. Tych biedaków wnieść musiano.

Doprawdy, cobym nie dał za to, gdyby tę scenę oglądał którykolwiek z onych polityków kolonialnych we Francyi i Niemczech, którzy z wygodnego gabinetu, dla urojonych korzyści, lub ambicij narodowych, szafują za morzami życiem tysięcy dzielnych synów kraju.

Tego samego dnia o 9-ej wieczorem opuściliśmy Dakar, zdążając do Lizbony.

Po pięciu dniach, kiedyśmy wpłynęli do portu, niegościnna stolica Portugalii zamknęła nam swoje wrota, skazując tych, którzy tutaj dobiegli celu swej podróży, na kilka dni kwarantanny. Chcąc nam widocznie jednak wynagrodzić tę niegościnnosć, podażyły ku okrętowi różne barki, wioząc wiśnie, poziomki i truskawki.

Tem nas na wstępie przyjmowała Europa.

Nigdy w życiu nie mi równie nie smakowało, jak ten skromny owoc, który mi przypominał bliskość swoich.

Jeszcze dwa dni morza. Jeszcze dzień fatalnego bujania okrętu w zatoce Gaskońskiej i oto stanęliśmy w Bordeaux. Wpaść do pierwszego pociągu, przelecieć niemal jednym tchem przestrzeń, dzielącą mnie

od Warszawy, zdawało mi się rzeczą tak naturalną i konieczną, że żadna siła ludzka nie zdołałaby mnie zatrzymać. Nie czułem zmęczenia, zdawało mi się tylko, iż pociąg bieży tak niemilosierdzie wolno, że radbym był skrzydeł zapożyczyć od ptaka.

I oto znalazłem się znowu na dworcu warszawsko-wiedeńskim i ujrzałem te same kochane twarze, uściśnąłem drogie, przyjacielskie ręce i zdaje mi się, że po za mną pozostał już tylko przykry, smutny sen.

IX.

Zakończenie.

Liczne pytania. — Brak wiary. — Warunki ogólne. — Kto dotąd wyemigrował. — Co się składa na niedolę wychodźcy polskiego do Brazylii. — Nieznajomość języka. — Zarobki. — Żywność. — Klimat. — Praca. — Zdrowotność. — Nędza moralna.

d chwili mego powrotu z Brazylii, często, bardzo i nawet często zdarza mi się odbierać ustnie, lub piśmiennie, następujące pytanie:

— Czy istotnie jest tam tak źle?

Zazwyczaj pytających w podobny sposób odsyłam do moich „Notatek z podróży.“ Zarówno ci, którzy je czytali, jak i ci, co o nich nic nie wiedzą, odpowiadali mi wówczas:

— No tak, zapewne... ale do druku pisze się co innego! Mnie chodzi o rzeczywistość. Ja przecież do Brazylii nie pojedę, radbym tylko wiedzieć prawdę; na moją dyskrecję liczyć zawsze można!

O ile wiem, takimi samymi zapytaniemiasy-

pywany bywa i mój kochany towarzysz podróży, pan Mikołaj Glinka.

Z początku oburzał mnie do żywego ten brak dobrej wiary. Nie bez pewnej więc goryczy jałem dowodzić, że między tem, co pisałem, a co widziałem — niema różnicy; że, czy w druku, czy ustnie, czy publicznie, czy w najściślejszem zaufaniu, mogę powiedzieć tylko jedno i to samo: iż emigranta naszego czeka w Brazylii niedola materyalna i moralna, o jakiej się niema wyobrażenia. Następnie, gdy podobnych pytań mnożyło się coraz więcej, niepodobna było mi każdemu powtarzać jedno i to samo. Najczęściej więc zbywałem pytających jakimś okólnikiem, nie troszcząc się o to, czy się czuli przekonani, czy też nie.

A jednak sędzę, że gdyby pytający i wątpiący jeszcze po tem, co do wiadomości wszystkich o Brazylii doszło, chcieli tylko wziąć pod uwagę: 1) ogólne właściwości każdego naszego wychodźcy, 2) warunki, jakie kraj taki, jak Brazylia, naszemu emigrantowi daje i dać może, to kwestya, czy emigracya brazylijska, w jakichkolwiek okolicznościach, zdołałaby praktycznie choćby względną zapewnić pomyślność, znalazłaby w zdrowej nawet logice kategorycznie przeczącą odpowiedź.

To też w nadziei, że nietylko siebie samego uwolnię od licznych pytań, ale że przyczynię się może do ostatecznego usunięcia wszelkich wątpliwości, pośpieszam streścić ogólne warunki wychodźstwa brazylijskiego, które z łatwością doprowadzić powinny do jasnego poglądu na tę sprawę.

Mówiąc o warunkach ogólnych, nie mogę brać miary z losu wychodźców dotychczasowych. Niestety, a raczej z pewnem zadowoleniem dla interesów naszego kraju, wyznać należy, iż znaczna część dotychczasowych emigrantów polskich dźwiga $\frac{3}{4}$ winy obecnej niedoli swojej w Brazylii. Są to ludzie w ogromnej większości lekkomyślni, których z kraju wyprowadziła nie chęć zyskowniejszej pracy, ale niedorzeczna nadzieja bogactw i korzyści bez trudu i znoju. Z tego przynajmniej, co sam widziałem, powiedzieć mogę, iż emigrowały prawie wyłącznie szumowiny naszego wiejskiego i miejskiego proletaryatu. Przekonanie to zgadza się zupełnie z wiadomościami, jakie z okolic dotkniętych chorobą emigracyjną napływały i napływają. Dosyć zresztą wziąć do ręki kartę geograficzną Królestwa Polskiego, aby się przekonać, że wychodźstwo miało szczególnie miejsce w tych okolicach, gdzie niegdyś kwitło przemysłnictwo. Sporego kontyngensu emigrantów dostarczyły także nasze miasta i miasteczka, z których ludzie bez określonego zajęcia, wykolejeni robotnicy i rzemieślnicy, a nadto wszelkiego rodzaju próżniacy i włóczędzy, śpieszyli za morza szukać urojonego szczęścia, o którym agenci prawili im niestworzone brednie. Nie mieli oni i tak nic do stracenia, więc łatwo ulegali ułudnym podszeptom. Ludu naszego, tego ludu pracowitego, moralnego, bogobojnego, który rozumie, że jedynie praca daje szczęście, znajduje się w Brazylii bardzo mało.

Że podobny żywioł, jak w kraju, tak i wszędzie, nie będzie nigdy pożytecznym nabytkiem, że zaró-

wno w Brazylii, jak gdziekolwiek indziej, stanie się tylko ciężarem, domyślić się łatwo. Przedewszystkiem nie szuka on, a nawet nie chce, pracy i przenosi nad nią żywot próżniaczy. Miałem tego liczne dowody, że miesiącami ludzie ci woleli w plugawem niechlujstwie leżeć w domach emigranckich, wystawiać się na wszelkiego rodzaju poniewierkę i niedostatek, niż szukać jakiegobądź zarobku: ba, tych nawet, którzy im proponowali zajęcie, obrzucali obelgami, znajdując stereotypową odpowiedź: „Myśmy nie po to przyszli do Brazylii. Pracować mogliśmy i w kraju!”

Niemal połowa, przybyłych do Brazylii zostawiła swoje rodziny w kraju. Świadczy to, że zamiar dłuższego osiedlenia się był im obcy; podążyli zbierać złoto i co prędzej wracać do próżniaczego życia. Niejednemu owe brednie o złocie i brylantach, które jakoby na drodze leżeć miały w Brazylii, wydawać się mogą przesadą, a jednak wystarczy wdać się w pogawędkę z emigrantami, aby się przekonać, że one to ich głównie nęciły. Wogóle o tem, co ich rzeczywiście czeka, żaden nawet przybliżonego nie miał pojęcia.

Moralnie dotychczasowi wychodźcy również przedstawiają poziom nader niski. Kradzieże, pijaństwo, rozpusta, są na porządku dziennym. Przykłady, aby jeden drugiemu pospieszył z pomocą — są nader rzadkie, a natomiast oszukać się wzajemnie, ograbić, należy do wypadków częstych. Nic zaś nie jest więcej wstrętne, jak kłamstwo, którego dopuszczają się ustawicznie. Sam np. na własne oczy widziałem

w Toruniu na dworcu zmieniających pieniądze brazylijskie, tych samych, którzy chodzili w San Paulo po żebranie i których zabrałem do kraju z obawy, aby z głodu nie pomarli.

Otóż, powtarzam, z tego żywiołu, który dotąd emigrował, nie można brać miary, aby ocenić, co czeka wychodząc w Brazylii. Przypuśćmy jednak, że ten żywioł fizycznie i moralnie jest doskonały, że stanowi materiał kolonizacyjny bez zarzutu; wyobraźmy go sobie na tle warunków brazylijskich, a wówczas osądzimy dopiero, czy Brazylia faktycznie przedstawia dla naszego emigranta jakiegobądź nadzieję.

Najpierw natrafia on na zupełną nieznajomość języka, a więc i na brak możliwości porozumienia się. Język portugalski, zbliżony bardzo do włoskiego i francuskiego, z powodu swej elastyczności jest dosyć trudny do nauczenia się; przez codzienne obcowanie z brazylijczykami nabywa się go zaledwie po upływie dłuższego czasu. Wprawdzie rząd brazylijski mógłby zaradzić temu kardynalnemu niedostatkowi, przez obśadzenie przy domach emigranckich tłumaczy, ale tego nie zrobiono. Podobno czyniono w tym względzie pewne próby, ale okazało się niebawem, że panowie tłumacze najhaniebniej wyzyskują emigrantów, i stają się prosto płatnymi przez obie strony faktorami.

Na pierwszym więc zaraz wstępie czuje wychodźca całą niemoc swoją, jak również i to, że staje się igraszką losu; nie umie on bowiem wyjawić swoich żądań i kwalifikacyj robotniczych, ani dowiedzieć się, na jakich warunkach i jakiej podejmuje się pracy.

Ztąd wypływa, że np. wykwalifikowani rzemieślnicy chwytają się muszą pierwszej lepszej, częstokroć zupełnie nieodpowiedniej roboty, aby zapracować na chleb powszedni. Nadto każdy pracodawca woli wziąć portugalczyka, hiszpana, włocho, wreszcie francuza, z którymi się łatwiej porozumie, niż polaka, któremu żądania swoje komunikuje najczęściej na migi. Z tego powodu, w najlepszym nawet razie, polskiemu wychodźcy dostaje się najgorsze miejsce i najlichszy zarobek. Nie mówię już o licznych upokorzeniach, które dla nieznajomości języka znosić musi, o wybuchach niecierpliwości, gdy nie rozumie, czego od niego żądają, wreszcie o wyzysku jego nieświadomości, w czem brazylijczycy celują. Wszystko są to przykrości, które jak pałąk w głowę uderzają go na samym wstępie, osłabiając wiarę w siebie, energię i ochotę do pracy.

Jak wyjątkowo silnego potrzeba charakteru, żeby się odrazu nie zrazić i nie uczuć całej goryczy obczyzny?

Następną zaporą — jest klimat.

Wprawdzie Brazylia przy olbrzymich przestrzeniach swoich ma klimat różny: poczynawszy od tropikalnego, aż do umiarkowanego. Nie zauważyłem wszakże, aby władze emigracyjne i kolonizacyjne w jakikolwiek sposób uwzględniały klimatyczne nawyknięcia przybyszów, pozostawiają one im natomiast zupełną swobodę, czyli innemi słowy: znów rzucają na pastwę losu. Co bowiem wiedzieć może przeciętny chłopiek polski, lub rzemieślnik, o tem, jaki klimat zastanie w tej, lub owej prowincyi? Zazwyczaj więc

oddaje się ślepemu trafowi i wybiera pierwszą lepszą miejscowość, o jakiej zasłyszał, lub którą mu z boku nasuwają. Dajmy na to, że wybór wypadł względnie szczęśliwie i że wychodźca dostał się do prowincyi znośnej, to jednakże i w tem położeniu musi on wiele znieść przykrości, zanim oswoi się z klimatem choćby takiej prowincyi, jak Rio Grande do Sul, gdzie zimą czasami zdarza się, że temperatura spada do 4 stopni Réaumura nad 0. Natomiast latem, wiosną i jesienią słońce i tutaj prażyć go będzie niemiłosiernie, ciepło bowiem dochodzi w tym czasie bardzo często do 30 stopni w cieniu, zwykła zaś temperatura obraca się między 24 a 28 stopniami.

Jednocześnie czeka go praca o wiele więcej znojna, niż w kraju.

Większość emigrantów naszych garnie się do roli. Nawet rzemieślnicy, którzy o rolnictwie nie mają wyobrażenia, przekonawszy się, że złoto i brylanty nie leżą na drodze, chwytają się zazwyczaj ziemi, jako deski ratunku.

Jest to, zdaniem mojem, praca, szczególnie dla świeżo przybyłego, poprostu niemożliwa.

Najpierw skazany on jest na zupełną samotność. Częstokroć bowiem najbliższy sąsiad znajduje się w oddaleniu kilku godzin uciążliwej drogi. Dalej, rodzaj pracy jest mu zupełnie nieznany. Samo wykarczowanie ziemi, porosłej dziewiczym lasem, wymaga tytanicznych wysiłków.

Po długim zaledwie czasie i kosztem wielu zawodów nabywa pewnego doświadczenia.

Lecz przygotowana już ziemia uprawiana być musi w zgoła odmienny sposób, i nie da się zużytkować podobnie, jak w kraju. Wprawdzie w prowincjach południowych rodzi się już żyto, kartofle, kapusta i inne europejskie produkty, ale osiąga się je dopiero po latach, a nadto możność zbytu zależną jest od odległości źródeł komunikacyjnych. Ponieważ zaś nowe kolonie zakładają się w głębi kraju, przeto odstawa jest bardzo trudna, a koszta jej zjadają znaczną część skromnego zysku.

Praca w plantacjach kawy, która teoretycznie wydawałby się mogła właściwszą dla nowoprzybyłego, dla mieszkańca, mianowicie też naszego kraju, jest w rzeczywistości niemożliwą. W prowincjach, w których kawa rośnie, klimat jest nieznośny, a na dłuższy przeciąg czasu nawet zabójczy. Zresztą i tutaj dopiero w przyszłości może się praca opłacać, a w szczególności, kiedy robotnik należycie się zagospodarował, t. j. kiedy z udzielonej mu do uprawy ziemi może już osiągać najkonieczniejsze produkty do życia — kukurydzę, groch, bataty, mandiokę i t. d. Przez pierwsze dwa lata, co najmniej, zarobki jego nie wystarczają nawet na pokrycie kosztów wyżywienia. Z tego też powodu słyzy się ustawiczne narzekania emigrantów, nie znających istoty położenia rzeczy, że zostali przez plantatorów oszukani; po kilku bowiem, czasami nawet po kilkunastu miesiącach ciężkiej pracy, gdy przyszło do obrachunku, okazało się, że nietylko nie otrzymają do ręki żadnej zapłaty, ale w dodatku

pozostali swemu pracodawcy dłużni dosyć poważną kwotę.

Wogóle pojęcia o wysokości zarobków w Brazylii są błędne. Zwyczajnie i normalnie bywają one mniej niż średnie i zaledwie wystarczają na opędzenie najskromniejszych potrzeb. Są wyjątki, szczególnie dla rzemieślników doskonale wykwalifikowanych, ale daleko częściej zdarzają się wyjątki w stosunku odwrotnym, t. j. że płaca jest zupełnie złą i nawet kosztów mizernego utrzymania pokryć nie zdoła. Zarobki na koloniach są zwykle opłakane, za roboty bowiem rządowe przy budowie dróg komunikacyjnych, z czego kolonista w pierwszych latach jedynie czerpie środki egzystencji, nie tylko że zarobki owe są małe, ale w dodatku bywają wypłacane nie gotówką, ale kredytem u kupców, którzy w niesłychany sposób wyzyskują, tak, iż zaledwie $\frac{1}{6}$ część zapracowanego grosza posiada rzeczywistą wartość. Przytem, zaopatrzenie się w artykuły żywności pochłania miesięcznie kilka i kilkanaście czasami dni mitręgi. Ileż przytem kupiec ów, zazwyczaj przebiegły portugalczyk, nie posiada środków omotania biednego kolonisty, tak, że lata całe nie zdoła się on wydrzeć z jego szponów i lwia część swojej pracy musi składać mu, jako haracz wolającej o pomstę do nieba lichwy. Zresztą, zwykle tenże sam kupiec staje się następnie pierwszym odbiorcą produktów wyciągniętych z ziemi — i, mając kolonistę w swoim ręku, nakłada ceny zupełnie dowolne.

Od zarobków wypada nam przejść do kwestyi wyżywienia się.

Jeżeli dla człowieka średnich i wyższych sfer towarzyskich istnieją potrawy kosmopolityczne, które znajdzie wszędzie i które z łatwością zastąpią mu strawę specjalnie krajową, to lud, zazwyczaj niewybredny w jedzeniu, ma jednak swoje uprzywilejowane artykuły żywności, do których nawykł i bez których obejść się mu bardzo trudno. Tych właśnie artykułów, którymi przeważnie żywi się nasz lud, Brazylia nie posiada, a przynajmniej są one w cenie tak wysokiej, że stanowią przedmioty zbytku. Kartofle sprowadzają do Brazylii z Europy, produkowane zaś w stanie Parana, St. Catarina i Rio Grande do Sul — nie wystarczają nawet na miejscowe potrzeby. Nieznany jest również prawie chleb z żyta, zastępuje go zaś bardzo niesmaczny z kukurydzy, lub drogi z pszenicy. O mięsie świeżem wewnątrz kraju niema mowy; po-przestać więc trzeba na mięsie suszonym (*carne seca*) i takichże rybach, zazwyczaj cuchnących. Uprzywilejowaną potrawą brazylijczyka, którą naturalnie kar-mić się musi i przybysz, jest rodzaj zupy z czarnej fasoli, wraz z suchem mięsem, do czego wsypuje się grubej mąki roślinnej („*farinii*“), otrzymywanej z korzenia manioki. Zupa wówczas zamienia się w jakiś szary klajster. Potrawa ta ma, dla nieprzyzwyczajonego do niej, wygląd poprostu odrażający. Naturalnie o jarzynach, jak kapusta, marchew, brukiew i t. d. — niema mowy. Sam sposób przyrządzania jedzenia jest zupełnie odmienny. Wszystko podają bardzo słone, pieprzne i przesycone czosnkiem lub cebulą. Ztąd utyskiwania na złe życie słyszy się wszędzie, nawet tam, gdzie

radziby emigrantom dogodzić. Na własną kuchnię zdobywa się wychodźca dopiero w przyszłości, z początku zaś poprzestawać musi na to, co mu dają.

Zanim tedy emigrant przezwycięży wstręt do miejscowej żywności, i zanim uda się mu z nią jako tako oswoić, strawa brazylijska da mu się srodze we znaki. Nie dziwię się też wcale, że pewien umierający suchotnik, którego spotkałem w pobliżu San Carlo, jako ostatnie pragnienie swoje, z rzewnymi łzami błagał mnie o kawałek razowego chleba, którego, niestety, znikąd biedakowi dostarczyć nie mogłem.

Musiałbym zbyt długo rozwodzić się, chcąc należycie przedstawić warunki higieniczne. Straszne skutki t. zw. „pcheł piaskowych“ są znane; ustrzedz się ich zaś, nawet przy największej ostrożności, jest niepodobieństwem. Miesiącami całemi jątrzą się powstałe skutkiem tego rany na nogach, obezwładniając częstokroć zupełnie biednego kolonistę do pracy. Ukąszenie jadowitej muchy sprowadza również ranę, a jeżeli nastąpiło w oko, zdarza się, iż pozbawia nawet wzroku. Komary, moskity i różne inne owady siekają niemiłosiernie skórę, która pokrywa się jątrzącymi bąblami. Wogóle, jak bezradnym i bezwładnym jest nowo przybyły w tej walce z owadami, niech posłuży fakt następujący:

W San Paulo spotkałem 10-letnią dziewczynkę, której podwiązana brudnym lachmanem, nabrzęklą twarz, zwróciła moją uwagę. Na zapytanie moje: co by jej było, objaśniła mnie matka: „że ma robaki w uszach!“ Kazałem odwiązać lachman i oczom moim

przedstawił się widok straszny. Kształty uszu zginęły, a natomiast ujrzałem dwie okropne rany, w których istotnie roily się setki małych żyjatek. Szczęściem, towarzyszył mi mój znajomy, dr. Gad, który w tej chwili przepisał wodę oczyszczającą, zaręczając, że biedactwo za kilkanaście dni będzie zdrowe.

Co było powodem tego okropnego stanu?

Oto podczas skwaru dnia dziecko ulegało ustawicznej transpiracyi, a ponieważ matka nie utrzymywała go w czystości, przeto pot, brud i kurz stał się najwdzięczniejszem łożyskiem do wylęgu złożonych przez owady jajeczek. Obwiązanie brudnym łachmanem miejsc już jątrzących dopełniło reszty. Bez pomocy lekarza dziecko byłoby niechybnie umarło.

Opowiadania o podobnych wypadkach słyszeć można z ust każdego kolonisty bez liku.

Dodajmy do tego chorobę aklimatyzacyjną, którą każdy przybysz przechodzić musi, dyaryę, biegunki, a wreszcie w miejscowościach nadbrzeżnych zabójczą żółtą febrę, a zrozumiemy, iż choroby pochłaniają nie tylko wszystkie młodsze dzieci, ale i znaczny procent dorosłych. Procent ten zależnie od miejscowości jest różny, zawsze jednak przerażająco wielki. Jako dowód oplakanego stanu zdrowia tych biedaków przytoczyć mogę, że z odesłanych przez nas z Rio dnia 5 maja 184 osób, w ciągu 4 pierwszych dni podróży przed Bachią zmarło 7 osób, a 4 trzeba było wysadzić na ląd i umieścić w miejscowym szpitalu.

Lecz jeżeli i nędza materyalna emigranta jest straszna, to moralna przewyższa ją potężnie. Na sa-

mym wstępie ogarnia go tęsknota okropna. Jak zimora idzie ona za nim wszędzie, szarpie jego biedne serce, odbiera otuchę w lepszą przyszłość, paraliżuje energię i zabija chęć do pracy. Do tego uczucia, którego trzeba samemu doświadczyć, aby zrozumieć moralne katusze, jakie sprawia, przyłącza się obawa: co począć, jak sobie w tych nieznanych warunkach radzić? Niektórzy popadają skutkiem tego w stan pewnego obłędu, lub bezradnej apatii.

Wiadomo, że lud nasz jest religijny, a w tak ciężkiej potrzebie więcej, niż kiedykolwiek, szuka pociechy w Bogu, Sakramentach Świętych i innych pomocach Wiary. Tego wszystkiego w Brazylii nie znajdzie. Niestety, duchowieństwo miejscowe jest obojętne na stan duszy własnych owieczek. Cóż więc mówić o obcych? Zresztą, któż naszego biedaka zrozumie, kto cierpliwie wysłucha jego żalów?

W większych miastach jeszcze istnieją kościoły; ale kolonista, rzucony na setki wiorst w głąbię lasu dziewiczego, widzi przed sobą zbitą, ciemno-zieloną masę drzew, a nad sobą rozpięty firmament, w którym oczami duszy jedynie szukać może litościwego Pocieszyciela. Nawet, gdy śmierć mu zajrzy w oczy, nie ma nadziei po chrześcijańsku zamknąć powiek. Skoro mu umrze dziecko, lub żona, sam je grzebie nieopodal swego nędznego szałas, jeżeli zaś na niego przyjdzie kolej — wie z góry, że mu sępy będą grabarzami. Nie ma kogo, ktoby go z Bogiem pojednał, więc i sumienie trapi niemiłosiernie. Żyje, jak zwierzę i wnet też zwierzęce opanowywać go poczynają in-

stynkta, przerywane od czasu do czasu wybuchami strasznej rozpacz.

Nie! nie! Pióro niezdolne opisać moralnej doli emigranta, a choćby je maczać we krwi i łzach — nie odda ono nawet części tego okrutnego stanu duszy i serca.

Oto są ogólne warunki, w jakich znaleźć się musi wychodźca. A teraz niech je każdy przystosuje do siebie, niech sobie wyobrazi, że sam się znalazł w podobnem położeniu, a znajdzie odpowiedź na pytanie:

— Jak wygląda brazylijskie szczęście?

KONIEC NOTATEK Z PODRÓŻY.

»Ben ti vi«^{*}

Obrazek na tle życia w Brazylii.



^{*} „Widzę cię dobrze.“

Step brazylijski smętne budzi uczucia.

Jak las dziewiczy przeraża swoją ponurą tajemniczością, a jednocześnie zdumiewa olbrzymiem bogactwem dzikiej przyrody, tak step nuży jednostajnością, a przygnębia niedoścignionemi dla oka ludzkiego obszarami. Istny to ocean traw, łóz, trzcin, paproci i różnorodnych chwastów, które, spalone żarem podzwrotnikowego słońca, straciły swoją zieloną wesołość, przybierając cechę martwoty roślinnej, ową żółtawą bladeść liści, zwarzonych jesiennem zimnem.

Gdy wiatr po stepie hula, ocean ów ożywia się i falować poczyną. Żółta masa, jakby w nią wstąpiło życie, ugina się i podnosi, niby bałwany morskie, trzeszczenie zaś lodyg, szelest suchych piór trzcin i traw, zlewa się w jakiś szept tajemniczy, który niepokoi i drażni ucho człowieka. Zdaje mu się, iż step spiśkuje przeciwko niemu i pod żółtą swoją powłoką zdradne przygotowuje na niego zasadzki. Wie przecież, że gad jadowity czycha tutaj na swoją ofiarę, że jaguar wśród trzcin obiera sobie legowisko, że kłód krwiożercze przedsięwzię wyprawę, a stada dzików,

jak wiatr, przebiegają te przestrzenie, powalając swemi kłami o ziemię wszelką zaporę. Skorpion i tarantula zabójczem żądłem zadać mu mogą śmierć niechybną; tymczasem zaś setki bąków, os, much złośliwych oraz całe chmury komarów i moskitów, tną jego skórę nie-miłosiernie.

Wyteża też swój wzrok, szukając jakiegobądź przytulku lub schronienia.

Niestety! Ocean traw oblał go zewsząd!

Oko bieży hen, daleko, po tej połyskującej w jas-krawem świetle słońca przestrzeni i wraca smutne, nie znalazłszy nic, prócz przygnębiającej jednostajności i bezmiernego pustkowsia.

Ot, tam w dali, sterczy wprawdzie osamotniony pinier, który wystrzelił w górę i nad trawami rozpostarł swoją iglastą koronę, ale wnet rzuciły się nań bluszcze, powoje i liany, a rozpostarlszy się na jego pniu i gałęziach, związały go setkami splotów z ziemią.

Stoi zatem ów niewolnik stepu smutny, jak człowiek, który się tu zapędził lub zabłąkał i tęskni za resztą braci, co swobodnie rosną w dalekim lesie dziewiczym.

Gdzieniegdzie wydarły się ponad paprocie wą-tle krzewiny, lecz los ich stokroć gorszy od doli piniera; liany zdusiły je zupełnie i rozpanoszone na ich nagim szkielecie wiodą swój zaboreczy żywot. Nie obroniły się nawet trzciny i wyschłe chwastów łodygi, pną się bowiem i po nich powoje, które, gdy im miejsca zbraknie, wiążą się ze sobą w dziwaczne jakieś i fantastyczne zwoje.

Więc cały step, skrepowany miliardami węzłów, zrósł się ze sobą i stworzył jedną roślinną ziemi powłokę.

Cieciwy człowiek, który nie lęka się lasu dziewiczego i zapamiętałe szerzy w nim dzieło zniszczenia, w nadziei, iż w przyszłości z pracy swojej sto-krotne ciągnąć będzie zyski, unika stepu, gdzie mu zbyt pusto i nudno. Tam ogrom przeszkód podnieca ambicję, tu jednostajność pogrąża go w lenistwie. W lesie każdy olbrzym, który pod ciosem siekiery legnie na ziemi, wydaje się mu, jakby potężny wróg, który upadł u jego stóp. Na stepie zaś trawy, trzciny, paprocie, chwasty, związane powojami, budzą jego pogardę, a jednocześnie, niby małostkowe złośliwości, pracę i mozół zaprawiają goryczą. Tam on panem, który ujarzmią przyrodę; tu nędznym pracownikiem, który w pocie czoła pracuje na kawałek mizernego chleba.

Lecz nietylko te ambitne względy odstraszały człowieka od brazylijskiego stepu. Wie on także, iż ziemia tu mniej płodna i więcej wymaga trudu, aby mu plon wydała. Po cóż więc tak mu się mozolić; po co, jak rok długi, znosić spiekotę, nie mając nawet drzewa, pod którego cieniem chroniłby się przed żarem słońca; poco wreszcie wzrok ustawicznie napawać smętnym widokiem niedosięgniętej okiem ludzkim, monotonnej przestrzeni?

A jednak na takim to stepie osiadł od lat wielu senhor Paulo.

Co go tu przygnało, co utrzymało wśród tego

dzikiego pustkowia, historia to równie dziwna, jak smutna.

Senhor Paulo urodził się w Rio Janeiro, gdzie jego ojciec był wysokim urzędnikiem, matka zaś słynęła z piękności. Niestety, dziwaczne prawo natury wyrzyło na nim fatalne piętno. Przyszedł na świat mulatem.

Ktoby baczniej przypatrzył się matce Paula, jej płowej cerze, kruczym kędzierzawym włosom, a nade wszystko owym charakterystycznym ciemnym plamom pod paznogciami jakby z marmuru utoczonych rąk, byłby odrazu odgadł, że w żyłach odległych przodków senhory Anity do Coreiro płynęła czarna krew. Była jednak tak czarująco piękną, że nikt, nawet kochający ją nad życie małżonek, senhor Rodriguez do Coreiro, rzeczywistej prawdy nie wiedział, ani się domyślał.

Zresztą senhora Anita z dumą patrzyła na troje dzieci — dwóch chłopców i dziewczynkę — które były uosobieniem dziecięcej „piękności“. Biała, jak alabastrer ich cera, regularne, drobne rysy, usprawiedliwiały miano „moich aniołków“, które im nadała szczęśliwa matka.

Dopiero przyjście na świat Paula odkryło tajemnicę.

Kiedy też matce przyniesiono nowonarodzonego, skoro ujrzała te brunatne, niemal czarne ciało, wydęte wargi dziecięcych usteczek, szerokie białka ciekawie na świat patrzących ocząt i małą, jakby czarną wełną, pokrytą główkę:

— Precz mi z oczu z tym potworem! — krzyknęła rozpaczliwie i utraciła przytomność.

Przez dwa tygodnie senhora Anita walczyła ze śmiercią.

Wreszcie udało się ją ocalić, ale Paulo pozostał na całe życie „potworem“.

Najęta murzynka karmiła go w kuchni, z kądem pod zagrożeniem surowej kary nie wolno jej było za dnia z dzieckiem na świat boży wychodzić. Nocą dopiero, cichaczem, wymykała się Clara z Paulem do ogrodu, gdzie, chodząc wśród odległej alei palmowej, śpiewała mu do snu półgłosem piosnki murzyńskie. Nikt ich wtedy nie widział, tylko księżyc, wyszedłszy czasem z poza chmur, spoglądał z współczuciem i oblewał srebrnem światłem nieszczęsne dziecię i jego piastunkę.

Zdarzało się nieraz, że Clara miała wieczory szczególnej wesołości.

Wówczas sadzała malca na murawie, sama zaś, zerwawszy gałąź pokrytej kwiatem azalii, niby z girlandą w rękę, rozpoczynała przed nim fantastyczny taniec. Paulo nie posiadał się wtedy z radości i klaszcząc w drobne rączyny, zachęcał swoim śmiechem karmicielkę do coraz żwawszych płaśów.

Były to jedyne pogodniejsze chwile w życiu Paula. Innych rozkoszy wieku dziecięcego nie doświadczał nigdy. Rodziców nie znał zupełnie. Senhora Anita, na samo wspomnienie małego „potwora“, wpadała w gniew niepohamowany, senhor Rodriguez zaś,

przez miłość dla małżonki i obawę o jej zdrowie, unikał najlżejszej wzmianki o biednym chłopcu.

Zaledwie Paulo na czworakach pełzać począł i pierwsze niewyraźne dźwięki mowy wydobywały się z jego ust, gdy Opatrzność zabrała mu jedyną ziemską pociechę — pocziwą Clare. Murzynka zmarła pewnej nocy niespodzianie na żółtą febrę. Służba znalazła jej martwe, żółte zwłoki, spoczywające na barłogu poddasza, gdzie było miejsce jej zwykłego spoczynku. Paulo spał najspokojniej przy zimnym trupie.

Myślano, że i jego porwie zaraza, ale rogata natura „potwora“ oparła się śmierci.

Ostał się przy życiu, lecz po to, aby rozpocząć długie pasmo dni strasznej niedoli dziecięcej.

Odtąd był on przedmiotem poniewierki wszystkich. Popychano go, bito, wyrzucano za drzwi kuchni przy lada sposobności, która nastęrczała się nie rzadko, gdyż malec, nie mogąc jeszcze utrzymać się na nogach, często zawadzał krzątającej się służbie. Towarzyszył temu zazwyczaj szereg przekleństw i wymysłów na „potwora.“

— Ach tak! „Potwór! potwór!“ — brzmiało ze wsząd ustawicznie w jego uszach. Przez czas pewien myślał nawet, że to jego własne imię i dlatego, usłyszawszy pogardliwe miano, zwracał się ku swoim prześladowcom.

Powoli jednak samowiedza pogardy, jakiej był przedmiotem, dojrzewała w malcu. W miarę tego coraz więcej unikał ludzi.

Skoro świt, chyłkiem, wymykał się ze swego le-

gowiska na poddaszu i kolysząc się na wątlých nogach, dążył do tej samej alei palmowej, po której niegdyś nosiła go Clara. Tam najróżnorodniejsze nęciły go zabawy.

Najpierw całe stada błękitnych motyli, które leniwo pływały w powietrzu. To znowu lśniącem tysiącem barw w słońcu kolibry przyciągały jego oko. Uganiał za jednymi i drugimi w nadziei schwytania ich.

Innym razem pelzał ukradkiem pod drzewo pomarańczowe, lub znikał w labiryncie bananów, aby zbierać leżące na ziemi owoce.

W tych tajemniczych wycieczkach towarzyszem Paula było stare psisko, Caro. Niegdyś był on ulubieńcem pani domu. Z wiekiem jednak, gdy wypelzła mu sierć, a wstrętne strupy pokryły skórę, poszedł w poniewierkę. Teraz i on był tylko „potworem”. Wspólna więc dola połączyła psa z dzieckiem. Obaj byli przedmiotem powszechnej pogardy i udręczenia. Psisko nosiło nawet widome tego ślady, powłócząc za sobą bezwładną nogę, którą w gniewie murzyn, kucharz, Jao przetrącił kawałem drzewa.

Caro ospale włókł się wszędzie za malcem, który w nim widział jedyną przyjazną istotę. Zazwyczaj obu jednocześnie ogarniało zmęczenie. Wtedy Caro kładł się pierwszy na ziemię, a dziecko opierało na nim swoją kędzierzawą głowinę i zasypiali oboje. Ciekawe słońce, przedzierając się przez liście drzew, spoglądało promienistemi swemi oczyma na tę nieszczęsną, uśpioną parę.

Głód zapędzał ich razem do kuchni. Szli tam

jednak smutni i trwożni. Dawano, a raczej rzucano im strawę, zwykle resztki, które schodziły ze stołu. Siadali wtedy obaj na progu. Pies dawał dziecku pierwszeństwo, a patrząc w drobne jego usta, czekał cierpliwie, aż i na niego przyjdzie kolej.

Niedługo jednak mogła trwać ta biesiada. Wkrótce bowiem wypędzał ich groźny głos kucharza:

— Nuże obżarte „potwory!“ Precz ztąd! dalej do ogrodu!

Jak przyszli, tak i odchodzili smutni, trwożni.

Powoli jednak z twarzy dziecka smutek i trwoga poczęły znikać, a natomiast wyrządzona krzywda, obelga, albo pogardliwe słowa, chmurnie marszczyły jego czoło. Czasami z dwojga otwartych oczu tryskało coś nakształt gniewu, lub nienawiści, a małe piąstki kurczyły się nerwowo. Łzy płynęły często po ciemnych jego policzkach, ale tylko wtedy, gdy był zdala od domu. Przy ludziach Paulo nie płakał nigdy. Płaczącym widział go tylko Caro, który, jakby współczując z dołą towarzysza, skomlał żałośnie.

W tych warunkach i wśród takich okoliczności, wzrastał Paulo. Jednocześnie dojrzewała w nim gorycz i obawa ludzi. Właściwie nie zdawał sobie jeszcze sprawy, co w nim było tak odrażającego, rozumiał tylko, że nie jest takim, jak inni. Zazdrość więc i gniew naprzemian szarpały mu serce, a w chwilach onej dziecięcej refleksyi, twarz przybierała wyraz straszliwej boleści, oczy zaś zalewały się rzewnymi łzami.

Często, skulony, wcisnąwszy piąstki w rozpaloną

twarz, szlochał długo, a szemrzące nad nim liście palm, szeptem opowiadały sobie jego ból i niedolę.

Skończył lat ośm, kiedy zdarzył się wypadek, który wywarł decydujący wpływ na dalsze jego losy.

Chociaż Paulo tak skrzętnie unikał ludzi, nie zawsze jednak udawało mu się ująć złośliwości rodzieństwa.

Bracia byli dlań wyrozumialsii. Często nawet, spotkawszy go w ogrodzie, zachęcali do zabawy, w której zazwyczaj odgrywał rolę niewolnika. Spełniał tedy ślepo ich rozkazy i przyjmował ze spokojem, hojnie przy tej sposobności, wydzielane mu kulaki.

Szczególnem jednak okrucieństwem odznaczała się dla niego siostra Maritta, śliczna blondynka, o dużych habrowych oczach, przez matkę dla swojej piękności „Bonittą“ nazywana. Przychodziła ona do ogrodu z umysłu, aby się pastwić nad biednym bratem.

Nieraz, zastawszy go śpiącego, łamała liść kaktusa i ostreimi jego kolcami klęła twarz malca.

To znowu pod fałdami sukni przynosiła ukryty bít, gdy zaś na jej czulsze wezwanie, chłopiec zbliżał się, nie podejrzewając zdrady, uderzała go znienacka z całą siłą.

Innym razem kazała mu zamykać oczy, a otwierać usta, zaręczając, że w nie włoży jakiś przysmak. Łakomy malec czynił to z ochotą. Wtedy Bonitta wsypywała mu garść piasku, lub wrzucała kamyk, albo pestkę brzoskwini.

Zdawało się, że okrutna dziewczyna przemyśliwała tylko nad środkami coraz bardziej wyrafinowa-

nej złośliwości. Paulo nienawidził jej też z całej duszy, ale obawa kary powstrzymywała go od zemsty.

Wreszcie przebrała się miara jego cierpliwości.

Pewnego razu, Bonitta, swoim zwyczajem, zwa-
biwszy chłopca pod jakimś pozorem, zaczęła go drę-
czyć niemilosierdzie. W miarę jak uciekał, rosła za-
wziętość dziewczyny. Razy spadały nań coraz silniej-
sze. Wreszcie zdyszana stanęła, malec zaś biegł da-
lej, a za nim, wtuliwszy ogon, podążał Caro.

Bonicie strzeliła nowa, okrutna myśl do głowy.
W jednej chwili pochwyciła leżący kamień i rzuciła
nim w psa.

Caro zaskowyczał przeraźliwie.

Biegnący Paulo, jakby piorunem rażony, stanął,
spojrzał na psa i odrazu odgadł, co zaszło. W oka
mgnięciu, jak kot, rzucił się na dziewczynę i zanim zdo-
łała oprzytomnieć, powalił ją na ziemię. Drobne, cie-
mne jego ręce utonęły w jej płowych włosach, z bia-
łych oczów tryskały iskry, a z gardła wydobywało
się stłumione wściekłością rżenie.

Nagle szaleniec otworzył usta, nachylił się nad
twarzą oniemiałej z przerażenia dziewczyny i w tejże
chwili Bonitta wydała krzyk strasznego bólu a jedno-
cześnie krople różowej krwi spłynęły po jej bladym
policzku.

Paulo na widok krwi, znikł, jak błyskawica
w gęstwinie, Bonitta zaś, zanosząc się głośnym płą-
czem i przysłaniając rękoma krwawiącą twarz, pobie-
gła do domu.

Istny sądny dzień zapanował w tym dniu u Co-

reirów. Anita, na widok zbroczonej krwią ukochanej córki, popadła w spazmatyczny płacz, który wnet przemienił się w atak nerwowy. Posłano po lekarza, który stwierdził, że ukąszenie było głębokie i prawdopodobnie pozostawi ślad przez całe życie. Poleciał dziewczynę położyć do łóżka z obawy, aby przestraszenie wywołał poważniejszej choroby. Anita z trudnością przyszła do siebie. Pierwsze zaś przytomne jej słowa, były:

— Zabijcie natychmiast tego potwora!

Od bardzo dawna imię „potwora“ pierwszy raz było na ustach całej rodziny, towarzyszyły mu zaś gniew i zaciekle żądza zemsty.

Przez cztery dni szukano zapalczywie Paula, lecz chłopiec znikł bez śladu.

Piątego dnia zrana zjawił się nagle. Wyglądał okropnie. Na ciele wisiały tylko strzępy i tak zazwyczaj podartego ubrania. Twarz, ręce i nogi nosiły krwawe ślady koleców i gałęzi. Cera z ciemnej stała się żółta, zapadłe zaś oczy i spieczone wargi świadczyły o głodzie i zmęczeniu. Ledwie powłóczył nogami. Wraz z nim przyczółgał się i Caro, wynędzniały i wychudzony, jak jego towarzysz.

Kiedy senhorowi Rodriguezowi doniesiono o jawieniu się Paula, nakazał wszystkim głębokie przed senhorą milczenie, jednocześnie zaś polecił kucharzowi zabić „potwora.“ Jao ściśle rozkaz pana wypełnił; chłopiec zniósł karę, nie wydawszy ani jednego jęku, ła nawet nie poświeciła w jego oku, chociaż murzyn bił strasznie, a za każdym uderzeniem krew spływała.

po obnażonym malcu. Po wymierzeniu okrutnej kary Jao rzucił bezwładnego na ziemię.

Na drugi dzień „potwora“ nie było już w domu Coreirów; zabrał go, za stosowną opłatą, na wychowanie włosch, Scarzanelli, który na jednej z ciasnych, brudnych uliczek przedmieścia Botafogo utrzymywał szkołę dla synów biednej ludności tamtejszej.

Daremnie przez trzy dni z rzędu pocziwy Caro obiegał wszystkie zaułki ogrodu, daremnie po nocach był żałobnie. On jeden czuł brak swego towarzysza niedoli.

Pewnego poranku znaleziono psisko nieżywe, w tej samej alei palmowej, w której zazwyczaj bawili się z Paulem.

Z początku zdawało się chłopcu, że nowe rozpoczął życie. Scarzanelli wystygły i stetryczały, nie okazywał mu wprawdzie żadnych dowodów serca, lub czulszej troskliwości, ale też nie znęcał się nad nim i nie uragał jego szpetocie. Chłopcy powitali nowego towarzysza z pewną ciekawością. Jeden drugiemu szeptał tajemniczo coś do ucha, spoglądając przytem podejrzliwie na Paula, ale pozostawili go w spokoju.

Tak, istotnie, miał wreszcie spokój, którego dotąd jeszcze nie zaznał w życiu. Patrzał więc śmieiej i weselej na świat i wierzyć nie chciał, że upływają dnie całe bez bólu, bez goryczy i poniewierki.

Niestety, czekało go rychłe rozczarowanie.

Nie upłynął miesiąc, gdy przy pierwszej sprzeczce jeden z chłopców rzucił mu w oczy pogardliwe miano

„potwora“, czemu towarzyszył szyderczy poklask reszty kolegów. Paulo oniemiał wobec zniewagi i jak szczenie kopnięte nogą, skulony, powłókł się do kąta szkolnej izby.

Odtąd stał się przedmiotem codziennych szyderstw i uszczypliwych żartów swoich towarzyszków. Chłopcy, widząc jego zbolalą twarz i rosnącą z każdym dniem nieśmiałość, znęcali się nad nim coraz natargowiej.

Jak w domu, tak i tu, nie nazywano go już inaczej, tylko „potworem“.

Pewnego razu, gdy Paulo, znękaný prześladowaniem towarzyszków, usunąwszy się na bok, popadł w bolesną zadumę, zbliżył się do niego mały José. Widząc smutek i przygnębienie biednego chłopca, José, widocznie tknięty współczuciem, począł doń przemawiać łagodnie. Z początku Paulo słuchał nieprzytomnie, tkliwy jednak dźwięk głosu obudził go. Podniósł wilgotne oczy na mówiącego.

— Chodź — mówił José — nie zważaj na nich!

— A dlaczego oni to robią? — pytał Paulo głucho. — Co ja im zawiniłem?

José milczał.

— Słuchaj — ciągnął dalej przez łzy chłopiec — tyś lepszy od nich, powiedz dlaczego mnie nazywają „potworem?“ Wołano tak na mnie w domu, ale tam i bili mnie zarazem. Zresztą, ja wiem, że przy moich braciach i siostrze byłem potworem. Ale tutaj co innego. Patrz, Sebastiao ma tę samą twarz, co i ja, Francisco przecież czarny, a dlaczego im nie urągają?

José i teraz jeszcze nie odpowiadał.

— Ty nie chcesz mówić? Zlituj się, powiedz! — błagał, łykając łzy, chłopiec, a słuchającemu zdawało się, że przytem serce biedakowi pęka z bólu.

— Widzisz — rzekł wreszcie José, jękając się, z pewnem drżeniem i nieśmiałością w głosie — powiadają, żeś ty wyrodek.

— A Sebastiao, Francisco? — przerwał, zaciśkając pięści, Paulo.

— To co innego — ciągnął dalej José — Sebastiao ma ojca murzynem, Francisca rodzice czarni, ale twój ojciec i matka biali, twoi bracia biali, cała rodzina biała, ty jeden tylko.....

— Potworem! — dokończył nieszczęsny chłopiec i wybuchnął całą siłą długo dławionego płaczu.

Po długiej chwili, która Josemu wydała się wiekiem całym, Paulo podniósł zalaną łzami twarz.

— Więc ja zawsze pozostanę takim? — zapytał. José nie znalazł odpowiedzi.

Od tej rozmowy zamarło coś, czy skamieniało, w biednym chłopcu. Dotąd myślał przynajmniej, że wstręt, który budził, z jego własnej pochodzi winy, teraz zrozumiał, że jest ofiarą przesądu i uprzedzenia, że nic nie zmyje z niego płamiącego znamienia.

Dziwna równocześnie zaszła w nim zmiana.

Potulny i nieśmiały, stał się groźnym dla towarzyszków. Gdy pewnego razu Sebastiao rzucił mu zwykłą obelgę w twarz, zbił chłopca tak niemilosierdzie, że go nawpół żywego odniesiono do domu.

Odtąd unikano go, ale i on sam stronił od wszystkich jeszcze więcej. W zabawach kolegów nie

brał udziału, a gdy razu jednego José zaproponował mu, by poszedł z nimi oglądać rewię wojska na placu Aclamação:

— Idźcie precz, sami! — krzyknął — wy białe psy!

Bywało, w dzień św. Antoniego, lub św. Jana, całe miasto wrzało od ruchu i zabawy. Na placach grały orkiestry. Po ulicach przeciągały, wśród wesołych śpiewów, tłumy białych i czarnych ludzi. Z każdego podwórza, z każdego ogrodu, tysiące rakiet wzlatywało w górę. Wieczorem cała zatoka płonęła od ognia sztucznych. Kto żyw, biegł do „Jardim Botanico“, gdzie odbywała się wielka zabawa ludowa.

Młodzież tonęła w weselu i uciechu.

Jeden tylko Paulo leżał na posłaniu, jak martwy, gryząc palce do krwi z bólu i złości. W takie właśnie dni był on szczególnie chmurny i głowy nie pokazywał na świat Boży. Biada temu, kto się do niego zbliżył. Popadał wtedy w dziką wściekłość. Bił, gryzł i drapał niemilosierdzie.

Wogóle na ulicę wychodził niechętnie, kiedy zaś Scarzanelli posyłał go po sprawunki lub za interesem, naciskał kapelusz na twarz i biegł prędko, nie podnosząc oczu na przechodniów.

Nikt nie widział go modlącym się. Co prawda, nikt go nie uczył modlitwy, ale za to przyłada sposobności potoki całe ohydnych przekleństw płynęły z ust chłopięcych.

Nazywano go nietylko „potworem“, ale i dzikim

Paulem, żaden jednak z chłopców nie śmiał go nazywać w ten sposób głośno, z obawy przed jego pięścią.

O rodzinie nie wspominał nigdy. Przestała ona dla niego istnieć od chwili, kiedy opuścił dom rodziców. Co pół roku Scarzanelli udawał się do domu Coreirów, gdzie senhor Rodriguez wręczał mu punktualnie przynależną kwotę za wychowanie. Nie było jednak wypadku, żeby stary belfer kiedykolwiek był zapytany o chłopca, a gdy razu pewnego sam Scarzanelli usiłował wszcząć o nim rozmowę, senhor Rodriguez przerwał mu ją szorstko i oświadczywszy, że nie ma czasu, pożegnał go bezzwłocznie.

Czas chyżo bieży. Nie obejrzysz się, kiedy miną miesiące i lata. Więc i Paulo wśród goryczy i tłumionego bólu, nurtującego coraz bardziej jego duszę, wyrósł na młodzieńca.

Nikt wierzyć nie chciał, że skończył dopiero 20 lat.

W jego nawpół zwiędłej twarzy, przygasłych zazwyczaj, a tylko chwilami dzikim ogniem błyszczących oczach, nie podobna było dojrzeć hożej, pełnej nadziei i całą siłą rwącej się do życia natury młodzieńca. Zaostrzone, a jednak przypominające właściwie czarnej rasie rysy, duża o kędzierzawych i rozwichrzonych włosach głowa, postawa, jakby pod ciężarem ustawicznie się uginająca, brak wszelkich cech młodości, czyniły Paula, jeżeli nie szpetnym, to rzeczywiście odrażającym. W dodatku głos jego nabrał dziwnej szorstkości, tak, że już sam przez się robił niemiłe wrażenie.

Nie też dziwnego, że jak on unikał ludzi, tak i jego unikali wszyscy. Ci nawet, którym znana była jego niedola, nie mieli dla niej współczucia, przypisując ją, równie potwornej, jak ciało, duszy.

Pewnego wieczora Scarzanelli powrócił właśnie od senhora Rodrigueza. Stary nauczyciel, wszedłszy do izby, zwrócił się wprost do Paula:

— No, chłopcze — rzekł — mam dla ciebie wesołą nowinę.

Paulo podniósł na niego bezmyślne oczy.

— Twój ojciec — ciągnął dalej belfer — pragnie, abyś pomyślał o swojej przyszłości. Jesteś już w tym wieku, w którym ludzie sami zarabiają na chleb. Tu w Rio będzie ci zapewne trudno znaleźć stanowisko. Wiesz przecież... — Tu Scarzanelli się zaciął. — No, ty to już zresztą rozumiesz — mówił po pewnej przerwie dalej — że tu za bardzo cię znają. Otóż, senhor Rodriguez radzi, abyś szukał szczęścia gdzieindziej. Jeżeli go posłuchasz, szlachetny senhor złożył na moje ręce cztery konty, które ci w takim razie wręczę. Będzie to piękna na początek zapomoga. Jeżeli zaś nie, pieniądze wrócą do kieszeni senhora, a ty rób, co ci się podoba.

W miarę, jak mówił Scarzanelli, czoło Paula pokrywało się gniewnymi zmarszczkami, a oczy rzucały iskry. Powoli jednak gniew zniknął, a natomiast na twarzy osiadał wyraz szyderstwa.

— Cóż więcej rozkazuje mi szlachetny senhor Rodriguez? — wycedził przez zęby.

— Jakto? tego ci niedość? — zapytał nauczyciel.

Paulo rzucił się na krzesło, oparł łokcie o stół i zatopił palce we włosach. Czuć było, że w piersi jego wre straszna walka.

Zapanowała cisza, wśród której słychać było tylko ciężki oddech nieszczęsnego chłopca i miarowe uderzenia starego zegaru na ścianie. Lekki wiatr wnosił do izby przez otwarte okna woń magnolii, wraz z echem muzyki setek świerszczów i koników polnych, grających swobodnie u podnóżka Corcovado.

Stary Scarzanelli, oparty o framugę okna, patrzył zimno na pasującego się ze sobą chłopca.

Po chwili Paulo podniósł się, a twarz nie nosiła już znamion gniewu i szyderstwa, ale onej kamiennej apatyj, która zwykle malowała się na jego twarzy.

— Dobrze — rzekł spokojnie — pójdę za radą szlachetnego senhora!

W dwa dni później Paulo odpływał statkiem do Para, równie zimny, skamieniały i apatyczny, jak wtedy, kiedy dawał stanowczą odpowiedź Scarzanellemu.

Upłynęło od tej pory lat cztery.

Paulo w trakcie tego zaciągnął się do wojska. Był pewien, że wśród tego odmetu wyrzutków różnych warstw społecznych, z których rekrutuje się armia brazylijska, utonie i historia jego pochodzenia. Niestety, zdradziło go arystokratyczne nazwisko.

— Jakto? — mówili towarzysze — do Coreiro,

syn dostojnego senhora Rodrigueza — i mulat?! Aha! rozumiemy ... atawista!

I znowu posypały się na Paula uszczypliwe żarty, złośliwe przymówki, a w trop za nimi cały szereg różnorodnych upokorzeń.

W kilka miesięcy zrozumiał on, że gdy dalej pozostawać będzie w tych warunkach, strawi go ból, gniew i wściekłość. Nie namysławiając się długo, opuścił Parę.

Przez czas pewien błakał się nad Amazonką, lecz zjadliwy klimat okazał się równie, jak ludzie, złośliwym względem niego. Zresztą, ani rybołówstwo na olbrzymiej rzece, ani ciężka praca kolonisty wśród dziewiczych lasów, nie dogadzały mu zupełnie. Znekany chorobą, zwątpiały, z goryczą w duszy, podążył do Espirito Santo.

I tu nie lepszy spotkał go los.

Na domiar złego, pieniądze topniały szybko. Już podczas pobytu w wojsku Paulo zaczął boleść swoją i nienawiść topić w kaszasie *). Widywano go coraz częściej pijanym. Ponury i dziki, wpadał w takich chwilach w istny szal uciechy, tonąc w najbrudniejszych rozkoszach. Cóż więc dziwnego, że z onych czterech kontów, wręczonych mu przez Scarzanellego, pozostała już zaledwie połowa?

Próbował jeszcze szczęścia w Porto Alegre, gdzie znalazł chwilowo zajęcie przy policyi morskiej. Trwało to jednak krótko, gdyż wydano go dla nieszczęsnego nałogu.

*) Kaszas, wódka wyrabiana z trzciny cukrowej.

Tym sposobem, w przeciągu czterech lat, zgasyły w nim resztki nadziei co do pomyślniejszej doli. Życie dało mu zakosztować wszystkich goryczy, a nałóg do dna spaczył nieszczęsną duszę.

Czegóż się mógł jeszcze spodziewać? Tylko dalszych zawodów, utrapień i zniewag. Fatalne piętno zawisło nad nim, niby przekleństwo. Wszędzie, zawsze i u wszystkich, czuł się tylko „potworem“, który macosza natura, jako żyjący okaz swego kaprysu, rzuciła bezlitośnie na świat i żyć kazała.

Wszystko w nim podnosiło straszny bunt przeciwko okropnemu przeznaczeniu.

Jeżeli, chłopięciem będąc, nie zdawał sobie sprawy ze swojej nienawiści do ludzi i odczuwał ją tylko instynktem drażnionego ciągle zwierzęcia, teraz wpila się ona w jego mózg i serce.

Ze wszystkich — to jedno pozostało mu uczucie.

Znienawidził też strasznie: życie, świat i ludzi.

Ach, tych ostatnich najsilniej! Cóż mu bowiem dali, prócz upokorzeń, zniewag i pogardy? Któż, jeżeli nie oni, byli powodem jego okrutnej niedoli? Czy, gdy cierpiał, gdy się wił z bólu, choć jedno serce zabiło dlań współczuciem? „Potworem“ był dla nich, a czy z jego winy? Poniewierano i pogardzano nim pierwaj jeszcze, nim mógł zrozumieć dlaczego.

Kto zatem zaszczerpił w nim tę nienawiść, kto ją uczynił wszechwładną panią wszystkich jego uczuć i instynktów?

Oni! Tylko oni!

Nienawidził przeto białych dla ich bladych twa-

rzy, a kamienistych serc, dla ich regularnych rysów, a przewrotnej duszy. Lecz stokroć więcej nienawidził czarnych, szczątki bowiem ich krwi wyrły na nim to złowrogie piętno. Gdybyż mógł pomścić na jednych i drugich swoje krzywdy, gdybyż zdołał ich powalić do swoich stóp, pastwić się nad nimi, kutować ich i krzyczeć na całe gardło:

— To ja, potwór, płacę wam za wszystkie moje bóle i zniewagi!

Co za rozkosz niepojęta?!

Gdy podobne myśli snuły się po głowie Paula, fala krwi biła mu do mózgu, w oczach robiło się ciemno, a zimny dreszcz biegł po skórze. Wpadał wówczas w szal. Gniótł własne ręce, że aż kości trzeszczały; szczęki jego drżały jak w febrze; białe zęby uderzały jedne o drugie; przyplaszczony nos rozdymał się, a z gardła wydobywało się ciężkie sapanie. Nic nie widział i nic nie słyszał, tonął tylko w fantastycznych urojeniach swojej nienawiści i zemsty, ocierając od czasu do czasu machinalnie czoło z zimnego potu.

W miarę, jak mijało straszne wzburzenie, opanowywała go niemoc i wtedy, jakby bezwiednie, wychylał szklanki kaszasu jedną po drugiej, dopóki pijany nie zwałił się z nóg.

Zwykle przez kilka następnych dni nie pokazywał się. Mówili, że pił podczas tego na zabój.

Widziano go później długo smutnym, przybitym i znękanym.

W jednej z takich chwil zupełnego przygnębie-

nia i głuchej, a bezwiednej rozpaczy, postanowił uciec od nienawistnych mu ludzi i na pustkowiu zamknąć się ze swoim bólem i trawiącą go żądzą zemsty.

Oto, jakim sposobem znalazł się Paulo na stepie, ciągnącym się między Lapy a Rio Negro.

Dziewięć lat już upłynęło od chwili, kiedy Paulo osiadł się na tem pustkowiu.

Dwa dni uciążliwej drogi dzieliły go od pierwszej ludzkiej osady, od Lapy, która stanowiła jakby oazę w środku stepu, rozpostartego na setki mil. Wprawdzie na zachód, w ciągu pół dnia, można było dostać się do potężnej kępy leśnej, Campos de Matto, gdzie rosły drzewa matowe, ale w epoce, kiedy przybył tam Paulo, cheiwy zarobku człowiek nie dotarł jeszcze do niej, aby corocznie one drzewa odzierać z liści i przyrządzać z nich, znaną już dziś w całym świecie, *matte* *).

Paulo więc był sam na olbrzymim stepie, na którym dotąd nie powstała jeszcze ludzka stopa, prócz dzikich indyan złośliwego szczepu Botokudów, zapędzających się w swoich myśliwskich i grabieżczych wyprawach hen, daleko, aż do wybrzeży potężnego Iguasu i Rio Negro.

Pod samotnym pinierem, który smutnie rozpostarł w górze swoją koronę, wśród wątłych krzewów dzikich bambusów, nad małym strumykiem, co szemrzając, toczył się zwolna po zwirze, wybudował szałas, gdzie znajdował schronienie przed żarem słońca, lub

*) *Matta*, rodzaj herbaty, przyrządzanej z liści suszonych drzew tegoż nazwiska.

potokami ulewnego deszczu. Kilkadziesiąt sztuk bydła, pokaźne stado owiec i mały, myszaty koń, stanowiły jego dobytek, do którego zwolna i z trudem doszedł w ciągu tych lat.

Po raz pierwszy w życiu ujrzał się tutaj, jeżeli nie szczęśliwym, to spokojnym przynajmniej, na samą myśl, że na tem pustkowiu widmo ludzkiej pogardy już go nie dosięgnie.

Skoro rano wschodzące słońce, wdarszy się snopem złotych promieni do szalasu, budziło Paula z głębokiego snu i on z barlogu wychylał głowę na świat boży, patrzyły nań ciekawe oczy owiec, pijących wodę u strumienia, tak dobrotliwie, że i jego ponura twarz nabierała wyrazu łagodności, jaką niegdyś oglądała na niej tylko Clara nieboszczka i poczeiwy Caro.

Wybiegał wzrokiem na step i z zadowoleniem liczył w dali rozrzucone po różnych stronach krowy i woły, które nie podejrzewając badawczego oka, spokojnie przeżuwały trawę i od czasu do czasu opędzały się natrętnym komarom, bąkom i moskitom. Brzęczenie owadów i muzyka koników polnych w trawach i łożach, pieściły jego ucho ową pieśnią ustawicznego lata, przez którą wpływa do serca dziwny spokój, lub ukojenie.

Samotnik uczuwał się wielkim władcą na tym olbrzymim stepie i pod wrażeniem tego uczucia zrywał się na równe nogi, prostował grzbiet, rozpościęrał ramiona, podnosił dumnie głowę i na dowód swojej władzy wyrzucał z ust długi, przeraźliwy świst.

W jednej chwili owce pryskały w szalonym pę-

dzie na step; krowy i woły, podniósłszy zdziwione łby, również biegły dalej, nawet koniki polne na chwilę przerywały swoją muzykę.

Paulo był dumny z popłochu, jaki sprawił. Wszak to on, ów poniżany przez ludzi „potwór,” panuje teraz na stepie i niema nikogo, co by śmiał pogardliwie zaprzeczyć mu tego panowania. On, co niegdyś krył się przed okiem ludzkim, by nie urażało jego szpetocie, dziś sam oblewa wyniosłym wzrokiem niedoścignione przestrzenie i czuje się na nich wszechwładnym panem. Oto jeden jego znak życia wystarczył, aby rzucić popłoch na step.

Chmura ponurych wspomnień czasami osiadała mu na czole, ale rozpędzała ją rzeczywistość i Paulo ochoczo zabierał się do pracy.

Szedł najpierw zdjąć lasso z szyi konia, którem był uwiązany do piniera. Zwierzę, uczuwszy swobodę, w wesołych podskokach biegło do strumienia, a następnie na step, szukając nozdrzami smaczniejszej trawy.

Teraz wypadało o sobie pomyśleć, bo głód dawał mu się srodze we znaki. Rozniecał tedy ogień z suchych łodyg i wyschłych gałęzi krzewów i stawał przy nim sagan z zaczerpniętą ze strumienia wodą. Na pniu piniera wisiały płaty suszonego mięsa, którego kawał odciawszy nożem, wrzucał do sagana. Tymczasem, zanim strawa była gotową, zdejmował z dachu twardy ser i łamiąc kawały, wkładał łakomie do ust. Czasami posiadał także trochę suszonych jagód, lub jeżyn, które zbierał, jeżdżąc po stepie. Był

to jeden z przysmaków, którego nie pozwalał sobie często kosztować, nie wszędzie bowiem zdarzało się go znaleźć i większe przygotować zapasy. Miał też już obecnie pod dostatkiem kukurydzy, która bujnie rosła nieopodal szalas, a wśród niej pięły się po ziemi łodygi batatów. Na słońcu, sparte o szalas, schły potężne korzenie manioki, z których, gdy deszcz go zatrzymał pod dachem, przygotowywał ulubioną farinję *).

Skromne te zasoby wystarczały mu zupełnie, a strawa, jaką sam sobie przyrządzał, była stokroć smaczniejsza od tej, którą mu niegdyś białe, lub czarne podawały ręce.

Zanim jednak doszedł do obecnych dostatków, kosztowało go to niemało trudu. Trzeba bowiem było wprzód na szerokiej przestrzeni ścinać trawy, paprocie, chwasty i łozy, wysuszyć je i spalić. Nieprzyzwyczajony do pracy w ziemi, długo się mozolił, zanim motyką o tyle ją wzruszył, że mógł wrzucić ziarna kukurydzy, lub zasadzić bataty i mandjokę. Nadto, ziemia na stepie nie była żyzną i po trzech latach traciła swoją płodność. Trzy razy już więc Paulo w ten sam sposób powtarzać musiał pierwsze mozoly.

O tych znojach i trudach myślał z zadowoleniem, podniecały one bowiem jego dumę i utwierdzały w przekonaniu, że istotnie panuje na stepie.

Posiliwszy się, szedł zwykle do plantacyi. Słońce

*) Mąka roślinna, wyrobiona z tłuczonych na proch korzeni mandjoki, stanowi ulubiony przysmak brazylijczyków. Posypują nią wszelką potrawę.

dopiekało na dobre, a miliony owadów unosiły się w powietrzu. Weisnąwszy duży kapelusz na głowę, z zawiniętymi rękawami od koszuli, Paulo, w miarę pory roku, to łamał łodygi dojrzałej kukurydzy, to kopał niekształtne bataty, to znowu pilnie motyką wzruszał ziemię, lub w należytych odstępach sadził pojedyncze ziarna kukurydzy i szczepy mandjoki.

Po kilku godzinach pracy, dokuczliwe gorąco zapędzało go do szalasu, gdzie siedział beczynnimie czasami lub tonął w myślach.

Były to jedyne chwile, w których nawpół zapomniane obrazy przeszłości stawały mu przed oczyma, a smutek i gniew szarpały jego serce. Zdarzało się to jednak rzadko i wtedy Paulo czuł, że drżmiąca nienawiść do ludzi odzywała się w nim z dawną, istic szatańską, siłą. Zrywał się wtedy, wybiegał z szalasu i nie bacząc na upał, lub deszcz, pędził jak opętany, bez celu, na step.

Okolo wieczora wracał zwykle zziajany, bezwładnie wlokąc za sobą nogi.

Przybywszy do szalasu, rzucał się na barłóg i wnet zapadał w ciężki sen.

Cisza nocna zalegała powoli na stepie. Owce skupiały się w gromadkę; bydło legło w miękkiej trawie do spoczynku; ustawało brzęczenie komarów i muskitów, oraz muzyka koników polnych. Po rosie tylko płynęło echo jęków, wyrrywających się z piersi trapionego przez senne mary samotnika.

Zwykle pod wieczór, gdy upał łagodniał, Paulo wyruszał na step, już nie po to, aby w nim boleść

swoją zgubić, ale jako istny władca tych przestrzeni i skrzętny gospodarz. Gotował się też do tej wyprawy z niemalym zachodem.

Wdziewał najpierw przez głowę wielką ponszę, która dwiema połowami spadała mu na piersi i plecy, chroniąc od wilgoci i chłodu nocnego. Biodra przepasywał szerokim pasem skórzanym, za który zatykał rewolwer i duży, w pochwie ukryty nóż. Przez ramię przewieszał długi bat, do prawej zaś bosej stopy, przypinał wielką srebrną ostrogę, godło trudniących się chowem bydła fazenderów.

To skuteczniejszy, uderzał trzy razy w stwardniałe dłonie. Na znak ten koń, skubiący leniwie trawę, podnosił łeb, rozdymał nozdrza i cwałem biegł do pana.

Wówczas Paulo wynosił z szalasu kulbakę, wyszywaną w fantastyczne desenie na różnokolorowej skórze, przy której liczne blaszki lśniły się w promieniach słońca i szerokimi pasami przymocowywał ją na koniu. Po jednej i drugiej stronie kulbaki zwieszały się wkoło zwinięte lassa, oraz pęcherze do mleka.

Koń, jakby czując, że idzie na śmiało po stepie harce, potrząsał grzywą i paraskał wesoło na znak zadowolenia.

Paulo nakładał mu wreszcie uzdę, zdobną w błyszczące guzy i zarzuciwszy cugle na kark, wskakiwał żwawo na kulbakę.

Pan i zwierzę dumni byli z siebie i jakby cały świat na nich patrzył przez to jedno otwarte, płomie-

niste oko słoneczne, pysznili się przed niem, krocząc zwolna, a majestatycznie.

Lecz czas już skończyć paradę, bo oto w dali widać stadko pasących się owiec.

Chrzęst łamanych kopytami końskimi łądyg i łożów doleciał je widocznie, bo podnoszą swoje lebki i trwożnie spoglądają w stronę konia i jeźdźca. Niepokój ogarnia całe stado.

Nagle jedna owca wysuwa się z gromady i poczyną szybko biedz w przeciwną stronę; za nią podążają inne, przyspieszając coraz więcej biegu.

W tej chwili jeździec lekko dotyka ostrogą boku konia, a rozumne zwierzę rusza z kopyta i cwałem mknie za uciekającym stadem.

Niedługo wszakże trwa gonitwa, gdyż w kilkunastu skokach koń zbliżył się już do pierzchającej gromadki.

Paulo sięga ku lewej stronie kulbaki, zdejmując przytwierdzone do niej lasso i silną ręką zaczyna zataczać niem koła nad głową.

Koń przyspiesza biegu, owce mkną zaś, co sił starczy.

Nagle Paulo wypuszcza z ręki lasso. Sznur, gwiżdżąc przeraźliwie, rozwija się z szybkością błyskawicy w powietrzu i jak wąż opasuje owcę. Biedne zwierzę pada na ziemię, gdy reszta w szalonym popłochu ucieka dalej.

Jeździec zeskakuje tymczasem z konia, odpina od kulbaki pęcherz i schyliwszy się nad martwą niemal z przerażenia owcą, poczyną go napełniać mle-

kiem. Po chwili, wypuszczona na wolność, ofiara, becząc żałośnie, bieży za resztą towarzyszek.

Ten sam polów powtarza się raz, drugi, dziesiąty, dopóki po bokach konia nie zwisną oba wypełnione mlekiem pęcherze.

Te harce jednak właściwie nie zapalały, ni konia, ni jeźdźca. Być może dlatego, iż odbywały się codziennie i weszły poniekąd w rzemieślniczą rutynę. Inaczej wszakże, gdy, skoro zapas suszonego mięsa się wyczerpywał, trzeba było schwycić dzikiego wołu. Wymagało to wielkiej zręczności i siły.

Koń i jeździec, jak błyskawica, wpadali pomiędzy gromadę, która pierzeła, podobna do stada spłoszonych sarn. Step aż tętniał od kopyt końskich i racie uciekających wołów. Koń przytulał uszy, wyciągał szyję, rozdymał nozdrza i sięgając niemal brzuchem ziemi, pędził, niby wiatr, po onym traw i paproci oceanie.

Woły, przeczuwając niebezpieczeństwo, zapożyczały nóg od gazeli i w szalonym pędzie mknęły przed pogonią. Nie im jednak mierzyć się w biegu z koniem. Chociaż dobywają wszystkich sił, przestrzeń dzieli ich coraz mniejsza. W dodatku jeździec preraźliwym krzykiem pobudza całą gromadę do zapamiętałego biegu.

Koń dociera wreszcie do boku ofiary i odciawszy ją od reszty towarzyszków, zmusza do samotnej ucieczki.

Teraz pościg rozpoczyna się na dobre. Koń i wół lecą na złamanie karku.

Lecz oto Paulo znowu sięga po lasso, tym razem jednak po zawieszone z prawej strony kulbaki. Jeden rzut zręczny i silny, a złowroga pętla zawisła na rogach wolu.

Szalony bieg jednak nie ustaje, przeciwnie, prze-raźliwy krzyk jeźdźca wydobywa z pędzących resztki sił.

Wtem nagle, w chwili, gdy wół w szalonym pędzie ma przesadzić mały krzaczek, koń, pociągnięty za cugle, zarywa się zadem w ziemię, jednocześnie zaś jeździec szarpie za lasso.

Jakby piorunem rażony, wół pada łbem na ziemię.

Zeskoczyć z konia, wbić pod łopatkę ofiary nóż aż po rękojeść, jest dziełem jednego mgnienia oka.

Biedne bydle usiłuje zerwać się na nogi — daremnie; krew wraz z pianą bucha mu już pyskiem i nozdrzami. Zatacza więc smętnie oczyma, jakby zegnęło step, który dlań był kolebką, a jest obecnie łóżem śmierci. Kilka konwulsyjnych drgnięć i ofiara leży nieżywa.

Koń zadyszany robi szybko bokami, lecz dumny ze zwycięstwa, w którym niełada jaka należy mu się zasługa, parska wesoło, obwąchując martwą już ofiarę.

Czeka go jednak jeszcze trud niemały, bo Paulo zakłada i drugie lasso na rogi i przywiązawszy oba silniej do kulbaki, dosiada konia, który teraz nietylko musi dźwigać jeźdźcę, ale i wlec zabitego wola.

Po takiej wyprawie, zazwyczaj już o zachodzie słońca, wracał korowód w stronę szalasu, a cień jego, przesuwając się zwolna po powierzchni traw, tworzył obraz olbrzymich rozmiarów, w którym jeździec, koń

i martwe bydle wydawać się mogli fantastycznym i ponurem zjawiskiem na stepie.

Dziwnie zagadkowa jest doprawdy natura człowieka.

Ów Paulo, który dopiero na stepie znalazł spokój i schronienie przed uragowiskiem i pogardą ludzi, od czasu do czasu wpadał w rzewną tęsknotę. Zdawało mu się wtedy, że świat musiał się zmienić, że ci sami ludzie, których tak głęboko nienawidził, stali się innymi, że otworzą mu dziś ramiona i przyjmą go jak brata. Z początku myśl, że spotkać go może ta sama, co niegdyś, pogarda, że znowu ujrzy się „potworem“ wśród innych, dreszczem go przejmowała. Powoli jednak oswajał się z nią, tajemny zaś głos szeptał mu: „Idź! Zobacz! Przekonaj się!”

Niekiedy przez całe tygodnie walczył z tą tęsknotą; były chwile, że z jej powodu uczuwał wstręt do samego siebie, ale w końcu pokusie oprzeć się nie mógł.

Włókł się więc do Lapy, Ponta Grossa a nawet raz dotarł aż do Curitiby. Niestety, niebawem przekonywał się, że dla niego nic się nie zmieniło. Wystarczało kilka tygodni, aby go znowu napelnić goryczą i dawną nienawiść ku ludziom podwoić. Wstrętny nałóg odzywał się w nim wtedy. Pił bez upamiętania, dopóki nie zmarnował ostatniego mila, z pieniędzy otrzymanych za przypędzone woły, lub owce, które zazwyczaj na dłuższy czas przed wyruszeniem ze stepu oswajał w okólniku.

W ciągu dwunastu lat sześć razy podejmował

podobne wyprawy i zawsze wracał z nich przybity, złamany, poprzysiegając sobie, że nigdy już więcej nie wyjrzy poza step.

Lecz znowu, jak upiór, trapić go poczęła ta sama tęsknota. Odpędzał ją, przeklinał, starał się zdusić wspomnieniem ostatniego wstydu i zniewagi. Daremnie!

W dodatku tym razem wystąpiła ona w nowej formie, paraliżującej dawne względy.

Oto dobytek posiadał już znaczny, należało pomyśleć, aby mu przynosił korzyści. Rozbudziła się w nim żądza pieniędzy, któremi dotąd pogardzał. Łudził się, że blaskiem złota olśni ludzi, że zdusi ich szyderstwo i pogardę. Z tą nadzieją nosił się dniem i nocą.

Zrywał się ze snu, z rozpaloną głową, wybiegał na step i snuł złotą nić ambitnych projektów na przyszłość.

Niekiedy zdawało mu się, że patrzący nań księżyc szyderczo krzywił blade swoje oblicze, a wtedy refleksya zakradała się do mózgu. Trwało to jednak krótko. Gorączkowa fantazja pracowała dalej.

Stało się na tem, że uda się do Curitiby. Tam zawiąże stosunki z handlarzami, którym sprzeda 30 oswojonych wołów i 50 owiec. Za kilka lat liczba ta się zdwoi, a później całe stada pójdą już na sprzedaż.

Pomyśli także o pomocy, boć dosyć sam się mozolił. Pragnie być panem, mieć niewolników, jak na fazendera przystało.

O! co za rozkosz posiadać takich, którzy drżą

na jego głos, baczą na każde skinienie i ślepo wykonywują rozkazy, lub biorą baty.

Będzie surowym, strasznym panem. Nic nie puści płazem.

Kiedy w tydzień później Paulo jechał na koniu do Curitiby, pędząc przed sobą woły i owce, twarz jego promieniała zadowoleniem i nadzieją.

Wyprawa powiodła się szczęśliwie; kupcy chętnie zabrali woły i owce. Trzeciego dnia pobytu w Curitibie, Paulo posiadał już w kieszeni około trzech kontów błyszczącym złotem. Handlarze umówili się nadto, że corocznie, w porze jesiennej, przybędą na step, dla zakupu żywego towaru.

Mulat, jak paw, kroczył po ulicach miasta, szafując szczerze pieniędzmi na wszystkie strony. Przyodział się dostatnio i okazale. Duża, kraciasta ponsza zakrywała wprawdzie aksamitne ubranie, ale za to szeroki kapelusz, fantazyjnie nasunięty na czoło i błyszczące buty, zdradzały zamożnego fazendera.

Znalazł też kilku przyjaciół, którzy chętnie brali udział w urządzanych przez niego biesiadach i hulankach. Dwa tygodnie w ten sposób spędzonego życia stopiły wprawdzie połowę otrzymanych od handlarzy pieniędzy, ale co go to obchodziło: był dumny z powodzenia. Gdyby był bacznie śledził swoich towarzyszków, dojrzałby nieraz na ich twarzach szyderczy uśmiech, ambitne wszakże upojenie mroczyło mu w oczach. Nie chciał nic widzieć, nie badać, był jakby pijany z zadowolenia.

Powracał wreszcie na step, dumny i przeświadczony, że teraz świat na oścież otworzy mu wrota.

Tuż obok konia kroczyła para murzynów, których Paulo kupił w Curitibie.

On liczył około lat czterdziestu. Ciężka praca zgarbiła jego grzbiet i przedwcześnie głowę poproszyła siwizną. Nadto, wypadkiem stracił oko, jednym więc tylko smętnie spoglądał na świat boży.

Ona, widocznie biedactwo, wątła, kaszląca, ledwie dźwigała się na nogach, co jej tem trudniej przychodziło, że wlec musiała za rękę pięcioletniego malca, który, znużony trudami drogi, od czasu do czasu napierał się na plecy matki. Pot i łzy oblewały twarz murzynki, lecz miłość macierzyńska dodawała jej sił, co chwila bowiem zarzucała brudną płachtę na grzbiet i sadowiła w niej płaczącego chłopca. Dźwigała go jednak zaledwie kilkaset kroków, gdyż duszący, suchy kaszel zmuszał ją do pozbycia się drogiego ciężaru.

Paulo obojętnie patrzył na te straszne wysiłki, ani jedno tętno litości nie odezwało się w jego sercu. Nad kim miał się litować? Nad tą potworną rasą, która stała się klątwą jego życia? Nad niedolą ludzką? A czyż sam jej nie pił z pełnego kielicha? Czyż nie byli jego własnością? Czyż ich nie kupił? Wprawdzie zapłacił tanio, zaledwie 400 milów, tyle, co za parę lichych szkap, ale bo też nie byli zdolni do innej pracy, ino na stepie. Nie! nie! On nie zna litości i na dowód tego, chwytając za przewieszony przez ramię bat, woła groźnie:

— Nuże! Wleczcie się, podle psy! A ty, rzuć to skowyczące szezzenie!

W tejże chwili bat spadł na plecy matki i chłopca.

Dziecko krzyknęło z bólu, murzynka zaś, padłszy na kolana, błagała przez łzy:

— Zlituj się, senhor, nie bij! Jam chora, ono słabe. Sił nam nie staje. Będziem ci wiernie służyć, ino nie bij, senhor!

Tyle boleści, tyle trwogi było w tej prośbie, że Paulo zaklął tylko przez zęby i nie ponowił razów.

Na drugi dzień pod wieczór dowlekli się wreszcie do szalasu.

Murzynka przez trzy dni leżała na trawie, napół martwa, tuląc do piersi śpiące dziecko.

Rozpoczęło się teraz pasmo strasznych dni dla biednych niewolników.

Paulo pozostał wierny swemu postanowieniu. Nie znalazł bowiem dla nich jednej iskry litości i wyrozumienia. Zdawało się, że cały ogrom nienawiści, jaki w piersi chował, cały gniew i zawiść do ludzi za doznane zniewagi i upokorzenia, zlewał obecnie na tych troje nieszczęsnych, czarnych istot. Nie niewolnikami mu byli, ale ofiarami, na których zaspakał wyuzdaną żądzę zemsty za winę innych.

Jeszcze słonko nie wstało osrebrzyć oceanu traw i paproci, a nocny zmrok zalegał step, gdy Paulo wychodził cichaczem z szalasu i zbliżywszy się do barlogu, na którym pod pinierem spoczywali, kopał ich niemiłosiernie nogami.

Zrywali się wówczas na równe nogi i bez słowa skargi, szli w stronę plantacyi.

Wtedy, jak szalony, rzucił się na nich, bił, targał za włosy i inną zazwyczaj wyznaczał pracę.

Gdy wół z okólnika wydarł się na step. lub wątle ciele niespodzianie zdechło, albo owca zginęła wśród trzciny i łóz, straszne rzeczy działy się w szalasie. Paulo popadał w szal wściekłości i katował murzyna bez końca. Daremnie nieszczęśny wzywał litości, wił się u nóg, błagał o przebaczenie, — nie nie pomagało. Okrutnik pastwił się niemilosierdzie, dopóki ręce jego nie opadły z wysiłku.

Czasami dni całe upływały, że nie dawał im do ust kęsa strawy, a widząc opadające ich siły, zdwajał ciężar pracy. Innym razem zastawiał jadła bez liku, gdy zaś nasyceni odchodzili, bił za to, że więcej nie jedli.

Im bardziej byli potulni i znękani, tem więcej pastwił się i znęcał nad nimi. Jedno dobre słowo nie wyszło nigdy z jego ust, jeden przeblysł ludzkości, lub współczucia, nie zaświtał na jego twarzy.

Trzeba było doprawdy rogatej natury, aby pod tym ogromem nadmiernych katuszy i wszelkich udręczeń nie wyzionąć ducha.

Raz, gdy wół wypadkiem złamał nogę, biedny murzyn z obawy strasznej kary, uciekł. Murzynka pozostała z dzieckiem; byliby bowiem tylko zawadą uciekającemu. Paulo, zmiarkowawszy, co zaszło, wskoczył jak opętany na konia i popędził na step.

Wrócił dopiero na drugi dzień.

Straszny widok przedstawił się oczom murzynki i dziecka.

Stąpający powoli koń włókł na lassie, zaledwie dającego znaki życia, murzyna. Twarz i ciało były zbryzgane krwią, plecy zaś przedstawiały jedną wielką ranę.

Matka i mały Antonio oniemieli z przerażenia. Paulo zaś, zeskoczywszy z konia, silnem uderzeniem pięści popchnął murzynkę wraz z dzieckiem ku na wpół żywemu murzynowi.

— Patrz! ty czarna wiedźmo! — krzyknął — i ty podle szczenie, oto, co was czeka!

Po tygodniu zaledwie murzyn przyszedł do siebie i mógł, chwiejąc się na nogach, iść do plantacyi.

Odtąd nie próbowali już więcej uciekać, ale w mózg małego Antonia wrył się ów straszny obraz na zawsze. Widział go ciągle przed oczyma. Nieraz w nocy zrywał się z krzykiem i płaczem, a matka zaledwie czułemi pieszczotami rozpraszała senne mary i tulila chłopca do snu. Na widok zbliżającego się Paula, Antonio drżał i żółkł z trwogi, szukając błędnemi oczyma pierwszej lepszej kryjówki.

Wśród łez i jęków upłynęło nieszczęsnym pięć lat.

Wiele w tym czasie zmieniło się na stepie. Tam, gdzie był szałas, stał obecnie dom. Nie okazały wprawdzie — z bambusów i gliny, trzcina pokryty, ale wygodny. W jednej izbie było schronienie Paula, druga służyła na pomieszczenie trzech koni. Nieopodal wznosiła się na pinierowych palach szopa, gdzie składano w duże gromady dojrzłą kukurydzę.

Na stepie pasło się przeszło 400 wołów, krów i jałowizny, oraz tyleż niemal owiec. Według umowy, corocznie przybywali handlarze z Curitiby, zostawiając Paulowi sporo złota za kupione bydło. Od trzech lat także i kupcy z Lapy wywozili na mulach olbrzymie kosze kukurydzy i mandjoki. Grosz płynął obficie z różnych źródeł do kieszeni mulata, o którym już w Lapie, Curitibie i Ponta Grossa opowiadano sobie, że pokaźne posiada bogactwa.

Wszystkie jednak te zmiany pozostały bez wpływu na dolę nieszczęsnej czarnej trójki. Tak, istotnie, pracowali teraz we troje, Antonio był już bowiem 12-sto letnim chłopcem, a jakkolwiek po matce odziedziczył wątłe zdrowie, jednakże, co sił mu starczyło, pomagał rodzicom w pracy i w znoszeniu katuszy od Paula. Chłopczyzna o zapadłych piersiach, wychudłych członkach, nie wyrosła, z wyrazem nieschodzącego smutku z twarzy, krzątał się, jak mógł, to przy plantacyi, to około żywego dobytku swego pana, to wreszcie przy jego osobie różne czynił posługi.

Trwożny głos Antonia, lęklivość malująca się w całej postawie, wszystko drażniło w wysokim stopniu okrutnego Paula. Nie oszczędzał go też bynajmniej, ani w swoich wymaganiach, ani w wybuchach gniewu.

Niekiedy, bez żadnej przyczyny, wpadał na niego, jak furja, a gdy chłopiec ze strachu rzucał się na kolana i ręce błagalnie składał, znęcał się nad nim zapamiętale.

Nieraz więc w nocy, przytuliwszy się we troje do wypełnionych kukurydzą i trawą ścian szopy, szeptem, lękając lży, biadali nad swoją dolą, lub podnosili modły do miłosiernego Boga, prosząc o śmierć.

I oto ten Pan dobrotliwy, który liczył lży uciśnionych, wysłuchał ich próśb.

Zdarza się nieraz, że spokojny step, jakby znużony długim snem, budzi się i szaleć poczyną. Wszystko na nim wtedy wre i kipi, rozpętane bowiem wiatry, wtargnąwszy na bezmierne przestrzenie, a nie znajdując żadnej przeszkody, hulają po nich bez opamiętania. Ludzie opowiadają, że to upiory wydarły się z piekielnych więzów i szatańskie na stepie urządają hulanki. Ot, tak sobie, zwykle ludzkie gadanie, ale to pewna, że owe wycie huraganu, one trawy, trzciny, paprocie i porwane liany, niesione pędem wiatru w powietrzu, stada w trwodze gnanego ptactwa — wszystko to ma w sobie coś szatańskiego.

Często zdaje się, jak gdyby z wnętrza stepu wydobywały się jakieś jęki, czasami wyraźnie nawet słyszeć stękania, ale wnet silny prąd wiatru porywa je hen, daleko, świszcząc przeraźliwie. Kto żyw, chroni się, gdzie może. Bydło zbiera się w gromady i smętnie ryczy, wąż, jaszczur i wszelki gad wciska się w czeluście ziemi, jaguar zaś i dziki zwierz ucieka do najbliższego lasu.

I człowieka, jeżeli w tej chwili znalazł się na stepie, przejmuje jakaś dziwna trwoga; czuje on, że lada chwila stać się może igraszką huraganu. Wszak już sił mu nie staje, by oprzeć się prądom wiatru,

Rzuca się więc na ziemię, w trawy, lub co prędzej bieży pod dach.

Druga już tym razem noc zapadła, a huragan jeszcze się nie uciszył, Paulo nie wychylał głowy z domu, oboje zaś czarni, wcisnąwszy się do wnętrza szopy, drżeli z trwogi, nie o siebie, bo cóż ich gorszego czekało od codziennej doli, ale o Antonia, który pozostał w szalasie na odległym okólniku i dotąd nie wrócił, widocznie nie mając siły walczyć z wiatrami. Murzyn, jak mógł, pocieszał żonę, ale i sam obawie oprzeć się nie mógł. Więc sen nie zdołał skleić ich powiek.

Wtem, ni ztąd, ni zowąd, posłyszeli szept nieopodal szopy. Szum wiatru zgłuszył go. Wydało się im, że to złudzenie. Ale nie! Za chwilę doleciały ich uszu wyraźne głosy ludzkie — które łatwo odróżnić od gwaru huczącego huraganu — a wraz z nimi i jakieś żwawe, gorączkowe krzatanie się w pobliżu domu. Nie byli to handlarze, lub kupcy z Lapy, bo nie pora na nich, ani też zbłąkani podróżni, któżby bowiem w taką wichurę wybierał się na step?

Murzyn wychylił głowę z szopy i pomimo ciemnej nocy, dojrzał całą gromadę uwijających się postaci przysadzistych, nawpół nagich, o długich włosach i w fantastycznych pióropuszach na głowie. Teraz już nie wątpił, że byli to indyane, o których grabieżczych wyprawach nie jedną słyszał opowieść. Korzystając z wichury, przybyli oni widocznie ograbić fazendę.

W jednej chwili zrozumiał, że należało zbudzić

Paula i stawić opór rabusiom. Wyciągnąwszy więc gruby bambus z dachu, wybiegl i począł wołać o pomoc na całe gardło.

Zaskoczeni znienacka indyanie mieszały się, kilku nawet pierzchło; pozostali jednak skupili się i po krótkim namyśle, ławą uderzyli na murzyna.

Stary, oparłszy się plecami o ścianę, począł nacierających prażyć bambusem.

Na krzyki i wrzawę wybiegła z szopy murzynka, lecz nie zdołała jeszcze dobiec do męża, kiedy chwyciła ją za gardło silna ręka. Nieszczęsna, zanim zdążyła wydać głos, padła na ziemię z rozplataną toporem czaszką.

Bez jęku, bez słowa skargi, niewolnica wyzionęła ducha.

Murzyn tymczasem bronił się zapamiętale, wymierzając ciężkie razy na wszystkie strony. Każdy śmiałek, który się zbliżył, odskakiwał ugodzony bambusem.

Zbudzony Paulo zrozumiał odrazu całe niebezpieczeństwo. Chwycić za rewolwer, posłać z okna domu w stronę walczących kilka kul, było dlań dziełem jednej chwili.

Indyanie, przerażeni strzałami, rozbiegli się w różne strony i jeli uciekać co sił. Dwóch jednak zapalczywszych nie przestało nacierać na murzyna, którego coraz wyraźniej opuszczały siły. Wtem jeden z nich, nie zważając na słabnące już razy, rzucił się jak jaguar i w oka mgnieniu wbił długie, zębate ostrze swojej włóczni w jego szyję. Murzyn wypuścił

bambus i chwycił się oburącz za kark. Krew szerokim strumieniem trysnęła ustami, a z gardła wydobywało się zmieszane zjękiem żęzenie. Po chwili nieszczęsny zachwiał się na nogach i runął na ziemię. Wybiegający jednocześnie z domu Paulo dojrzał jeszcze obu morderców.

Rozległ się strzał, po którym bliższy indyjanin rozkrzyżowawszy ręce, padł twarzą na trawę.

Drugi znikł w ciemnościach.

Wiatr tymczasem był przeraźliwie. Zdawało się, że całą roślinną powłokę stepu rozszarpie na strzępy. O pogoni więc nie było mowy, tem więcej, że napastnicy, opamiętawszy się, mogli jeszcze powrócić. W trwodze i niepokoju spędził Paulo noc, wyteżając co chwila wzrok, czy wśród ciemności nie dojrzy dzikich postaci.

Brzask dzienny wraz z sinem światłem zlał ciszę na step. Ustała wichura, tylko lekki podmuch wiatru ciągnął jeszcze od północy. Niebawem i czerwona kula słoneczna poczęła się wychylać z głębin stepu, rzucając krwawe promienie na trzy trupy.

Skoro tylko się rozwidniło, Paulo dosiadł konia i ruszył na step przekonać się, czy indyjanie nie uprowadzili bydła, lub owiec. Przedewszystkiem podążył do okólnika. Woły stały spokojnie wśród ogrodzenia, skubiąc trawę. Antonio spał w szałasie, wichura bowiem, a więcej jeszcze strach, odpędzały w nocy sen z jego powiek. Tentent kopyt końskich zbudził go. Zerwał się na równe nogi i trwożnemi oczyma patrzył na zbliżającego się Paula.

— Ruszaj do domu! — krzyknął nad nim mulat, a przekonawszy się, że ogrodzenie nie naruszone, pojechał dalej.

Chłopiec zdumiony, że go tym razem ominęły zwykle katusze i wymysły, przeczuwał, że stać się musiało coś niezwykłego. Ciekawość i bezwiedny niepokój nagliły go do pośpiechu.

Zadyszany, wbiegł na podwórze.

Wtem potrafił o trupa indyanina, który utonął niemal w trawie.

Straszne przecucie strzeliło mu do głowy i jakby kleszczami ścisnęło jego serce. Przyciskając oburącz skronie, pobiegł dalej ku szopie.

Biedny Antonio skamieniał! Tuż przy ścianie spoczywał murzyn z wykrzywioną od bólu twarzą, trzymając szyję, w której tkwiła mordercza włócznia. Chłopiec otworzył usta, załamał ręce i stał jak wrośły w ziemię. Oczy jego były suche, tylko ból i przerażenie rozszerzyły je.

Nagle skoczył, jakby go gad jadowity ukąsił i w jednej chwili, z rozdzierającym krzykiem, rzucił się na martwe ciało matki. Murzynka z rozbitą czaszką leżała w kałuży krwi, która jeszcze nie zdążyła wsiąknąć w ziemię.

Powracający w kilka godzin później Paulo, zastał nieprzytomnego Antonia na trupie niewolnicy.

Tegoż dnia sam Paulo, wykopawszy duży dół, złożył w nim trzy trupy i przysypał ziemią. Chłopiec nie brał udziału w tej strasznej pracy, przedtem bowiem już, nie wyrzekłszy słowa skargi, powłókł się

do okólnika. Mulat odprowadził go szklannem okiem, oniemiały widocznie wobec majestatu boleści.

Antonio pozostał więc sam na stepie z Paulem. Zdaje się jednak, że wypadki onej nocy i żalność chłopca obezwładniły okrutną naturę mulata. Nie bił go już, nie lżył, tylko od czasu do czasu zimnym mierzyl wzrokiem. Chwilami, widząc jak chłopiec machinalnie niemal spełniał wydane rozkazy i jakby w myślach zatopiony, krzątał się po okólniku, lub w plantacyi, ogień gniewu błyskał w jego oczach. Lecz widocznie hamował się, bo zakławszy tylko, odchodził na stronę, lub odwracał głowę.

Z początku w biednym Antoniu wszystko zdrętwiało od bólu i żalności. Żył życiem automatu i nie zdawał sobie sprawy z tego, co się naokoło niego działo. Szedł, gdzie mu iść kazano, robił, co mu robić polecono, zresztą nie zastanawiał się nad niczem.

Tym sposobem uszła jego uwagi zmiana w Paulu.

Z czasem jednak i najstraszniejszy ból tępieje, a przynajmniej myśl budzić się zaczyna. Po upływie kilku tygodni, chłopiec dochodził do pocucia swego sieroctwa. Rozumiał, że pozostał sam bez żadnej pomocy, bez najmniejszej osłody. Mulat był wprawdzie innym dla niego, lecz wystarczało baczniej mu się przyjrzeć, aby pojąć, że bynajmniej nie litość w nim się obudziła, ale że tylko okrucieństwo jego drzemało. Antonio przeczuwał, że ów spokój, to, jak cisza przed burzą, która lada chwila wybuchnąć może ze straszną siłą. Paulo unikał chłopca, jakby obawiając się sam, że tłumiona złość zerwie wszelkie pęta.

Był-że to pewien przebłysk sumienia?

Nie też dziwnego, że chłopiec, który wrodzonym rasie swojej instynktem odgadywał, co się dzieje w duszy mulata, tem większą uczuwał przed nim trwogę. Wiedział przecież, że nikt dziś jego łez nie otrze, bólu nie utuli, otuchy mu nie doda. Dreszcz przejmował go na samą myśl, że dawny, okrutny Paulo przebudzić się może! Obawa ta szła za nim, jak upiór, wszędzie i ciągle. Sam widok mulata wystarczał, aby serce jego drżało od strachu, a kurez bojaźni ścisnął gardło.

Zazwyczaj, gdy nie było roboty w plantacyi, pozostawał w okólniku; Paulo przywoził mu wtedy sam strawę. Marne to było jedzenie. Kilka garści gotowanych ziarn kukurydzy, ochłap wystygłego mięsa, lub parę batatów. Chłopiec jednak zgłodniały, porywał chciwie wszystko. Wogóle głód teraz dokuczał mu często, tem więcej, że wątły, po matce odziedziczony organizm, po okropnych wstrząśnieniach, widocznie potrzebował bardziej się odżywiać.

W dodatku Paulo nie był zgoła punktualny w przynoszeniu jadła. Często bywało, że zjawiał się w okólniku dopiero pod wieczór, a tymczasem biedny chłopiec marł z głodu. Począł więc upadać na siłach. Nieraz nawet czuł się takim bezsilnym, że trudno mu było zwlec się z barlogu w szalasie.

Na domiar złego choroba matki odzywała się w nim. Suchy i uporczywy kaszel trapił go coraz częściej.

Antonio znosił jednak zaniedbanie, czy też nowe

okrucieństwo mulata, bez słowa skargi. Nie miał zresztą odwagi wypowiedzieć jej, gdyż wobec obawy wywołania gniewu Paula, słowa zamierały mu na ustach.

Wśród smutku, trwogi i głodu przechodziły dni i miesiące. Chłopiec marniał powoli.

Od dwóch dni właśnie deszcz padał bez ustanku. Zdawało się, że otwarte upusty niebieskie zleją na step cały ocean wody. Paulo nie pokazał się w okólniku, głód więc dokuczał chłopcu strasznie. Naprawdę wyglądał co chwila w stronę domu, czyli z pomiędzy potoków deszczu i mgły nie wychylił się postać mulata. Upływały godziny daremnego wyczekiwania.

Zapadła wreszcie noc, a Paula nie było. Antonio wiał się z głodu. Myślał, że sen przyniesie mu ulgę, niestety, i on odbiegł go bezlitośnie. Głowa pękała mu niemal z bólu, skronie zaś pałały, niby rozpalone żelazo. W uszach czuł szum bezustanny, w całym zaś ciele wzmagającą się gorączkę.

Kilkakrotnie zrywał się na nogi, chciał biec do domu, upaść do nóg mulata i wołać na całe gardło:

— Senhor! bij! zabij! ale daj jeść!

Wnet jednak spadała nań trwoga i przykuwała go do miejsca.

Zbliżał się ranek, a biedny chłopiec, nawpół przytomny, szlochał i jęczał rozpaczliwie.

Deszcz już ustał, wiatr tylko pędził szare chmury po nieboskłonie. Ze stepu zaczęły się wznosić opary, a wraz z nimi słaby blask przedzierał się przez mgły.

Antonio z trudnością powstał z barłogu, załamał ręce i w gorączce powziął szalone postanowienie.

Nie, on dłużej nie wytrzyma! Trwoga go opuszcza i nieznana mu dotąd odwaga rodzi się w wątplych piersiach.

Tak, on pójdzie tam, do domu, rzuci się do nóg Paula, będzie całował jego stopy i tak długo prosił, zaklinał, aż wzruszy to kamienne serce i wyżebrze kęs strawy.

Nie waha się już i bieży hyżo, o ile słabnące siły pozwalają, przytrzymując od czasu do czasu rękoma biedną głowę, by od bólu nie pękła.

Oto i dom! Tam, za otwartem oknem, spoczywa okrutny Paulo. Chłopiec zawahał się. Czy go przebudzić? A nuż, zanim prośby wysłucha, katować zacznie?

— Niechby katował, byleby jeść! jeść!

Wtem oko Antonia padło nagle na skrzynkę pod węglem domu, z poza której drewnianych krat wyglądał długi szereg białych serów.

Chłopiec rzucił się, jak zwierz zgłodniały. Rozwał kraty i w oka mgnieniu pochwycił ser.

— *Ben ti vi!* — zadzwieczało nad jego głową.

Dreszcz przebiegł po całym ciele Antonia; nogi się pod nim zachwiały, a ręce, trzymające zdobycz, trzęsły się, jak w febrze.

Niby błyskawica, przebiegła przez jego głowę myśl:

— Więc widzi mnie ten straszny Paulo!

Chciał biedz, ale strach obezwładnił go.

— *Ben ti vi! Ben ti vi!* — dzwieczało znouu.

Chłopiec zebrał wszystkie siły i z rozpaczliwym ruchem pomknął, jak strzała, na step.

Biegł, co mu tchu stało. Daremnie liany i bluszcze chwytaly jego nogi — rozrywał je rozpaczliwie; daremnie kolce ostów wbijały się w jego stopy — nie czuł ich; biegł i biegł coraz dalej. O! bo Paulo goni go niezawodnie. Wszak w uszach jego tętni straszny głos mulata:

— *Ben ti vi! Ben ti vi!*

Stój, biedny chłopcze! Nie Paulo cię goni, nie jego zemsta cię ściga, ino małe, żółte ptasze, skacząc po gałęziach piniera, szczebiocze:

— *Ben ti vi! Ben ti vi!*

Strach i gorączka zamglily jednak zmysły biedaka. Nic nie widzi, nie nie czuje, tylko nad rozpaloną głową straszną rękę mulata, a w szumiących uszach przeraźliwy jego głos. Nie ogląda się, bo zamarłby na miejscu, ujrawszy tę okrutną postać. Więc bieży naoslep — byle dalej! byle dalej!

Biedne piersi, do których bezwiednie przyciska białe ser, nie mogą już znieść zmęczenia; ból szarpie i kłuje je, jak nożem, po nogach krew ścieka, a stopy palą niemiłosiernie. Ale nie to, bo on musi uciekać — byle dalej! byle dalej!

Potknął się raz i drugi, lecz i wyprostował się w tej chwili.

Ot, tam, wśród onej kępy bambusów, co zniecka wystrzeliła ze stepu, odpocznie choć trochę.

Nie, nie! Przed oczyma staje mu ojciec, gdy go niemiłosierny Paulo, skatowanego i broczącego krwią,

ciągnął na lassie. Wszak i jego ten sam czeka los. Zbiera więc resztki uciekających sił i mknie — byle dalej! byle dalej!

Nie tobie, biedny chłopczyno, uciekać po stepie! Nie tobie znieść tyle trudu, tyle bólu i niedoli!

Jakoż i siły już opuszczają Antonia. Zatacza się w jedną i drugą stronę, a ustami chwytą gwałtownie powietrze. Nie biegnie, ale powłóczy pokaleczonemi nogami, potykając się co chwila o liany, bluszcze i suche łodygi.

Oto znowu pinier, sierota na stepie, jak on na świecie. Byleby się dowlókl pod jego konary, to już on go przytuli i osłoni.

Jeszcze kilka rozpaczliwych kroków i chłopiec stoczył się pod drzewo.

Reszką sił podźwignął się jeszcze i oparł o pień.

Nie czuje już trwogi, ani myśli o strasznej karze, lecz podnoszące się konwulsyjnie piersi wraz z serem oburącz przyciska, by z nich nie wyskoczyło serce. Powieki mu ciężą jak olów; radby je podnieść, ale nie może. Głód już nie dokucza, nawet szum w uszach ustał. Ot, na dowód tego, słyszy w tej chwili znowu:

— *Ben ti vi! Ben ti vi!*

Ale to nie straszny głos Paula, lecz jakieś słodkie wołanie. Poznaje nawet wyraźnie; głos to ukochanej matki, która z pośród przezroczystej jasności wyciąga ku niemu czarne ręce.

Naokoło niej same dobre twarze, ani jedna po-

dobna do okrutnego mulata, a wszystkie uśmiechnięte tak dobrotliwie!

Nagle miliardy gwiazd zasypały jego widzenie. Antonio chciał je zatrzymać, ale ręce bezwładnie mu opadły, a wraz z nimi i ser osunął się na ziemię.

Głowa pochyliła się na piersi i chłopiec zasnął tym snem, z którego nie budzi się już więcej do smutku i niedoli.

— *Ben ti vi!* — zaszczebiotała w tej chwili żółta ptaszyna, a zerwawszy się z piniera, wzleciała w powietrze i znikła w niebieskich przestrzeniach.

Zapewne, na swoich skrzydłach, zaniósła ona duszę biednego chłopczyny przed tron litościwego Boga!

* * *

Tegoż wieczora dwaj kupey w Lapie: czcigodny senhor Pietro Silva i sławetny Jacobo do Pinho, kroczyli poważnie po jednej z brudnych ulic małej mieściny, pragnąc odetchnąć po skwarze dnia chłodem wieczornym. Noc była prześliczna, a księżyc w pełni wytoczył się na horyzont.

Obaj szli zatopieni w myślach o codziennych sprawach.

— Patrzaj Jacobo — przerwał nagle senhor Pietro. — Burza będzie na stepie. Czy widzisz, jak od zachodu nadciągają gęste chmury?

— Prawda — odparł zagadnięty — nawet i błyskawice już widać. Ano! zwykła to rzecz o tej porze na stepie.

Szli dalej, nie zaprzatając się więcej tak zwykłym wypadkiem.

Nie upłynęło kilka minut, a Pietro odezwał się znowu.

— Ależ to burza nielada! Czy widzisz, jak piorun uderza za piorunem?

— W istocie — bąknął Jacobo. — Spojrzno — dodał po chwili — toż to, zdaje mi się, łuna na niebie?

— A tak, nie co innego — dorzucił Pietro. — Zapewne step się pali.

— Ale, ale, mówiąc o stepie — zauważył po pewnej przerwie Jacobo — przypomniało mi się, że należałoby pojechać do tego szpetnego mulata. Należał on zapewne sporo kukurydzy i mandjoki a u nas niema już wiele zapasów.

— Dobrze — dorzucił towarzysz — jedźmy! Niema teraz i tak żadnej roboty. Nie zwlekając długo, wyruszymy jutro rano. Zejdzie nam na tem niezawodnie z pięć dni.

Jakoż nazajutrz, jeszcze słońce nie weszło, a obaj kupcy byli już w drodze. Jechali konno obok siebie, a za nimi, ze zwieszonymi łbami, kroczył ospale długi sznur mułów, objuczonych po obu stronach dużemi koszami, w których z powrotem miały dźwigać kukurydzę i mandjokę.

Droga była uciążliwa, więc też i pochód poruszał się powoli.

Jechali dniem i nocą, odpoczywając i karmiąc zwierzęta, skoro słońce zbyt dopiekało, lub przez kilka godzin nocnych.

Drugiego dnia, pod wieczór, gdy już kula słoneczna poczęła się staczać ku zachodowi, zagadnął Pietro:

— Powinniśmy już być niedaleko. Piekielna droga! Radbym co prędzej wyprostować kości.

— O! i ja czuję zmęczenie — przyświadczył Jacobo. — Ale oto i strumień, nad którym potwór wybudował swoją chałupę.

— Tem lepiej! — dorzucił pierwszy.

Jechali dalej znowu.

— Jakoś niema domostwa — rzekł niecierpliwie po chwili Jacobo — a przecież widzę bydło na stepie.

— Czy ta poczwara zapadła się pod ziemię? — mruknął towarzysz. — Trzeba zsiąść z koni.

Leniwie zeszli na ziemię i przeciągnawszy strudzone członki, zaczęli zwolna kroczyć po stepie. Konie tymczasem i muły powlokły się do strumienia i piły chciwie wodę.

— Doprawdy, to coś niepojętego! Czybyśmy zbłądzili? — pytał gniewnie Pietro.

— Ależ nie! — odparł drugi kupiec. — Wszak widzisz pinier. Lecz co to? Spójrzno! Drzewo, rozłupane, na obie strony opuściło swoje gałęzie?

Przyspieszyli kroku. Nie uszli jednak daleko, gdy nagle stanęli, jak wryci.

Oczy ich uderzyły nagie zgliszcza. Nie było śladu domu, ani szopy, tylko kupa gruzów i węgla zaległa ziemię, rozłupany zaś i zasmolony pinier świadczył, co było powodem zniszczenia.

Instynktem wiedzeni, jeśli rozgarniać węgle i gruzy. Nie trudzili się długo, gdyż nagle przedstawił się im widok straszny. Pod zwęgloną belką leżał na wpół spalony szkielet mulata. Nogi i cały kadłub były przez ogień zniszczone, twarz tylko, widocznie przywalona drzewem, pozostała nietknięta i zachowała odrażający wyraz okrutnej śmierci.

Obaj odskoczyli z przerażeniem.

— No! no! taki na niego przyszedł koniec — szepnął po chwili jeden z nich, a drugi przytaknął, kiwając smutnie głową.

— *Ben ti vi! Ben ti vi!* — zabrzmiało nagle.

Zbudzeni z myśli, podnieśli głowy i ujrzeni żółte ptasze, które, skacząc po opadłych gałęziach piniera, szczebiotały:

— *Ben ti vi! Ben ti vi!*

Obaj w milczeniu uchylili kapeluszy i pobożnie nakreślili znak krzyża na czole.

I nie dziwnego, bo któż w Brazylii o tem nie wie, że sam Bóg ptaszynek tej mowy nauczył, aby ludzi ostrzegała przed złem i pokusą.

KONIEC.

SPIS RZECZY.

— . . .

ROZDZIAŁ I.

Str.

Wyjazd z Rio. — Wspomnienia. — Droga. — Refleksye. — San-Paulo. — Pierwsze spotkanie. — Polacy dawniej osiedli. — Nowi emigranci. — Warunki pracy. — Zarobki. — Ceny. — Dorywcze rzemiosła. — Ideal powrotu. — Tęsknota. — W kościele.	1
--	---

ROZDZIAŁ II.

Dom emigrancki. — Pierwsze wrażenie. — Jednobrzmiące opowiadanie. — Oplakane wpływy. — Krytyczna chwila. — Rozmowa z p. dyrektorem. — Szpital. — Prawdziwa rozpacz. — Na właściwym gruncie. — Pożegnanie.	9
---	---

ROZDZIAŁ III.

Plantacye kawy. — Gorączka kawowa. — Ceny. — Speculacya. — Zkąd czerpałem wiadomości? — Charakterystyka trzech wzorowych fazenderów. — Praca niewolników. — Praca białych. — Pierwotne układy. — Zmiana systemu. — Obecne zarobki. — Ich wysokość, i rodzaj pracy. — Ogólny rachunek. — Emigrant pol-	
---	--

ski na fazendzie. — Pierwsze kroki. — Krwawe doświadczenia. — Ogrom ogólny niedoli i jej powody. — Przykład u p. Paulino. — Bez przesady. — Ogólne wrażenia.	Str. 17
--	------------

ROZDZIAŁ IV.

Dlaczego znalazłem się w Campinasie? — Murzyn jako robotnik. — Stosunek białych do czarnych. — Bezsen na noc. — Gawęda z Carlo. — „Kara św. Benedikta.“	39
---	----

ROZDZIAŁ V.

Niespodzianki. — „Paciença“. — Szpital w San Paulo. — Opieka nad chorymi. — Santos. — Klimat. — Znowu „Paciença“. — <i>Sui generis</i> rewolucya. — Jeszcze raz „Paciença“. — Emigranci. — Co ich do Santos sprowadza? — Opiakana dola. — Zaślepienie. . . .	73
--	----

ROZDZIAŁ VI.

Paranagua. — Moretes. — Antonina. — Wspaniała droga do Curitiby. — Niespodziane przyjęcie. — Uprzejmość brazylijska. — <i>Suum cuique</i> . — Szczęśliwy wybór. — Lekkomysłna gorączka emigracyjna. — Domy emigracyjne na Tomas Cuelho. — Zajęcie 10-go maja. — Barbarzyństwo. — Uspokojenie emigrantów. — Wyzysk. — Dwaj braciszczkowie. — Cudzoziemcy w Curitibie. — Brak zgody. — Ceny utrzymania. — Kaskudzi i Faraposi. — Przysłowie. — Pojęcie stronnictw.	80
--	----

ROZDZIAŁ VII.

Kolonizacya. — Jej różnorodność. — Która część Brazylii jest zdalna do kolonizacji? — Włosi, portugalczykowie, hiszpanie i mieszkańcy północy. — Zupełne nieprzygotowanie do kolonizacji. — Tłumy wyczekujących. — Oplakane próżniactwo. — Las dziewiczy. — Zadanie inżyniera. — Pierwsze kroki. — Rossa. —

Spalenie jej. — Epoka niedoli. — Dzikie plemie Botokudów. — Rozgrzeszenie Dygasińskiego. — Pierwszy plon. — Zarobki rządowe. — Wypłata. — Wendyzm. — Warunki zbytu. — Komunikacye. — St. Mateus. — Rio Negro. — Ponta Grossa. — San Bento. — Rio Grande. — Kolonie w Curitibie. — P. Lamenha i dr. Blumenau. — Historya tych kolonij i warunki ich powodzenia. — Martwe przykłady. — Niema porównania.	80
--	----

ROZDZIAŁ VIII.

Powrót do Rio. — Nieregularność komunikacyi. — Jeszcze żółta febra. — Niefortunna troskliwość. — Moje skrupuły. — List otwarty do „Journal do Commercio“. — Artykuł hr. Thaumav. — Audyencya u ministra rolnictwa hr. Luceny. — Memoryał. — Losy pozostałych. — Senator Gomensoro. — Skompromitowana emigracya. — Widoki na przyszłość. — Opóźnienie się okrętu. — Wyjazd.	116
--	-----

ROZDZIAŁ IX.

Liczne pytania. — Brak wiary. — Warunki ogólne. — Kto dotąd wyemigrował? — Co się składa na niedolę wychodźcy polskiego do Brazylii? — Nieznajomość języka. — Zarobki. — Żywność. — Klimat. — Praca. — Zdrowotność. — Nędza moralna.	147
--	-----

„Ben ti vi“	163
-----------------------	-----



Thema 2

P. P. DOM KSIĄŻKI
— ANTYKWARIAT —

* 052127

BIBLIOTEKA

Muzeum
Morskiego
w Gdańsku

102057